

Hispaniola

Cezary Jaczewski



Hispaniola

Powieść historyczna

Tom I



Kraków

△ *G. Gebethner i Spółka* ▽

1907



884-311.6

44304
R. 129
8.3.44

Od autora.

Wszystkie postacie występujące w tej powieści a także wszystkie wydarzenia, z wyjątkiem chyba mało znaczących, są ściśle historyczne.

I.

Długi szereg wysp Antylskich, zataczając ogromne półkole od brzegów wyspy Porto-Rico, aż po stały ląd Ameryki południowej, zdaje się mieć za zadanie powstrzymywać bure fale Atlantyku, aby nie mąciły przezroczystych wód omywających wybrzeża Nowego Świata. Stoją one, jak łańcuch zgubionych placówek wysuniętych ku wschodowi, w stronę oceanowego pustkowia, stercząc ku niebu szczytami swoich wulkanów najeżonych, niby kamienne dzidy karaibskich wojowników wzniesione w tryumfie ostrzami w górę.

W pośrodku półkole, najbardziej zatem w ocean wysunięta, wyłania się z fal górzysta i ścisista wyspa Guadelupa¹⁾, prastara twierdza dzikiej, walecznej i zdolnej rasy Karaibów. Na niej wznosi się

¹⁾ Tak ją Krzysztof Kolumb nazwał dnia 4 listopada 1493 roku, aby zadość uczynić prośbie mnichów z klasztoru Guadelupa w Estremadurze, którzy pragnęli widzieć jedną z odkrytych przez niego wysp nazwaną imieniem swojego klasztoru.

iglica olbrzymiego wulkanu, a ostry przyładek, niby pierś ogromnej łodzi, pruje i roztrąca bałwany Atlantyku pędzone nań wschodnimi wiatrami.

Przed 4-tym listopada 1493 roku, dniem, w którym Kolumb na nią wylądował w początku drugiej podróży swojej, Guadelupa zwała się Turukejra, imieniem nadanem jej przez Karaibów, którzy przybyli do tych archipelagów ze stałego lądu północnej Ameryki, skąd, idąc wieki trwającym pochodem, przeszli Florydę, stali się żeglarzami, spłądowali wyspy Lukajskie, zawiładnęli małemi Antylami, wylądowali na brzegu Paria w Ameryce południowej i, pozostawiając wszędzie swoje załogi-kolonie, plądrowali wciąż głębiej w porzeczach Orinoko i Maranionu, tak, że ślady ich osad podobno odnajdywano aż nad brzegami oceanu Spokojnego.

Przed tym dniem pamiętnym a groźnym dla ich rasy, Karaibowie byli jedynymi drapieżnikami tej części globu. Na wiotkich swych łodziach, z odwagą a nawet zuchwalstwem, wędrowali z łupami i łupactwami żegluga, bezustannie wędrowali po tych małych wyspach, nieraz nawet odważnie, zabijali niewolników, przeważnie kobiety, i wędrowali na swoje wyspy. Żyli dostatnio i spokojnie, pędząc postrachem wyspiarzy z Borik i z Kuby, którzy za-

¹⁾ Dzisiaj: Porto-Rico.

pewne należeli do rasy pierwotnych mieszkańców tej części świata, łagodnych, niewojowniczych rybaków i rolników Indjan, jak ich tak niesłusznie nazwał Kolumb.

* * *

W dżdżystej porze roku 1476, kiedy straszliwe upały podzwrotnikowe zaczęły nieco folgować, na zachodnim wybrzeżu Turukejry zapanował zwykły o tym czasie ruch: Karaibowie gotowali wielką wyprawę korsarsko-wojenną na duże wyspy zachodnie.

W obszernej zatoce o przezroczystych wodach roilo się od łodzi pływających w różnych kierunkach. Dzicy żeglarze, ściągający tu z nadbrzeżnych wiosek, pędzili je chyżo wiosłami, a wodzowie, stojąc u steru, jedną ręką wprawnie kierowali, a drugą podnosili do ust różowe konchy i, dmąc w nie, długimi, po wodzie lecącymi dźwiękami o poważnym, niskim tonie dawali znać towarzyszom o swoim przybyciu. Łodzie, chociaż wyżłobione w pniach, duże były tak, że niektóre po stu i więcej wojowników mieściły, przody ich, wzniesione wysoko nad wodę, rzeźbionymi i malowanymi a ostremi piersiami kapały się w lekkiej pianie drobnej fali wywołanej lotem statków. Powiew, od gór płynący, rozwiewał długie włosy wojowników co na ramiona im spadały ze zwo-

jów u wierzchu głów w wysokie węzły związanych i poruszał barwnymi pióropuszcami tam za tkniętymi.

— Patrzenie! — mówił wódz wyprawy, kacyk Drakoa, do otaczających go podwładnych, stojących na długim pomoście w morze wysuniętym, a zbudowanym z grubych prętów trzciny — Oto tam, nadpływają wojownicy z Zielonej Zatoki!.. Ci nigdy nie marudzą, kiedy trąby na wojnę wołają, przeciągle rycząc po piaskach wybrzeży, po skałach gór i nad potokami o bystrych, białych wodach... Ho... hoo! — zawołał znowu po chwili milczenia. — Zdaje się, że hen... tam, z za przylądka Błękitnego Kamienia wynurza się łódź bojowa kacyka Karobao, a za nim walą ludzie z Wybrzeża Wiatrów?..

— Tak, to oni — odpowiedział młody wojownik stojący obok wodza i podniósł dłoń do czoła umalowanego w białe i czerwone pręgi, aby zasłonić od blasku słońca swoje duże, trochę skośne, czarne oczy — Oni!... Oni!... Wojownicy z Wybrzeża Wiatrów, już gotowi zupełnie, bo nawet w bojowe barwy umalowani...

— Kaonabo, mój synu — przerwał wódz mówiącemu. — Skoro ci nadpłyną, zaraz ruszymy na morze. Idź więc zawczasu pozdrowić twą matkę, moją najukochańszą kobietę Aję i powiedz, aby brata twojego Manikaoteksa, wyprowadzono na wybrzeże.. Niech patrzy chłopiec jak wojownicy

starym obyczajem na wyprawę płyną i jak ciebie, starszego brata, matka wasza do drogi i boju maluje i ozdabia.

Kaonabo, skłoniwszy się nisko przed ojcem, zeszedł z pomostu i skierował się ku wiosce, której małe chaty, szałas raczej, stały opodal na zielonym wzgórzu, wśród gaju rzadko rozstawionych palm wysokich, o liściach szerokich, niby pióropusze powiewające na ich wierzchołkach. Wódz zwrócił się do otaczających go wojowników i rzekł poważnie:

— Ważna to chwila w życiu młodzieńca: odjazd na pierwszą wyprawę wojenną, a już dla syna wodza, przyszłego kacyka, chwila-to, która na całym jego życiu zaważyć może, bo, choć z urodzenia na władzę plemienia wskazany i nim, bądź co bądź, zostanie, jednakże bogactwo i sława, tak jego własne jak i narodu, zależą od jego cnót wojennych, a o tych dopiero w boju przekonać się można... Stary wróżbita — dodał, zwracając się do sędziwego starca, który odróżnił się od innych tem, że miał na ramiona narzucony rodzaj białego płaszcza z bawełnianej tkaniny, wówczas gdy wszyscy otaczający wodza i on sam byli nadzy, a tylko na rękach i nogach mięśnie mieli od góry i dołu silnie podwiązane opaskami z bawełny, co powodowało nadmierne ich wypuklenie, nadając zarazem ich postaciom piętno niezwykle silnej budowy ciała. — Stary wróżbita plemienia

naszego, wielkiego plemienia Czarnych Ryb, powiedz, coś widział w dymie ogniska, we wnętrznościach węża i w wodzie zaczerpniętej u źródeł białego potoku, co spada, rycząc, z wysokiej góry? Jaką jest przyszłość młodego Kaonaba, czy okaże on waleczność i odwagę godne sławnych przodków?... Czy będzie wielkim wodzem potężnym i bogatym?

Wróżbita powiódł mętnym od starości wzrokiem po obecnych i odpowiedział uroczystym tonem:

— Drakoa, wielki wodzu, wszak wiesz dobrze, że mi nie zawsze wolno wyjawić to, com widział w dymie ognia, wnętrznościach węża i wodzie białego potoku zaczerpniętej wysoko, na górze, z której ogień bucha. Patrzyłem w dymy właśnie tego ognia... straszne one i groźne... rozpalone żuźle wysoko leciały, a spadając, piekły skórę moją... widziałem tam całą przyszłość Kaonaba, syna twojego i tylko tyle powiedzieć mi wolno, że będzie on waleczny wśród najwaleczniejszych, mądry pośród najmądrzych, wielkim i bogatym kacykiem pomiędzy największymi i najbogatszymi, zamieszka w szałasie ze złotych blach zbudowanym, a w nim, dwadzieścia najpiękniejszych żon służyć mu będzie, a kiedyś, syt życia i sławy, zginie na morzu, a grobem mu będą wnętrzności morskieskiego potwora.

Drakoa zdjął z siebie naszyjnik z barwnych

muszelek i, zarzucając ten dar królewski na szyję wróżbity, rzekł spokojnie, głosem gardlanym właściwym swej rasie:

— To dobrze... bo po walecznym i dostatnim życiu, czyż wódz-wojownik może mieć grób piękniejszy? Wszak większość naszych wojowników tak kończy zwykle i sam tego pragnę i spodziewam się, bo mi to już dawno przepowiedział twój ojciec, który był także wielkim wróżbitą-czarodziejem... Wolę to, aniżeli miałoby moje ciało, rozciętowane i uwędzone, wisieć u pułapu w szałasach synów moich, tak, jak teraz głowa i jedna ręka mego ojca wiszą w mojej chacie... Ten wielki wódz, szczególnym trafem, umarł w domu swoim na rodzinnej wyspie...

W tej chwili, echa gór i lasów otaczających zatokę zabrzmiały dzikim, przeciągłym a smętnym odgłosem różowych konch morskich: ludzie z Wybrzeża Wiatrów wpływali do zatoki, dając znać o sobie. Drakoa wzniosł w górę dzidę o ostrzu z rybiej ości, a na niej powiewał biały proporzec, skinął ręką ku otaczającym go wojownikom, ci przyłożyli konchy-trąby do ust i zagrał w odpowiedzi potężny i poważny chorał. Drakoa zwrócił się do wróżbity:

— Mądry starcze, który w młodości tyle bojów widziałeś, idź do domu mojego i pomóż kobietom godnie umalować na wyprawę młodego

Kaonaba i niechaj mądre słowa twoje natchną go duchem waleczności i żądzą sławy.

Stary wróżbita położył obie dłonie na głowie, skłonił się głęboko przed wielkim wodzem i, podczas gdy ów witał coraz to nowych przybyszów zbliżających się do pomostu, stojąc na nim wyniosły, barczysty, umalowany w czarne i białe pasy, z czerwonymi obwódkami wokół oczu, wsparty na dużym łuku a uwieczniony barwną koroną z piór papuzich, on odszedł w stronę wsi nadbrzeżnej.

Gdy zbliżał się do chaty zajmującej poczesne miejsce przy dużym, środkowym placu wsi i podchodził do ganku wspartego na słupach, wokół których wily się wyrzeźbione i malowane węże, Aja już skończyła malować syna na podróż i wojnę. Kaonabo siedział na stołku wyciosanym z czarnego, lśniącego drzewa, po ciele jego wily się pręgi czerwone i białe, owijając go w fantastyczne zwoje, gdyż Kaonabo, chociaż syn wodza, był jeszcze początkującym wojownikiem, a tylko wodzowie na czarno malowali się do boju. Matka stała za nim i cesała jego długie, czarne włosy, zwijając je w węzeł u wierzchu głowy, a wokół, wpatrzone w jasno-brunatną twarz młodzieńca o oczach okolonych czerwono-białą obwódką, siedziały pod słupami ganku kobiety i cicho nuciły pieśń pożegnalną, w której upominały młodego wojaka, aby miłosierdzia w sercu dla wrogów nie

żywił i by, w razie klęski, mękom i śmierci zastraszyć się nie dał, lecz do ostatka urągał zwycięzcom swoim.

Matka, umocowawszy barwny pęk piór do zwoju twardych włosów syna, stanęła naprzeciw niego i żegnała go, mówiąc:

— Kaonabo, którego wnętrzości moje spłodziły, byłeś chłopcem, pod nieobecność twojego ojca, dzielnego wodza Drakoa, ja cię uczyłam władać mieczem z twardego drzewa, ciskać dziurym o ostrej ości, silnie gruby łuk naciągać i celnie wypuszczać z niego strzały o lotnych piórach i zatrutych ostrzach ze skorupy żółwia... Teraz, mężem już jesteś, idź w ślady przodków... idź do walki, na boje, na sławne zwycięstwa, zdobywać łupy bogate, niewolnice piękne, a jeśli paść ci przyjdzie, to giń, walcząc do ostatniego tchnienia, bo stokroć lepsza śmierć w boju, niżli życie w niewoli, lub panowanie wrogów na wyspach naszych, a bądź spokojny: my, kobiety wielkiego rodu Karaibów, potrafimy bronić wybrzeży naszych... We dnie doglądać będziemy drzew, co wyrosły z nasion przywiezionych przez twoich przodków z dalekich krajów, a nocami, z wysokich, w wielkie wody wysuniętych przylądków pilnie patrzeć będziemy na dalekie widnokręgi i śledzić po zatokach z za pni palmowych, aby żadna łódź obca do naszych brzegów nie przybiła, a jeśli się tacy zuchwali znajdą, to biada

im!... Kobiety Karaibów mocniejsze są od wojowników z wielkich wysp! Idź synu... idź na boje sławne, po łupy bogate!

Stary wróżbita z kolei głos zabrał:

— Synu młody, którego oko błyszczący krwiozerczo, jak oko czarnego ptaka urikanu¹⁾, niech także w sercu twojem zapanuje jego odwaga, abyś wśród spiętrzonych bałwanów wielkich wód również zuchwale fruwał, jak on, niech serce twoje okryje się tarczą z twardego drzewa, złotą blachą obitego... Niech w boju gniew twój wybucha, jak ogień z wielkiej góry naszej, a strzały twoje niech lecą na wrogów, jak rozpalone żuźle, któremi ona niekiedy zasypuje nasze puszcze, doliny, wybrzeża i przylądki... Spadaj na nieprzyjaciół, jak wodospad ryczący i biały, co leci z góry w nasze doliny; niech głos twój w boju ryczy potężnie, zupełnie jak wyją te spienione wody... Nie obawiaj się pragnienia w długich przeprawach przez wielkie wody, nie lękaj się palących promieni słońca, które na wód powierzchni są straszne. Pragnienie pali, słońce piecze, lecz chwała wojenna orzeźwia, niby dobroczynna rosa wieczorna. Niechaj celem twych pragnień będzie: zdobycie dla ciebie i dla Karaibów jednej z wiel-

¹⁾ Urikan lub furikan — burza. Wyraz ten przemieniony na: huragan, pozostał w europejskich językach i utarł się.

kich wysp leżących w stronie, gdzie słońce zachodzi...

Kobiety o palających, czarnych oczach, o skórze jasno-brunatnej nie oszpeconej malowidłem, o posągowych kształtach, pobrzękując naszyjniki z muszel morskich, ozwały się chórem:

— Zdobądź jedną z wielkich wysp! Zdobądź... zdobądź! Będiesz wielki wśród największych... sławny pośród najślawniejszych!

— Pamiętaj, — mówił jeszcze starzec — że śmierć w boju chwałą okrywa wojownika i lepsza jest, niżli życie w niewoli! Pamiętaj... kto nie zwycięża, ów będzie zwyciężony! Biada temu, kto wiosłować musi na łodzi wroga... mieszkańca wysp dalekich!...

Wtem, ogromna surma bojowa zagrzmiała na wybrzeżu. Kaonabo powstał z czarnego stołka, wziął podany mu przez matkę łuk, ona kołczan przez plecy mu przewiesiła, potem dzidę przyniosła i miecz drewniany za bawełniany pas za tknęła i rzekła:

— Idź Kaonabo, który byłeś dziecięciem mojem... Idź na boje, boś już na męża wyrósł.

Kaonabo długiem spojrzeniem popatrzył na matkę w milczeniu. Coś, niby łyzy zaszkliło się w jego dziko patrzących oczach, poczem, wychodząc z podsienia pewnym krokiem, rzekł zdławionym głosem:

— Matko, zdobędę wielką wyspę... lub zginę.

Gdy uszedł kilkadziesiąt kroków, z za krzewów pokrytych purpurowymi kwiatami o silnej, przyjemnej woni, wyskoczyło młode dziewczę wysmukłe i gibkie, lecz silne, a podchodząc ku niemu, wdzięcznie kołysało nagiemi biodrami i, wyciągając brunatne ramiona obwieszane naramiennikami z czerwonych kamyków, wołało:

— Kaonabo, mój towarzyszu miły... w podróżach i bojach nie zapomnij o Maimie, która ciągle będzie pomiędzy wodą i niebem twej łodzi wyglądała! — a zbliżywszy się do niego, objęła go ramionami i mówiła: — Kaonabo, nie zapomnij naszych zabaw po piaskach wybrzeża... nie zapomnij, żeś mię nazywał swoją Maimą... Nie przywóz pięknych niewolnic... Ja sama ci usłużę, placki z kassawy upiekę, gęś ugotuję w glinianym garnku, który sama dla ciebie ulepię... hamak¹⁾ miękko uścielę puchem z bawełny i wody zaczerpnę w duże tykwy... świeżej, chłodnej wody... Kaonabo — przymilała się, zalotnie a smutno patrząc w jego oczy — ach, czemuż ty odjeżdżasz z naszej wyspy?

W okolonych krwawymi obwódkami oczach młodzieńca błysnęło uczucie, lecz na chwilę tylko. Potężny obyczaj nakazywał karaibskim rycerzom opancerzyć serce, niby tarczą z ciężkiego, twar-

¹⁾ I sam przedmiot i nazwa jego, niezmienione, przeszły w Europie w powszechny użytek.

dego drzewa, którą zasłaniał się od zatrutych strzał. Kaonabo poskromił tkliwość, która na odjeździe wypełniła duszę jego dla pięknej i kochanej towarzyszki dzieciństwa i młodości spędzonych razem wśród uroków rodzinnej wyspy o błogosławnym klimacie, lekko odtrącił ją od siebie i rzekł z przesadną powagą świeżo pasowanego na rycerza:

— Maimo, już wojownikiem nie chłopcem jestem. Cóż chcesz, abym tu ciągle na wyspie naszej robił?... Pora mi w kraje dalekie, na boje sławne...

A gdy ona ze łzami w oczach zawołała jeszcze:

— Kaonabo!... Ale ty powrócisz i niezapomnisz o swojej Maimie?

On twardym, stanowczym głosem odparł:

— Powrócę, kiedy wielką wyspę zdobędę.

Maima, usłyszawszy o tem marzeniu każdego młodego karaibskiego wojownika, załżała się łzami, bo wiedziała ilu ich życiem przyplaciło tę tradycyjną, rasową żądzę i cicho rzekła:

— To nie wrócisz, bo wielką wyspę zdobyć bardzo trudno...

— To nie powrócę. — odpowiedział nieco zdławionym głosem. — Wróżbita przepowiedział, że grób mój będzie we wnętrzościach dużej ryby — dodał z dumą — i dobrze tak, bo ja wiem, że kto nie zwycięża, ten idzie w niewolę, a ja nie chcę na obcych łodziach wiosłować.

Po chwili milczenia, schwytał w ramiona dziewczynę, ścisnął ją mocno i rzekł ciszej, widząc nadchodzącą matkę w gronie kobiet.

— Nie płacz, Maimo... bo ja płynę wielką wyspę zdobywać.

Znowu poskromił się, odtrącił towarzyszkę i z zimnym błyskiem w oczach rzekł twardo:

— Zdobędę wyspę... Zobaczysz.

I poszedł w stronę wybrzeża, ku pomostowi, na którym jeszcze stał wódz i rozkazy wydawał. Wszyscy oczekiwani uczestnicy wyprawy już zebrani byli. Zapasy i broń były już naładowane na duże czółna. Wiosłarze niewolnicy siedzieli już na ławach, las wzniesionych w górę wiosł po-krywał zatokę. Wojownicy wsiadali do łodzi, a ogromne czółno wodza, z obszernym namiotem z palmowych gałęzi i liści splecionym w pośrodku, czekało u pomostu.

Drakoa skinął jeszcze ręką w stronę zebranych na wybrzeżu kobiet i wskoczył do łodzi, wołając ku nim:

— Brzegów pilnować, kobiety! Słyszycie? Wyspy strzedz! Aby nikt żyw na nią nie wylądował!

Aja, stojąc na czele tłumu kobiet, dzieci i wyrostków, odpowiedziała silnym, doniosłym głosem:

— Bądźcie spokojni, wojacy, o Turukejrę! Baczcie sami, abyście z godnym łupem wrócili!

A kiedy przeszło sto dużych łodzi w porządku zatokę opuszczało pod miarowemi uderzeniami

paru tysięcy szerokich wiosł, ona, przez gęsty las, powiodła kobiety pod górę, na wysoki, w morze wysunięty przylądek skalisty i stamtąd, suchem, groźnem prawie spojrzeniem patrzyła, jak łodzie mały na gładkiej, szklistej powierzchni wielkich wód... mały, coraz mniej wyraźne, topniały w oddali, aż nareszcie, zamajaczyły na żółto-złotem tle zachodniego nieba, niby rój ma-lutkich, czarnych komarów. Patrzyła jeszcze długo, choć już nic nie widziała... Tarcza słoneczna za-padła, ogromna, czerwona, pod wód powierzchnię. Aja zwróciła się do Maimy i rzekła:

— Wszyscy pojechali... dawno już takiej tłu-mnej wyprawy nie było... Wszyscy... ojcowie, mę-zowie, synowie... Wszyscy... A iluż ich nie powróci...

Gdy to mówiła, głos się jej załamał, coś niby łkanie jęknęło w nim głucho, lecz po chwili, scho-dząc po sinych skałach przylądka, uczyła wyrostka syna, Manikaoteksa, rzucić i trafić dzirytem w sze-rokie, mięsiste liście aloesu.

II.

Flotyła Karaibów wkrótce rozdzieliła się na kilkanaście oddziałów, które skierowały się w różne strony. Jedne popłynęły ku północnym brzegom wyspy Boriken, wysyłając stamtąd część łodzi na północo-zachód, ku archipelagowi Bahama; inne udały się ku wschodnim, lub południowym wybrzeżom Haiti, a najzuchwalsi wojownicy-żeglarze puścili się daleko na zachód, postanowiwszy spłądować brzegi Kuby.

Kacyk Drakoa miał wielkie zachowanie pośród karaibskich wodzów, lecz nie był ich królem. Każde pokolenie działało na własną rękę, pod rozkazami swego osobnego wodza, w ciągłych najazdach, które były właściwie normalnym stanem tego wojowniczego ludu: to też, gdy u jednej z zaprzyżnionych wysp, po ostatniej wspólnej uczcie na piaszczystem wybrzeżu, flotyla rozdzieliła się, Drakoa ujrzał się na czele dwóch łodzi tylko, niosących około dwóchset ludzi, w tem kilkudziesięciu

wioślarzy niewolników, na których liczyć nie mógł w bojach, gdyż musieli oni stale pilnować łodzi, aby nieprzyjaciel ich nie zabrał, lub nie spalił, a przytem, należeli do plemion, które Karaibowie zwalczali i przy pierwszej sposobności zwykle uciekali, tak, iż część wojowników zmuszona była przy nich na straży pozostawać, co uszczuplało i tak już nieliczną bojową drużynę. Wobec tego Drakoa zmienił swój pierwotny zamiar udania się na południowe brzegi Kuby i postanowił napaść na znaną już sobie i znacznie bliższą, wschodnią część Haiti, zwaną Higuej, gdzie naczelnym kacykiem był młody jeszcze, lecz już sławny na całej wyspie i pośród Karaibów olbrzym, Kotabanama, zwalczycy którego było marzeniem każdego karaibskiego wojownika. Higuej przytem, graniczył z górami Sibao, gdzie znajdowało się złoto i obfitował w ozdoby z tego kruszcu wykute, na które Karaibowie, nie mający złota na swoich wyspach, łakomi byli; mieszkańcy zaś tej części Haiti wyróżniali się z pomiędzy innych wyspiarzy wzrostem i silną budową ciała, co robiło z nich cenny nabytek na wioślarzy niewolników. Wyprawa ta zatem obiecywała i obfite łupy, a także korzyści bardziej idealnej natury, mianowicie: wojenną sławę, bo jakizby to rozgłos poleciał po karaibskich archipelagach, gdyby olbrzym Kotabanama zawinął do Turukejry na łodzi wodza Drakoa, skępowany powrozami z włókien palmowych, lub konopnych,



które-to ostatnie, można było także zdobyć na Haiti, gdzie rosła ta cenna dla żeglarzy roślina.

Pełni więc ufności w przyszłość, Drakoa i Kao-nabo płynęli po spokojnych, przezroczystych wodach Karaibskiego morza. Wioślarze, ciężko dysząc, potem zlanі, miarowo uderzali wiosłami w wodę, z których zamiast kropel, nocami, zdawały się iskry sypać, tak fosforescencja tych ciepłych wód silna, a oni, wodzowie, stojąc na wzniesionych tyłach łodzi, wsparci na wysokich łukach o cięciwach skrzyconych z rybich wnętrzności, bystrym wzrokiem morskich rabusiów przeszukiwali dalekie widnokregi w nadziei, że po drodze jeszcze, zagarną jaką łódź należącą do spokojnych mieszkańców wielkich wysp, zapędzoną przeciwnymi wiatrami, lub tak licznymi w tych morzach prądami, do tych niebezpiecznych dla nich okolic karaibskich archipelagów.

Brzaski podzwrotnikowych nocy, po głębokich, ciemnych błękitach nieba rozlane, ułatwiały im to zadanie, woda, ciemniejsza od nieba, odcinała się od niego na widnokregu wyraźną rysą, przeciętą niekiedy czarnym profilem zębatych gór oddalonych wyspy. Ciszę przerywał jednostajny plusk wioseł, lub łopot wyskakującego z toni delfina, który, zakreśliwszy zgrabny łuk w powietrzu, mieniając się blaskami fosforu, znowu zapadał w wodę, a za nim, czas jakiś, lśniła białą zieloną smugą, drżąc i migocząc, niby cicha błyskawica na krańcach

widnokregu w parny wieczór letni. Gwiazdy w przezroczystem powietrzu, lekkim i rosą orzeźwionem, duże się wydawały, świeciły białem światłem, rozlewając po niebie łagodne, mleczne blaski.

Niekiedy, wioślarze, rodem z wybrzeży Haiti, lub dalszych Kuby, półgłosem, nieśmiało nucili swoje tęskne areyta¹⁾, a w nich dźwięczał żal za straconą ojczyzną tak piękną, za życiem, które tam dawniej pędzili, bez trosk i pracy, żywieni hojną ręką bogatej przyrody.

W upalne dni, kiedy fale ciepła, odbite od lustrzanej powierzchni wód, i promienie wysoko u zenitu sunącego słońca brały żeglarzy we dwa ognie, wojownicy rzucali się do morza i mile całe wpław za łodziami podążali, igrając jak ryby w żywiole, z którym żyli się od dzieciństwa, lecz zdarzało się to tylko wtedy, gdy przepływali zdala od wysp zamieszkałych przez karaibskie wprawdzie, lecz wrogie im pomimo to plemiona, bo inaczej, skoro tylko promienna tarcza słońca wzbijała się po nad długie, posuwiste fale, oni przybijali do którejś z wysp zielenią okrytych, lub świecących błękitnawo białą skałą i, skryci w nadbrzeżnych gajach, lub znanych sobie jaskiniach, a witani przez przyjaznych krajowców, spędzali skwarne

¹⁾ Pieśni różnych treści, począwszy od wesołych przyspiewywań do tańca, podczas uczt, i kończąc na tęsknych balladach, lub uroczystych, prastarych legendach.

godziny dnia, wypoczywając, albo tańcząc i śpiewając dzikie pieśni swoje, gotując pożywienie z ryb złowionych w głębokich zatokach, z mięczaków zebranych po mokrych piaskach wybrzeży, a kiedy wieczór zapadał, naładowawszy do łodzi soczystych ananasów i placków z kassawy, odpływali w dalszą podróż, budząc echa w skalistych wąwozach i wilgotnych puszczech, co otaczały zatokę, chorałami granemi na morskich konchach, bezpieczni, bezświadomi dokąd ich wiatry i prądy zaniosą, na jakich brzegach dalekich staczać walki im wypadnie, jakie czekają ich zmienne koleje wędrownego, dzikiego życia.

Wojownicy, rozkochani w tej włóczędce i jej przygodach, bezwiednie napawali się urokiem morskiej przyrody, z rozkoszą wdychali ciepłe, ostre i słone wyziewy gnijących po wybrzeżach alg i wodorostów, z radością przeciągali skurczone długiem siedzeniem w łodziach członki. Płynąc obok czółen, niby stado delfinów, wprawiali się w strzelaniu z łuków, a wypuściwszy strzały, gonili za nimi i, zanurzając się głęboko, łowili je pod wodą, gdzie tonęły, wciągnięte ciężarem ostrza z rybiej ości, lub żółwiej skorupy.

To życie morskiej, wojennej wyprawy, jego przygody i wypadki tak się im uśmiechały, jak rycerzom Europy miłe były dalekie pochody na koniach opancerzonych w stalowe blachy, popasy w sosnowych borach, zapachy siana na noc wierz-

chowcom rzuconego i dymy ognisk, ze smolnych szczap, nad brzegiem szerokiej rzeki rozpalonych. W tych zmysłowych wrażeniach, dla jednych i dla drugich, tkwiły dalekie wspomnienia młodości spędzonej na takich wyprawach, marzenia o sławie, która ich czeka, niepohamowana żądza i ciekawość nowych przygód, nieznanych widoków, walk bohaterskich.

Po licznych dniach tej żeglugi, nareszcie na jaskrawem tle zachodu, przesłonięte lekką mgłą wieczorną, zamajaczyły góry Haiti, która to nazwa w języku krajowców znaczyła: Wysoka, zwali oni ją także Kuiskueja, czyli: Wszystko, chcąc tem wyrazić pojęcie znacznego obszaru, lub Bohio, dom, gdyż była ona ich rodzinnym krajem, ich domem.

Że zmrok zaledwie zapadał, Drakoa, przez ostrożność, rozkazał nawrócić łodzi i w stronę pełnego morza płynąć. Obawiał się, aby go nie dostrzeżono z wysokich przylądków Haiti; dopiero, gdy ściemniło się nagle, jak to bywa w podzwrotnikowych klimatach, łodzi cicho ruszyły ku wyspie. W miarę jak zbliżały się, wojownicy kładli się, zmuszając wiosłarzy, aby jak najmniej szumu wiosłami robili i tak, o północy przybili do ustronnej, ciasnej przystani ukrytej pod nawisającą skałą.

Stu dwudziestu Karaibów, pnąc się po skalistych złomach, wyruszyło, milczkiem, w głąb wyspy, w stronę wsi, która była stolicą Kotabanamy.

Wdarłszy się na wysoki, w tem miejscu, brzeg, szli gęsiego przez leśne gąszcze, prześlizgując się cicho, jak węże, pomiędzy splątane ljanya i grube łodygi winnych krzewów, co pięły się aż do szczytów wysokich drzew, owijając je jak zwoje chmielu w puszczech Europy. Robili to wprawnie i zręcznie. Trzeba było bystrego ucha, aby wśród szmeru strumieni i nocnych odgłosów lasu, rozróżnić lekki szelest pochodu Karaibów. Gdy tak szli po ścieżce wojny, również dzikiej jak i sama wojna niemiłosierną i dziką była, w tych czasach, a nie tylko w tych krajach, lecz i w rzekomo cywilizowanej Europie także, serce Kaonaba wzbierało dziedziczną walecznością, a także pychą młodego wojownika dumnego z pierwszej wyprawy swojej.

Potężne nowością i świeżością wrażenia, wypełniały jego surową duszę, wyciskając w niej nigdy już niezatarte obrazy i wspomnienia. W ciągu tych kilku godzin trudnego pochodu przez podzwrotnikową puszcze, Kaonabo, wczoraj jeszcze dzieciuch bawiący się na piaszczystych wybrzeżach z rówieśnikami i ulubioną Maimą, urosł w męża, w srogiego wojownika walecznego szczepu Karaibów. Odziedziczone po drapieżnych przodkach instynkty zagrały w nim z niezwykłą siłą, stępując ostrożnie po tej obcej ziemi, postanawiał, że ziemia ta jego zdobyczą stanie się, że skoro raz na nią stąpił, już z niej żyw nie zejdzie. Oczy

jego bojowem malowidłem okolone, lśniły się w ciemności fosforycznym blaskiem ślepi dzikiego kota, potężną dłońią ścisnął drzewce dzidy, a przepelnawszy pomiędzy zwoje olbrzymich korzeni, na wolniejszym miejscu prostował swą wysmukłą, silną kibić i próbował gibkości swych młodzieńczych członków, wyprężając je, jakby już śmiertelnie borykał się z olbrzymem Kotabanamą. Gdyby w ciemności puszczy mógł Drakoa przypatrzeć się synowi, a konieczne w tej chwili milczenie dozwoliło mu zbadać stan duszy jego, duma ogarnęłaby jego serce, tak wszystkie właściwości srogiej, zawziętej rasy zdobywców nagle zakwitły w duszy Kaonaba, uwierzyłby, że oto wstąpił na tę tak już dawno upragnioną ziemię ten, który zdobędzie wielką wyspę.

Przez przerzedzone gałęzie puszczy, Karaibowie ujrzeni brzaski nieba. Wychodzili już na uprawne pola. Drakoa zatrzymał pochód lekkim gwizdem nocnego ptaszka, który w tych puszczech nocami śpiewa, podobnie do europejskiego słowika, rozejrzał się chwilę wokół, dojrzał na tle nieba ciemne sylwetki chat i starał się je policzyć... liczne były, za liczne dla Karaiba, który tylko do dziesięciu umiał liczyć. Wódz brew namarszczył, chwila zwątpienia nawiedziła jego waleczną duszę... zawahał się, lecz rychło pomyślał:

— Nic to... Garstka Karaibów, morskich pta-

ków urikanu, zmoże to mrowisko zniewieściałych mrówek wielkiej wyspy...

I cichym, ledwie dosłyszalnym szeptem zapytał jednego ze starszych wojowników:

— Czy dużo ich tam śpi? Jak myślisz?

Zapytany zdjął z ramienia zawieszony na niem woreczek z bawełnianej tkaniny, napełniony ziarnem kukurydzy, wziął drugi takiż od stojącego obok towarzysza i rzucił oba przed wodzem, a dawszy tę wymowną, milczącą odpowiedź, szepnął:

— Ale śpią...

— A czaty widzisz? — spytał Drakoa.

Karaib pochylił się do ucha wodza i rzekł cicho:

— Czy gnuśne gęsi rozstawiają czaty, kiedy pasą się na łące, która zielenieje pomiędzy wsią i brzegiem na Turukejrze... Tak robią tylko morskie ptaki, o szerokich, białych skrzydłach, kiedy wypoczywają na wysokich skałach karaibskiej wyspy.

Drakoa, czując na sobie odpowiedzialność wodza, jeszcze się wahał, kiedy cicho, jak mara, zbliżył się do niego Kaonabo i rzekł:

— Wodzu, nie namyślaj się i nie wahaj... Jasna gwiazda już się kłoni ku morzu, rychło dzień będzie... nie zdołamy już do łodzi powrócić. Nadbrzeżni krajowcy odwrót nam odetną, a jeśli uderzymy śmiało, oni, słysząc bitwę, pośpieszą w pomoc swoim... jeśli nie zwyciężymy, to kto żyw

zostanie, dopadnie skrytych pod skałą łodzi i ujdzie cało, aby potem pomścić poległych, lecz jeśli tu, w lesie, dzień spędzimy, tak blisko od miasta Kotabanamy, odkryją nas, jakbyśmy cicho nie siędzili, łodzie zabiorą i kto nie padnie... w niewolę pójdzie.

Drakoa spojrzął na syna, brew zmarszczył i już chciał zgromić młodzieńca, który głos zabierał na radzie wojennej, gdzie starsi radzili, kiedy uderzyła go prawda słów jego. Po chwili milczenia, twarz mu złagodniała i rzekł:

— Lata twoje młode i żaden biały włos nie świeci na twojej głowie, a jednak powiedziałeś, jak stary wojak. Moja wina... nie wiedziałem, że miasto olbrzyma tak duże, a wódz wiedzieć powinien. Trzeba było na zwiady posłać. Twoja prawda, źle jest, ale uderzyć trzeba, zanim słońce wypłynie z pod wielkich wód.

Sprawił szyk bojowy, rozsypując Karaibów w długi, półkolisty łańcuch, którego każde ogniwo ku środkowi dążyć miało, a środkiem tym był plac, przy którym stał dom kacyka, większy od innych i na bielejącym już niebie rysował spiczasty swój dach z liści palmowych, poczem dał rozkaz do pochodu.

Wojownik karaibski omylił się jednak, porównywując żołnierzy Kotabanamy do gnuśnych gęsi. Higuejczycy byli najbardziej wojowniczym plemieniem z pomiędzy mieszkańców Haiti, sami

Karaibowie nauczyli ich czujności i waleczności częstymi napadami swemi. Kiedy napastnicy, ściskając półkole, zbliżyli się do wsi, wypadły ku nim liczne małe psy o zjeżonej sierści i milczkiem¹⁾ poczęły rzucać się na nich, próbując gryźć obnażone ich nogi. Karaibowie, broniąc się, usłyszeli gwar we wsi, a zanim zdążyli dotrzeć do pierwszych chat, ozwały się trwożne dźwięki trąb i zewsząd wyskakiwali rozespani, lecz zbrojni mieszkańcy. Po chwili, śmiało rzucili się na rabusiów i rozpoczęli bój.

Higuejczycy, nauczywszy się wojny od Karaibów, przyjęli także ich uzbrojenie i nawet strój. Podobnie umalowani byli, tak samo długie, czarne włosy zawiązywali u wierzchu głowy w duży pęk ozdobiony piórami papug. Zakolały ciężkie miecze z palmowego drzewa po tarczach Karaibów, ci maczugami wywijali młyńce, broniąc się od przeważającej liczby Higuejczyków, których coraz nowe zastępy nadbiegały, a najwięcej cisnęło się do wodza, którego, przy brzasku świtania, rozpoznali po czarnej barwie bojowego malowania.

Uległby mężczyzna Drakoa, gdyby nie Kaonabo, który, ze zwinnością młodości, nie dawał się wplątać w bój na miecze, lub maczugi, lecz odskakując na boki, rzucał się, niby jeden z tych niemych bry-

tanów, co bój rozpoczęły i śmiertelnie raził wrogów. Ciszę poranku wypełniły: łomot drewnianych maczug, wściekłe okrzyki walczących napastników, wycie krajowców, charkotanie psów płaczących się pomiędzy nogami wojowników.

Źle byłoby z Karaibami, gdyby nie ich przewaga w wojennem rzemiośle, lecz każdy z nich, choć nie jeden już krwią ociekał, stał niewzruszenie, jak wyniosły pień palmy. Jedni maczugą spustoszenie szerzyli, inni mieczami, których ostrza zębate, jak piły, nabite były rybiemi zębami. Walcząc, ściskali się zwolna w duże koło, do którego Higuejczykom coraz trudniejszy był dostęp. Żaden z nich jeszcze nie padł, wówczas, gdy krajowcy gęstym trupem zaścielali już pole walki.

Wtem, po nad wrzawą boju zapanował na chwilę potężny dźwięk konchy, echo, odbite od okalających stolicę puszc, potoczyło się aż na wybrzeża, i z gajów, otaczających chaty najbliższe pobojuwiska, wyskoczył nowy wojownik. Staął, wyprostował się i w tył przegiął, napinając ogromny łuk. Ciężka jęknęła i gruba strzała o trzech ostrzach kościanych zagrała w powietrzu... Drakoa krzyknął strasznie, schwytał za pióra strzały, chcąc ją z piersi wyciągnąć, lecz daremnie... za nim, z pomiędzy łopatek sterzczały trzy ostrza kościane.

Wielu z walczących boju zaprzestało i ogromny okrzyk podnieśli:

— Kacyk Kotabanama! Kotabanama! Olbrzym!

¹⁾ Psy te były pozbawione głosu. Pochodziły one z wysp karaibskich.

A gdy ów pędził wielkimi krokami do boju, Drakoa zwałił się na ziemię, łypnął białkami oczu, struga krwi rzuciła mu się z gardła i, leżąc, drgał nogami. Zmieszali się Karaibowie na ten widok. Czterech poskoczyło do wodza, porwali go z ziemi i, zasłonięci maczugami kupy towarzyszków, uchodzili z nim w lasy.

— Zasłaniać odwrót wodza! — rozpaczliwie wrzasnął Kaonabo.

Karaibowie, korzystając z chwili folgi w boju, jaką spowodowało pojawienie się kacyka, sprawnie rozwinęli się w długą linię i, dalej walcząc, cofali się także w stronę niedalekiej puszczy. Tam, oparłszy się o pnie drzew, murem stanęli, starając się zająć bojem jak największą liczbę nieprzyjaciół, aby zapewnić bezpieczny odwrót wodzowi.

Kotabanama grzmącym głosem wołał:

— Ścigać wodza Karaibów! Pojmać ich wodza!

I, olbrzymi, rozrosty¹⁾, o niezwykle groźnej twarzy, powaliwszy ciosami ciężkiego miecza dwóch Karaibów zastępujących mu drogę, rzucił się w las śladem z niezmierną chyżością uchodzących wojowników, którzy unosili Drakoę. Widząc to, Kaonabo puścił się za nim. Młody, sprężysty, sadził

¹⁾ Las Casas w swojej »Historji Indjan« pisze iż widział Kotabanamę, który był olbrzymiego wzrostu, o niezwykle potężnej budowie ciała, w ramionach miał dwa łokcie szerokości. Łuku jego nikt napiąć nie mógł a strzały były duże, ciężkie i o trzech ostrzach z rybich ości.

iście kociemi skokami, a dopadając kacyka, ryknął bojowym okrzykiem Karaibów i miecz wzniosłszy, już go miał ciąć w głowę, kiedy ów odwrócił się nagle i zakrył się tarczą. Miecz, wyciosany z ciężkiego palmowego drzewa, z ogromnym rozmachem uderzył w tarczę, ześliznął się z niej, a rybnie zęby, któremi ostrze jego najeżone było, głęboko wgrzęzły w ramię Kotabanamy i spory płat skóry odwalily.

Zapaśnicy głęboko już w lesie byli, daleko od walczących. Nieprzeniknione gąszcza, w których o tak rannej porze zmrok jeszcze panował, otaczały ich zewsząd. Kotabanama, otrzymawszy cięcie od Kaonaba, zasłonił się mieczem od następnego i z za tarczy pilnie patrzył na niego, a wybrawszy stosowną chwilę, rzucił się ku niemu, miecz i tarczę odrzucając. Schwytał go w pól, ścisnął straszliwie w potężnych ramionach, a gdy uczył, że młody wojownik dech traci, cisnął nim o ziemię, uklął mu na piersi i, rozwinąwszy pośpiesznie powróż, którym Indjanie, w celu brania jeńców, często opasywali się, skrępował go silnie, uniósł z łatwością, przez ramię go sobie przewiesił, i, biegnąc, powracał do boju, bo stracił już nadzieję, aby mógł wodza Karaibów dopędzić.

Kiedy wynurzył się z zarośli na polanę, gdzie bitwa wrzała, ujrzał już zwycięstwo swoich. Mężni Karaibowie ulegali pod przeważającą liczbą krajowców, wierni jednak rasowej swej waleczności,

bili się do ostatka, a obezwładnieni, gryzli nieprzyjaciół i zębami wyrwali im kawały ciała.

— Jeńców brać! — rozkazał potężnym głosem Kotabanama. — Wiązać!

Sapanie, rżenie i jęki rozległy się u skraju lasu, pośród zdeptanych łodyg kukurydzy, zasianej na polanie, okapujących obfitemi kroplami rosy porannej. Niedobitki Karaibów daremnie śmierci szukali, śmierci wzywali... szli w niewolę, w niewolę im niewolę, której tak obawiali się ci wolni synowie biało-sinych przylądków skalistych i żółtym piaskiem usłanych wybrzeży Atlantyku.

Kiedy słońce strzeliło snopami palących promieni z pod wód dalekiego widnokregu, przypiekło ono skrwawione czuby, zdobne w barwne pióropusze, poległych Karaibów i spoczone czoła nielicznej gromadki tych, co skrepowani, leżąc pośród badyli i liści kukurydzy, spieczonemi ustami chciwie pili ściekające z nich strugi rosy, a zuchwałemi, dziko patrzącemi oczami urągali wrogom. Zbyt nieposkromieni oni byli, zanadto w swobodzie i rabunku rozkochani, aby mogli być przydatni na niewolników; przeznaczeniem ich było jeńcami zostać i czekać w bezczynności na wymianę za dawniej schwytanych, przez Karaibów, mieszkańców Haiti.

Bohaterstwo ich jednak na marne nie poszło, dzięki niemu karaibski wódz Drakoa, chociaż martwy, dopłynął do rodzinnej Turukejry, a zwłoki

jego, poćwiertowane, i na odludnem wybrzeżu przez wiozących je wojowników uwędzone, zawisły w chacie ulubionej żony jego Aji, ściągając na Karaibów podejrzenie Kolumba, który, w kilkanaście lat potem, kiedy odkrył Turukejrę i nazwał ją Guadelupą, myślał, że ci wyspiarze są ludoźcami.

III.

Pierwsze czasy niewoli Kaonaba były uciążliwe i cierpienia pełne. Przypuszczając, że Karaibowie unoszący wodza swego jeszcze nie odbili od brzegu w Haiti, lub że inne ich łodzie wyrzuciły na wybrzeża znaczniejsze zastępy rabusiów, Kotabanama trzymał jeńca wciąż skępowanego w chacie sąsiadującej ze swoim mieszkaniem i strażą otoczonego. Po malowidłach zdobiących twarz więźnia poznał, że musi on być z rodu wodza, lecz chcąc być tego pewnym, gdyż miało to wielkie znaczenie, dając możność wymiany znacznego jeńca na któregokolwiek, lub może i na kilku pomniejszych kacyków uprzednio porwanych z Higueju, nazajutrz po bitwie, wszedł do chaty gdzie Kaonabo leżał uwiązany do jednego ze słupów dach podpierających i kopnąwszy go nogą, spytał:

— Coś za jeden, zuchwalcze, który śmiałeś stawać do walki z niezwyciężonym Kotabanamą,

nie bacząc na to, żeś marny młodzik w porównaniu do takiego jak ja męża?

Oczy Kaonaba zabłysły gniewem, zrobił wzgardliwą minę i odpowiedział, mówiąc wcale wyraźnym językiem wyspiarzy z Haiti, gdyż Karaibowie znali wszystkie mowy i narzecza wysp, na które najężdżali:

— Młodzik karaibski wart męża haitiańskiego i omal nie powalił sławnego olbrzyma Kotabanamę... Widzisz? Jeszcze ci krew kapie i skóra z ramienia zwisa... a od czyjegoż to miecza?

— Słuchaj. — rzekł kacyk spokojnie. — Wiem, że obyczaj wojowników każe ci uragać zwycięzcy. Młody jesteś, chwałę ci to, żeś oka nie mrużył przedemną, bo sam wojak jestem... Ale zaprzestań przechwałek, a powiedz mi kim jesteś pośród swoich?

Przyrodzona i przez wychowanie nabyta przebiegłość dzikiego wojownika doradzała Kaonabie skryć, na wszelki wypadek, stanowisko jakie zajmował na swojej wyspie, lecz chęć wywyższenia się przed zwycięzcą, nieopatrzność młodości i chępliwość Karaiba górę wzięły, odpowiedział:

— Jestem synem największego wodza na Turukejrze... Drakoa zwie się mój ojciec, a na mnie wołają: Kaonabo.

Słyszac to, olbrzym uśmiechnął się zadowolony i dobrodusznie rzekł:

— Zwał się, a nie zwie się, bo gdy strzała

z mego łuku puszczona ugodzi kogo, to już tylko wspominać o nim krewni i towarzysze mogą. Pewnie Drakoa już życie zakończył i wojownicy wędzą członki jego, gdzieś, na którejs z bliższych wysp waszych... Nie mało już Karaibów posłałem ryby łowić na wodach Wielkiego Ducha, jeśli im Zemi¹⁾ przychylnie były, a wiosłować na jego łodziach, jeśli oni z Zemami zadzierali za życia.

— Bronisz mi przechwałek, — pośepnie mruknął Kaonabo — a sam wciąż chełpisz się...

— To co innego, bo jestem kacykiem, twoim zwycięzcą i dorosłym bojownikiem, a tyś młodzik, którego związałem, jak chłopcy małą papugę w sidła pętają... To dobrze, że jesteś synem wodza, to cię wymienię na trzech kacyków moich podwładnych, których twoi w niewoli już dawno trzymają...

— Jeśli żyw będę, Kotabanamo... bo wiesz, że czarny ptak urikanu nie znosi niewoli... umiera w niewoli.

— Nie umrzesz, bo cię dobrze żywić rozkażę...

— Jeść nic nie będę, aby umrzeć. — ponuro mruknął młodzieniec.

— To cię dopóty będę męczył, aż jeść poprosisz, bo ja chcę odzyskać swoich podwładnych i przyjaciół. Po tom cię schwytał, bo przecież

¹⁾ Pomniejsze duchy haitiańskiej mitologii uosobione w bałwankach ustawianych w osobnych małych chatkach.

mogłem cię rozgnieść, jak dokuczliwego komara... Uważaj. Każę cię do słupa, wśród wsi, uwiązać na placu i przypiekać cię każę, a chłopcy uczyć się będą, strzelając z łuku do ciebie.

— Nie zastraszysz mię niczem, Kotabanamo.

Kacyk wzruszył ogromnemi barkami i wyszedł. W ślad za tem, przyniesiono więźniowi placki z kassawy i kukurydzy, ryby pieczone i owoce. On rzucił je w twarz dozorcóm swoim, chociaż był już głodny. Wieczorem, przyniesiono mu znowu pożywienie, a gdy on je odrzucił i nadaremnie próbowano jeszcze nazajutrz nakarmić jeńca, odwiązano go od słupa, wyprowadzono na plac i, wobec zgromadzonej starszyny, wzięto na męki. Kaonabo nie jęknął, ani krzyknął, tylko, wierny zwyczajowi, wymyślał wrogom:

— Marne psy z wielkiej wyspy, nie ukąszenia wasze zmożą odwagę wojownika z Turukejry!

Kiedy mu wbijano za skórę drzazgi drewniane, on mówił spokojnie:

— Miękkie wasze drzewo, łamie się o skórę wojownika, jak wasze liche dziryty o skorupy żółwia... Zniewieściali tchórze, którzy drżycie przed związanym synem wodza Karaibów! Weźcież ostre rybnie ości!

Gniew zaczynał ogarniać krajowców, gdy słyszeli te obelgi, lecz Kotabanama hamował ich, mówiąc spokojnie:

— Dajcie pokój... przecież wiecie, że on musi tak gadać... obyczaj wojenny.

Przypiekano potem jeńca, a gdy z bólu omdlewać zaczynał, odprowadzono go napowrót do więzienia i wkrótce potem, gdy przytomność mu wróciła, podano jedzenie, którego on znowu odmówił.

I siedział tak Kaonabo, uwiązany do słupa, niby ranny jastrząb, co, w niewoli, nawet na krwią ociekające mięso patrzeć nie chce. Męczono go i więziono naprzemian, a on dziko toczył krwią nabiegłymi oczyma, gorączka go paliła. Gdy kto wchodził do niego, najeżał się, jak ptak uwięziony i nic nie odpowiadał. Na siłach upadał, lecz w duchu krzepił się jeszcze. Na piąty dzień po bitwie, kacyk stanął znów przez nim i grubym, lecz łagodnym głosem rzekł:

— Młody wojowniku z Turukejry... waleczny jesteś, wiem o tem, bom widział jak walczyłeś... wiem, że masz hart woli, bo widziałem jak męki znosiłeś i głód... Daj pokój, nie wzywaj śmierci. Hańba żadna na tobie nie ciąży, że uległeś w walce z takim, jak ja, olbrzymem, że towarzysze twoi legli, walcząc jeden przeciw bardzo wielu. Stawaliście wszyscy mężnie, ja, wojownik, sprawiedliwość wam oddaję, a ciebie, za tę dzielność twoją, polubiłem jak syna. Nie umieraj marnie z głodu, Kaonabo, jeszcze lepsza przyszłość cię czeka. Urośniesz na wielkiego pośród nas wojownika,

a jeśli cię wymienię na swoich przyjaciół, to się jeszcze znowu kiedyś w boju spotkamy... ja ze starzeję, ty w siły się wzmożesz i... kto wie... może pomścisz na mnie tę dzisiejszą klęskę swoją... Kaonabo, — mówił z dobrocią w głosie — niech ciebie młode, bohaterskie serce nie boli... ja hańby twej nie chcę, do pracy cię nie zapędzę, pęta ci zdejmę, za syna cię przyjmę, kacykiem zrobię, bo powiadam ci, polubiłem ciebie za tę dzielność twoją.

Klasnął w dłonie, a gdy weszły kobiety, niosąc żywność, on znowu zwrócił się do jeńca:

— Kaonabo, mój dzielny chłopcze, zjedzże tej ryby, chlebem z kassawy przekąs i wypij słodkiego soku ananasów... Ja twej śmierci nie chcę. Niech nawet taki gość nieproszony, jakim jesteś, nie ginie z głodu pod dachem Kotabanamy, kacyka Higueju... Kaonabo, ty nie możesz chcieć zhańbić domu tego kacyka, który cię jak syna polubił, za syna chce przyjąć.

Czego nie dokazały męki i groźby, to zrobiły łagodność i wspaniałomyślność zwycięzcy. Kaonabo mniej dziko spojrział na zanego olbrzyma, z trudem uniósł zwieszoną głowę i słabym głosem chorego, prawie już umierającego, rzekł cicho:

— Kotabanamo... ja nie mam sobie za hańbę... zem uległ w walce... z takim potężnym, jak ty, rycerzem... Ja przy tobie w rzeczy samej marny młodzik jestem... siły jeszcze młode... zawiodły

pragnienie sławy... Kotabanamo, ja miałem szalone marzenie, że, zabijając ciebie, chwałą się okryję... Kacyku... ja ojca broniłem... odwrót wodza ochraniałem...

Kacyk sam podał mu chleb i kawał ryby, lecz Kaonabo zaledwie przełknął parę kęsów, zaraz omdlał, a gdy go ocucono, Kotabanama zdjął z siebie naszyjnik z kamyków i muszli, a zarzucając go na szyję młodzieńca, rzekł:

— Jako znak pokoju, naszyjnik ci swój daję, bo pokój i ufność i przyjaźń, od dziś, mają być pomiędzy mną i tobą.

Młody Karaib, skruszony, wznosił powoli rękę i przyłożył do wierzchu głowy na znak szacunku dla szlachetnego zwycięzcy.

Kacyk odszedł, a od dnia tego, Kaonabo przyjmował żywność. Młody jego organizm podcięty wysiłkami boju i kilkodniowym głodem, w ciągu dni kilkunastu walczył z niebezpieczną gorączką podzwrotnikowych klimatów, lecz, dzięki troskliwości kacyka, staraniom kobiet i butiów¹⁾ haitiańskich, wyszedł nareszcie zwycięzko. Majażenia gorączki i sprowadzone przez nią osłabienie, jakby mgłą jakiejś rozległej dali przykryły wspomnienia i wrażenia jego krótkiego życia dotychczasowego. Zbudził się, jak gdyby na nowo się urodził i rozpoczął nowe życie. Dzięką lecz

¹⁾ Kapłani-znachorzy.

wrażliwą duszą przyłgnął do łagodnego zwycięzcy swego i w oczekiwaniu sposobności do zamiany jeńców, pędził u jego boku życie bez trosk, pełne zabaw i wesołości, niepomne na jutro, bo ono zabezpieczone było bogactwem przyrody, to życie, jakie było udziałem szczęśliwych mieszkańców tej krainy, jednej z najwspanialszych pośród przepięknych wysp Nowego Świata.

Wyspa Haiti była wówczas podzielona na cztery główne, od siebie niezależne państewka, którymi były: Higuej, z należącymi do niego prowincjami: Maguana i Sigujaj, zajmował całą wschodnią część wyspy i rządzony był przez Kotabanamę; Ksaragua, leżąca na południo-zachodzie, obejmowała także półwysep Tiburon, tam naczelnym kacykiem był Behekio; Marien, północno-zachodnia część wyspy była pod rozkazami kacyka Guakanagari i nareszcie, północna Wielka Równina¹⁾, granicząca na południe z górami Sibao, będąca pod panowaniem kacyka Guarioneks.

Naczelnicy kacykowie mieli pod rozkazami swemi mnóstwo pomniejszych, z których, jedni władali kilku, lub kilkunastu wsiami, inni częstokroć jedną tylko. Z ramienia Kotabanamy prowincją Maguana rządził kacyk Guaora, a Sigujajem — Majonabeks.

¹⁾ Niema nigdzie śladów nazwy, którą krajowcy nadawali tej północnej części wyspy. Kolumb ją nazwał: Vega Real — równina królewska i historycy tak ją wszędzie nazywają.

Władza wszystkich kacyków wyspy była nieograniczona, lecz na ogół patryarchalnie łagodna, a piastujący ją cieszyli się wielkim szacunkiem a nawet przywiązaniem podwładnych. Wojny pomiędzy krajowcami zdarzały się wprawdzie, lecz nigdy długotrwałe, ani też krwawe nie były, po załatwieniu nieporozumień, łagodne, nieco leniwe, o nic nie troszczące się usposobienie tych wyspiarzy skłaniało ich do zapomnienia wzajemnych uraz i znowu zapanowywały: zgoda i spokój, znowu po dużych, nieraz tysiące chat liczących wsiach rozrzuconych nad cichymi zatokami o błękitnych, przezroczystych wodach, po gajach palmowych, w cieniu rozłożystych drzew mahoni, nad szemrzącymi strumieniami unoszącymi złote blaszki i na bujnych łąkach, rozestanych przy szerokich rzekach o kryształowo-czystych nurtach, rozbrzmiewały wesołe śpiewy taneczne, przy dźwięku drewnianych bębnów i trąb w hebanie wydrążonych, lub tęskne, a czasem uroczyste areyto opiewające sławę dawnych kacyków, ich dobre czyny, a także prastare, naiwne wierzenia pierwotne i znowu dalej płynęło, z pokolenia w pokolenie, ciche życie, trochę senne, lecz nędz pozbawione, trosk żadnych nieznające, na łonie jak matka hojnej i łagodnej przyrody.

Wypadkami tam były i epoki stanowiły: święta przez kacyków ogłoszone, procesje tłumne do szłasów, gdzie stały potworne, gliniane, drewniane,

lub z bawełny uwite posągi bożków, Zemi zwanych, lub też do świętej, olbrzymiej jaskini, z której, przed laty i laty, już bardzo dawno, wyszły słońce i księżyc, co młodsze od ziemi były, bo piękna wyspa Haiti istniała już przed początkiem czego bądź. Pod to wspaniałe sklepienie, tak prawidłowe, iż zdawałoby się, że ręka ludzka je wykuła w skale, znoszono wieńce pysznych kwiatów wonnych, zielone gałęzie i owoce barwne a soczyste... tam... nieśmiało, butio-kapłan wspominał o Wielkim Duchu, panu Zemów, który urodził się z matki, lecz ojca nie miał.

Często, prawie cała wyspa zajęta była ważnym wypadkiem: oto, któryś z potężnych kacyków oddawał w zamęcie córkę synowi zaprzyjaźnionego sąsiada. Wtedy, weselu, radości, śpiewom i ucztom końca nie było. Poeci-śpiewacy na nowe areyta wysilali się, tancerze wyrazistą mimiką i pełnemi wdzięku ruchami przypominali wtajemniczonym dawne boje, przebrzmiałe chwały, minione radości, lub stare legendy, na których mgliste wierzenia, raczej marzenia, oparte były.

Niekiedy, ciszę i zabawę przerywał najazd Karaibów. Wtedy, Kotabanama, mając u boku Kaonaba, w którym coraz bardziej był rozmiłowany, stawał mężnie, podziwiając waleczność przybranego syna, ów bowiem, w ciągu lat kilku tej uroczej niewoli, zapomniał o dzikich rodakach

i dziedziczne, wojownicze zdolności swoje przeciw nim zwrócił.

Kiedyś, po nocy pełnej krwi przelanej i zgiełku wojny, wśród gąszczów puszczy, gdy świt oświecił ponure pobojowisko, a Karaibowie, uprowadzając jeńców, cofnęli się ku łodziom swoim, Kaonabo pośród skrępowanych niewolników, przez Higuejczyków pojmany, poznał brata swego, młodego Manikaoteksa. Wtedy, fala dawnych wspomnień powróciła do jego duszy: zobaczył, jakby za mgłą wieczorną, dzikie przylądki blado-błękitne, żółte piaszczyste brzegi zatok, na których, grając pośpnie, mrą fale przygnane z dalekich, nieskończonych wód wielkich, wokoło sterczą białe skały nagie, a na nie, z dzikim wrzaskiem, zlatują się chmury wolnych ptaków morskich o długich, szerokich skrzydłach i mocnych, żarłocznych dziobach... Gdzieś, w niewyraźnej już dali, przemknęła, przed pamięcią jego, matka oparta o samotnie nad brzegiem stojącą palmę, w rękę trzymając łuk napięty i ostrą strzałę zatrutą broni rodzinnych wybrzeży... Usłyszał głos łzami nabrzmiały: »Nie przywóz pięknych niewolnic, ja sama dla ciebie chleb z kassawy upiekę, sama postanie z miękkiej bawełny uścielę...« Lecz chwilę tylko ta rozterka trwała w duszy dziecięcia przyrody, dla którego chwila obecna wszystkim jest. Wspomnienia odleciały tem rychlej, że gotowała się nowa burza, groźna domowa wojna.

Podwładny Kotabanamie kacyk Maguany, Gu-
aora, podniósł chorągiew buntu, chcąc ze swej prowincji stworzyć niezależne państwo. Kotabanama, pomimo swej łagodności, nie mógł znieść tego. Rozesłał posłów do głównych kacyków sąsiednich dzielnic, biorąc ich za świadków swej krzywdy i gotował się surowo skarcić lennika za zdradę.

W kilka dni zaledwie po odparciu najazdu Karaibów, ruszył na zachód, na czele dwóch tysięcy wojowników. Niby jedna z tych rzadko zdarzających się, lecz straszliwych burz, urikan przez krajowców zwanych, przeleciały dwa wojska Higuejczyków przez zbuntowaną Maguanę. Jednym z nich dowodził sam kacyk, drugim Kaonabo, któremu wypadło w udziale zdobycie stolicy, również jak sam kraj, Maguana zwanej. Kiedy uwiadomiony o tem powodzeniu, Kotabanama pospiesznymi pochodami zdążył do zdobytego miasta, Kaonabo rzucił przed nim na kolana skrępowanego Guaorę.

Siedząc na zgliszczach domu niewiernego lennika, otoczony podwładnymi kacykami, pomiędzy którymi byli prawie już wszyscy wodzowie wsi maguańskich, bo złożyli oni czołobitność i przeprosili zwycięzcę, łagodny olbrzym odegrywał końcową scenę wszystkich podobnych zająć na spokojnej wyspie o dobrodusznym mieszkańcach: sprawował sądy, wyznaczał kary, przebaczał i urzędy rozdawał. Nagi, umalowany jak do wojny, z ogro-

mnym pióropuszem jaskrawym we włosach, obwieszony naszyjnikami ze złotych blach przemieszanych z muszlami i zielonemi kamykami, z czołem uwieńczonem złotą koroną, o twarzy z umysłu groźnej, z dłońmi wspartemi na olbrzymim łuku, siedział na zydłu z czarnego drzewa rzeźbionym i w tej postawie sięgał głową pióropuszków wyspiarzy co przy nim stali. Wokoło spalonego miasta piętrzyły się skaliste góry, pokryte gęstym lasem, gdzie ryczał wodospad górskiego potoku, który, stamtąd, już spokojniejszy, wypływał w dolinę, a przez kryształowe jego wody, pod jaskrawemi promieniami południowego słońca, migotały toczące się na dnie, pośród piasku i różnobarwnego żwiru, blaszki złota. Duży plac zdobytego miasta zalegały tłumy upokorzonych i zupełnie już poskromionych mieszkańców.

Kotabanama spokojnie, donośnym, grubym głosem mówił:

— Wszystkich kacyków pozostawiam władcami ich wsi dziedzicznych, bo oni ulegli namowom zdrajcy Guaory, lecz w ich sercu niema nienawiści dla mnie, ich pana, zrodzonego z pierwszej żony zmarłego kacyka, która była siostrą jego poprzednika... Uważajcie ludzie! W ten sposób, niema żadnej wątpliwości, iż z rodu kacyków pochodzę, bo pamiętajcie dobrze o tem, że nikt nie jest pewny, kto był ojcem jego, ale wszyscy wiedzą, z jakiej matki każdy zrodzony...

Wtem, z pośród otaczających wojowników, wyszedł butio-kapłan obwieszony naszyjnikami i naramiennikami z kamyków kolorowych; ciało miał umalowane w wizerunki Zemów, a mały posążek jednego z nich był do jego czoła uwiązany przepaską połyskującą blaszkami złota. Skłonił się głęboko przed władcą i rzekł:

— Prawda, Kotabanamo, wielki kacyku, który z czasem będziesz Guamikuina¹⁾ całej wyspy, ze słów twoich świeci, jak księżyc, kiedy jest okrągły. Każdy jest przedewszystkiem matki swej synem, tak dalece, że nawet Wielki Duch, który mieszka w niebie, ma tylko matkę, a ojca nie miał wcale... Kotabanamo, jeśli każesz, zaśpiewam o tem piękne, stare areyto...

— Później... później... — rzekł cierpliwie olbrzym. — Będzie i na to czas. Teraz, nie przeszkadzaj mi, mądry butio, w sprawach kraju.

A gdy butio, znowu głęboki pokłon oddawszy, skrył się w szeregach swoich towarzyszy, kacyk mówił dalej:

— Guaora, który nie chciał zadowolić się stanowiskiem, jakie ród jego od niepamiętnych

¹⁾ Tytuł, o którym, w czasie gdy Kolumb odkrył Haiti, krajowcy wspominali tylko, gdyż stanowiska tego naczelnego władcy całej wyspy żaden z kacyków nie zajmował. Zdaje się to wskazywać, że w czasach dawniejszych, Haiti stanowiła jedno państwo o znacznej ilości fennyh kacyków.

czasów zajmował, zostaje z moich krajów wynany. Niech sobie szuka po świecie jakiego dowództwa... Nie chcę krwi jego przelewać, chociaż mam do tego słuszny powód. Niech idzie spróbować, może go Karaibowie, na której ze swoich wysp, kacykiem obiorą.

Na te słowa władcy, płacz, łkanie i jęki rozległy się wokoło, wśród ludu. Klęczący przed Kotabanamą, Guaora głowę zwiesił, twarz w dłonie ukrył i łkał cicho, jak skarcone dziecko. Olbrzym wyciągnął ramię i, objawszy Kaonaba obok niego stojącego, pochylił go ku sobie i szepnął:

— Niech płaczą, ale ja tam nie chcę krzywdy tego nieboraka... poślę go do Guakanagarego, kacyka Marienu, lub też do Behekia z Ksaraguy i będę ich prosił, aby, jeśli mają jaką wieś, gdzie ród kacyków wygasł, przyjęli go na to stanowisko, bo on jest synem kobiety pochodzącej z rodu kacyków... zginąłby, gdyby już nie mógł zjadać mięsa guana ¹⁾.

Puścił szyję Kaonaba, poczem, rzekł groźnie:

— Powstań, Guaoro, który już nie jesteś kacykiem i prosto stąd ruszaj precz z kraju mojego.

A gdy ów, posłuszny, powstał i odchodził, płacząc, wśród szpaleru swoich byłych podwła-

¹⁾ Rodzaj dużej jaszczurki o tak smacowym mięsie, że obyczaje haitiańskie zabraniały jego używania gminowi, pozostawiając je na pożywienie dla kacyków i ich rodzin.

dnym, którzy go przeprowadzali żywemi oznakami smutku, Kotabanama mówił:

— A oto Kaonabo z rodu karaibskich wielkich kacyków, od dnia dzisiejszego będzie waszym panem! Jemu winniście posłuszeństwo i daninę, a on — nikomu, oprócz mnie tylko... A teraz, pochód do domu Zemi, który dotąd należał do Guaory, a obecnie jest już Zemą Kaonaba! Hej! Butiowie! Sprawić pochód świąteczny! Dziękować temu Zemi za zwycięstwo Kotabanamy! Prosić o opiekę dla Kaonaba, nowego kacyka Maguany! A potem, uczta, śpiewy i tańce!

Lud, w jednej chwili, stłumił w sobie żal o stracie dawnego pana. Zakrzętało się sprawnie i rychło utworzył się ogromny pochód. Naprzód szli butiowie z Kotabanamą i Kaonabem na czele. Obaj kacykowie bili w duże bębny z rybich łusek zrobione, a zwane maguej. Za nimi pomniejsi kacykowie nieśli placki kassawy i z kukuzydzy upieczone. Dalej, postępowały kobiety zamężne, niosąc gałęzie palm i owoce, te ubrane były w krótkie zapaski różnobarwne z bawełnianej tkaniny, głowy, szyje i ramiona ich ozdobione w wieńce kwiatów i naszyjniki z muszli, kamyków i złotych blach, a za nimi szły, tańcząc, dziewczęta zupełnie nagie i niosły pęki i wieńce z kwiatów na ofiarę dla Zemi.

Pochód zamykały tłumy uroczyście nastrojonego ludu. Przybywszy do szałasu wystawionego

na polanie gęstym lasem otoczonej, butiowie weszli doń i tam powitali ogromnym krzykiem posąg Zemi, aby go zbudzić, poczem, kilku z nich śpiewało hymny. Kaonabo, jako nowy kacyk, musiał zaśpiewać areyto. Kiedy wszyscy z uwagą wysłuchali go, kacykowie złożyli Zemi w ofierze placki, które przynieśli, a butiowie, połamawszy je na kawałki, rozdawali ludowi. Wszyscy chowali je, gdyż miały one ich bronić od wszelkich złych przygód.

Wieniec, gałęzie i kwiaty zawieszono i złożono przed posązką bożka, poczem, lud rozchodził się w świątecznym nastroju, rozweselony i podniecony nadzieją wieczornej zabawy.

A gdy zabłysła pierwsza gwiazda na pociemniałym błękitnie, okoliczne gaje i polany rozbrzmiały dźwiękami bębnow i trąb, trzaskiem drewnianych wydrążonych tabliczek, któremi tancerze uderzały w takt ruchów swoich, śpiewem wesołych, tanczących i miłosnych areytów. Nad potokami i w gąszczu pachnących krzewów ciche, czułe szepty szemrały, gdzieniegdzie, chóralny wybuch śmiechu budził górskie echa, a wszędzie wznosiły się dymy ognisk i w powietrzu przesyconem zapachami kwiatów, którymi łąki usłane, a drzewa obwieszane były, leciały wonie świeżego chleba z kassawy, pieczonych ryb, utiów¹⁾ i guanów.

¹⁾ Rodzaj królików lub zajęcy.

Wyspiarze, wierni chwiejności swej dziecięcej kultury, już nie pamiętali o wojnie, która wczoraj jeszcze kraj cały w perzynę obróciła, zapomnieli o rozpacz i smutku, z jakimi żegnali swego wodza i pana, a całkowicie oddali się rozkoszy chwili obecnej, wśród upajających uroków czarującej przyrody swego kraju.

Nikt zaręczyć nie może, czy sam Guaoro, gdzieś, w ustronnym zakątku pachnących gajów, nie uczłował z przyjaciółmi i nie tulił do umalowanej piersi cudnych wdzięków jasno-brunatnych jakiejś leśnej dryady rodem ze złotodajnych dolin przerywających wysokie góry Sibao. I nie dziwby było. W tej strefie i w tym klimacie, na żyznej ziemi tych błogosławionych wysp, potrzeby człowieka były tak małe, a bogactwa przyrody tak wielkie, że prędko i skutecznie ta hojna matka goiła rany, które same sobie zadawały lekkomyślne jej dzieci.

IV.

Kaonabo objął rządy nad Maguaną. Podwładni mu kacykowie uczuli twardą rękę karaibskiego wojownika, który, z pomocą brata swego, Manikao-teksta i przybocznej gwardji złożonej z pozostawionych mu przez Kotabanamę jeńców, także rodaków jego, zaprowadzać począł porządki nieznane pośród zniewieściałych mieszkańców Haiti.

Daniny podniósł i ustalił, czem zmusił Maguańczyków do umiarkowanej lecz stałej pracy, a tem samem, podniósł się ich dobrobyt, bo nadmiar owoców pracy, po zapłaceniu daniny, pozostawał w ich ręku, w czem, z biegiem czasu, zasmakowali i szemrać przestali. Kopalnie złota, w które obfitowały południowe stoki gór Sibao stanowiących północne rubieże Maguany, uporządkował i zagospodarował, używając do pracy w nich tych którzy woleli tą pracą zamienić daninę, w ten sposób zdobywał znaczniejszą, niż poprzednicy jego, ilość złota, które służyło mu do wymiany z innemi

częściami wyspy, gdzie kruszczu tego nie było, na materiały spożywcze, których w jego górzystem i skalistem państwie było mniej, lub zupełnie nawet brakło. Tem złotem opłacał także haracz Kotabanamie. Zmusił poddanych do utworzenia rodzaju regularnego wojska, i obsadzał niem południowe granice państwa, dotykające brzegów morza, na które Karaibowie często napadali. Leniwym Haitianom, w początkach, ten przymus wojenny bardzo się nie podobał, lecz z czasem, przyzwyczaili się do ćwiczeń rycerskich i polubili je, zwłaszcza, że wódz często urządzał rodzaj turniejów, poczem następowały nagrody dla najsilniejszych i najzręczniejszych, odznaczenia różne i ucztę z tańcami, które im tak drogie były.

Przekonali się oni także, że od czasu, kiedy Kaonabo w Maguanie zapanował, napady Karaibów stawały się mniej krwawe, mniej w kłeski obfite, waleczny, młody kacyk z bratem i gwardją cudów waleczności dokazywali i rabusie prawie zawsze uchodzić musieli z próżnemi rękami bez jeńców i bez łupu, a sąsiedni kacykowie szanowali granice Maguany i podwładni ich już samowolnie po złoto do gór Sibao nie przychodzili, w ich lasach i dolinach nie polowali. W państwie Kaonaba ład, posłuch i pracowitość zapanowały, dobrobyt wzmógł się wraz z ufnością narodu w swe siły i w swą waleczność, za pomocą których dobrobytu tego bronić potrafił. Czynny, energiczny

i przedsiębiorczy Karaib wszczepił część ducha swej rasy w Maguańczyków i powoli stwarzał na Haiti państwo, które, chociaż mniejsze od innych i nie tak bogato przez naturę uposażone, a jednak, pomimo to, bogatsze i silniejsze od innych stawało się.

Z ostrożnością przyrodzoną charakterom zdobywców i rasom prawdziwie zaborczym, szanował miejscowe wierzenia, obyczaje i przesady, sam je przyjmując, gdyż, tak młodo dostawszy się pośród obcych, nie spotykał w tem żadnej przeszkody w swej duszy, która, pod tym względem, przedstawiała białą kartę gotową przyjąć wszystko, co bądź życie i jego wymagania na niej zapiszą. Z czasem, ociężały Kotabanama, widząc, że prowincja jego jest tak przykładowie rządzona, przestał do niej zaglądać i tylko niekiedy używał ulubieńca przeciwko napadom Karaibów, a Kaonabo, żądny utrzymania rycerskiego ducha w swem wojsku, nigdy mu tego nie odmawiał, lecz natomiast, z miesiąca na miesiąc, coraz-to mniejszą daninę płacił i nareszcie zupełnie zaniechał tego obowiązku lennika.

Markotno z tem było Kotabanamie, lecz nie miał serca upominać ulubieńca i od tego, który piersiami swemi zasłaniał jego brzegi, najbardziej, z całej wyspy, narażone na najazdy Karaibów, wymagać jeszcze złota. Raz nawet, po jednej z takich krótkich, lecz zawziętych wojen, w której

sporo Maguańczyków padło i w niewolę poszło, siedząc w chacie Kotabanamy, który go po królewsku podejmował, chcąc mu wynagrodzić jego waleczne czyny, Kaonabo żalił się przed naczelnym kacykiem:

— Cóż z tego, że odpędziliśmy drapieżnych Karaibów, skoro ja prawie samotny powracać muszę w ubogie góry moje... Kwiat moich wojowników padł w bitwie, inni poszli wiosłować na dużych łodziach... sierotą zostałem. Maguańczycy przeklinać mię będą i pytać com zrobił z ich braćmi i synami... Tak, tak, sierotą zostałem...

I smutnie głową kiwał i od smacznej pieczeni z guana odwracał się, a Kotabanama ze współczuciem mówił:

— Niech cię pocieszy to, że dużo jeńca karaibskiego zdobyłeś... za tamtych, masz tych, a wojownicy to dzielni...

— Iii!... Dzikie to, niesforne. Ilu-to będę musiał kazać łeb uciąć, lub też na pał wbić, zanim upokorzą się i wiernie służyć zaczną... Kotabanamo, nic mię nie pocieszy. Klęskę poniosłem, bezpowrotną klęskę poniosłem... dla ciebie.

Miękkiego serca olbrzym zapomniał, że lennika ma przed sobą, widział w nim tylko gościa i towarzysza broni, zaczął się przed nim usprawiedliwiać:

— Kaonabo, mój chłopcze, cóż ja temu winien jestem, dlaczego pogardzasz jadłem i gościnnością

moją? Przecież nie ja sprowadziłem tych rabusiów, aby twoich wojowników w niewolę brali... Moich ludzi także sporo poszło... Masz, jedz — i wybierał co piękniejsze owoce, podając je gościowi. — Masz, zjedz tych »mamej«... bo choć to zwyczaj każe te wyborne owoce zostawiać dla dusz zmarłych ludzi, ale i nam z tobą już niedaleko do tego było, abyśmy nocami chodzili straszyć żywych... Gdyby nie twoja maczuga, coś nią tak gracko rozbił łeb tego Karaiba, który z tyłu zdradziecko mię napastował, kiedy ich kilku i tak przed sobą miałem, tobym już teraz chyba bez pępka¹⁾ tu, pomiędzy wami siedział — a zwracając się do kacyków, którzy z nim ucztowali i kładąc ogromną dłoń na ramieniu Kaonaba, mówił dalej: — Tak, gdyby nie on, który mię w tak ciężkich opalach ratował, to musiałbym już teraz żyć samem tylko »mamej«, a ono chociaż wyborne, ale ja wolę guana pieczone. Zresztą, tyle tych »mamej« u nas jest w lasach, że myślę, iż niekiedy możemy sobie ich pozwolić bez krzywdy dla tych, którzy pomarli... Kaonabo, korzystaj zatem, synu, z ucztu dzisiejszej i zjedz tych zabronionych żywym, w innej porze, owoców..

— Nie chcę ja, Kotabanamo, ani ryby, ani

¹⁾ Przesąd dawnych Haitian: umarli chodzili nieraz pomiędzy żywymi i poznać ich można było tylko po tem, że pępka nie posiadali.

mięsa, ani nawet mameju, skoro niema moich dzielnych wojowników, których potraciłem, aby cię od Karaibów bronić...

— Cóż ja zrobić mogę, aby cię wynagrodzić? — spytał rozczulony olbrzym.

Kaonabo melancholijnie na dobroczyńcę swego popatrzył i, wzdychając, odpowiedział:

— Życia i wolności wrócić im nie jesteś w stanie, ale za wojownika każdego, któregoś stracił, dać mi wojownika swojego możesz... A jeśli ja sam ich wybiorę, to może choć w części straty powetuję.

Zwiesił głowę i w smutną zadumę pogrzyżył się. Kotabanama, zafrasowany, głową kiwał bezradnie, po swoich kacykach wodząc poważnemi, lecz niezbyt bystremi oczyma. Jeden z nich pochylił się ku wodzowi i szepnął:

— Ciężko dawać, cóż robić jednak, skoro wypada... ale niech sam nie wybiera.

Kotabanamie oblicze rozjaśniło się. Zdawało mu się, że sprawę wygrał i rzekł głosem, który brzmiał jak echo gromu w górach Higueju.

— Kaonabo, za straconego wojownika dam ci wojownika! Tylko nie ty, a ja ich wybiorę, bo samych niedołęgów zostawiłbyś mnie! No, zgoda?

— Ha! — rzekł wzdychając, Kaonabo. — Niech i tak będzie, przecież z dobroczyńcą moim nie będę się targował...

— Aaa! Jeżeli tak? No, to trzech sam sobie wybierzesz! — wrzasnął Kotabanama.

Kaonabo rozchmurzył się, dziękował, obiecywał na tych warunkach swą pomoc ilekroć jej Kotabanama zażąda, a po trzydniowym uctowaniu z tańcami i śpiewami, obdarowany przez olbrzyma dwoma przesłicznymi dziewczętami, które ilość jego dotychczasowych żon do tuzina podnosiły, zabrawszy co do jednego tyłuż wojowników ilu ich stracił, z taborem powiększonym rodzinami tych niedobrowolnych emigrantów wyruszył z powrotem do Maguany.

Kaonabie nie szło o straconych wojowników, których odważni, w rzemiośle wojennym wyćwiczni jeńcy karaibscy, co ich wiódł z sobą, skutecznie zastąpić mogli, pomimo szczuplejszej swej liczby, on chciał zaznaczyć swą niezależność od Kotabanamy i w rzeczy samej, od dnia tego, zrobił się zupełnie niezależnym władcą Maguany, która w ten sposób stała się piątym państwem na Haiti.

Po kilku latach panowania swego, Kaonabo był już bodaj najpotężniejszym kacykiem wyspy i jej bohaterem powszechnie podziwianym i szanowanym, a co dziwniejsza, pomimo, iż go obawiano się, szczerze lubianym przez dobrodusznych, naiwnych i lekkomyślnych wyspiarzy.

Była jednak jedna ciemna plama na jego szczęśliwym życiu. Pomimo, iż posiadał dwanaście

żon¹⁾ wybranych z pomiędzy najdorodniejszych dziewcząt wyspy, obawiał się, że dynastji swojej nie utwierdzi, nie z braku potomstwa, którego miał już sporo, lecz dlatego, iż żadna z jego żon nie pochodziła z rodu naczelných kacyków. Sam zaś, chociaż był synem karaibskiego wodza, nie miało to w oczach Haitian żadnego znaczenia, bo Karaibowie byli zbyt przez nich znieawidzeni i zanadto obawiali się oni tych drapieżnych synów południowych archipelagów. Wierny instynktom rasowym, przed paru laty, porwał był córkę poprzednika swego Guaory, który po wygnaniu z Maguany osiadł w Marienie, gdzie od tamtejszego naczelnego kacyka Guakanagarego, otrzymał za wstawiennictwem Kotabanamy, lennem prawem, parę wsi osieroconych po wygaśnięciu rodu swych kacyków, lecz dziewczyna ta chociaż go jakoś nie mogła, czuła się nieszczęśliwą w domu jego i wkrótce bezpotomnie zmarła, pozostawiając mu w spuściznie po sobie tylko naganę powszechną za niepraktykowany na wyspie sposób, w jaki ją poślubił, czego, nawet ulubieńcowi swojemu i bohaterowi, wyspiarze, niezmiernie czuli na wszystko co dotyczyło cnoty niewieściej, przez czas jakiś darować i zapomnieć nie mogli.

¹⁾ Kacykowie, stanowiący arystokratyczną warstwę narodu, miewali po kilka i kilkanaście żon, wśród ludu zaś, wielożenstwo nie było we zwyczaju, chociaż i nie wzbronione, ani wierzeniami, ani obyczajami.

Rozpatrując się pomiędzy córkami naczelnych kacyków, Kaonabo wyróżnił słynną z piękności siostrę Behekia, kacyka Ksaraguy, nazwaną Anakaona, co znaczyło w miejscowej mowie: złoty kwiat. Przedsiębiorczy Karaib, niezwlekając długo, udał się w zaloty, które pomimo, iż rozpoczęte zostały z powodów polityczno-dynastycznych, skończyły się na wielkiej miłości, jaką zapalał on, skoro ujrzał prześliczną córkę najpiękniejszej dzielnicy wyspy, którą była Ksaragua.

Zaloty jednak szły jak po grudzie. Mieszkańcy Ksaraguy byli wykształceńsi i bardziej cywilizowani od innych Haitian, a pomiędzy nimi Anakaona była naprawdę złotym kwiatem, pomimo więc polityczno-wojennej sławy Kaonaba, dziki i szorstki Karaib narazie nie podobał się pięknej, łagodnej i poetycznej księżniczce, ani też zachwyił jej brata, kacyka Behekio, który począł wyszukiwać mniej lub więcej zręcznych sposobów, aby wykręcić się od zaszczytu tego związku. Kaonabo, z przyrodzoną sobie przenikliwością, bardzo rychło zmiarkował, że zwykłą, utartą w takich okolicznościach drogą nic nie zdziała, postanowił zatem wyrzucić nacisk, korzystając z wciąż wzrastającej swej sławy i potęgi, wiedział bowiem, że zajął już na Haiti takie stanowisko, iż wszyscy jej kacykowie liczyć się z nim zmuszeni byli. Użyć sposobu, jakim zdobył córkę Guatory, nie chciał, zbyt już bowiem dbał o opinię powszechną. Iść

wstępny bojem, napaść na Ksaraguę, zawładnąć tym krajem a razem z nim i Anakaoną, która mu i jako kochanka i na matkę przyszłych dynastów tak pożądana była, nie czuł się jeszcze na siłach, bo czynem takim mógł poruszyć przeciwko sobie całą wyspę. Pozostawiając zatem ten sposób, który uśmiechał się jego zuchwałej naturze, na ostatek, na wypadek gdyby Behekio nie dał się zastraszyć samemi pogroźkami, postanowił udać się o pośrednictwo do wuja Anakaony, znanego z dobroduszości i pokojowego usposobienia kacyka Marienu, Guakanagarego.

Otoczony liczną drużyną doborowych wojowników, ruszył do Marienu przez góry i wspaniałe puszcze haitiańskie. Po drodze, godził zwąśnionych lenników swoich, sądy sprawował, polował na utia, guana i ptactwo, wszędzie podziwiany za swoją stanowczość, mądrość a także za pańską postawę i za niezmierną zręczność w rycerskich ćwiczeniach, która rzadkością była pośród łagodnych i poetycznych mieszkańców Haiti.

Kiedy wszedł w posiadłość Guakanagarego, zadziwił wszystkich hojnością, bo za zwykłą, tradycyjną gościnność, która pozwalała nawet pod nieobecność gospodarza splądrować do szczętu jego spiżarnię, on płacił złotem ozdobami, lub naszyjnikami z cenionych kamieni i muszli. Gdy już zbliżał się do Guariko, stolicy Marienu, Guakanagari, zdziwiony i trochę zaniepokojony temi

niespodzianymi odwiedzinami, wierny dawnemu obyczajowi, wyszedł na jego spotkanie daleko za miasto, otoczony stosownym do okoliczności orszakiem i witał go tradycyjną przemową:

— Wielki kacyku Maguany, a kochany sąsiedzie i przyjacielu, przybywasz poprzedzony wieściami o sławnych i wspaniałych czynach twoich, wielką potęgą otoczony i znacznymi bogactwy ozdobiony... Bądź pozdrowiony i chodź do ubogiej chaty mojej, w której, od tej szczęśliwej dla mnie chwili, kiedy oczy moje ujrzały cię stępującym po mojej ziemi, wszystko jest twoją własnością. Chodź i spocznij po uciążliwej podróży w hamaku moim i głód zaspokój wszystkim, co w domu moim znajdziesz, gdyż dom to już nie mój, lecz twój własny.

Kaonabo, stojąc naprzeciw nieco starszego od siebie sąsiada, w środku dużego koła utworzonego opodal wkoło nich przez oba orszaki, odpowiedział:

— Guakanagari, potężny władco Marienu, z pokłonem przychodzę do ciebie i z prośbą o mądrą radę, bo mam nadzieję, że wsławiwszy się mądrością pośród kacyków Haiti i mnie w hojności swojej obdarzysz jej częstką.

Guakanagari trochę trwożnie spojrział na gościa uzbrojonego, bo sam, zwyczajem krajowców, wyszedł na jego spotkanie zupełnie bezbronny, nadrabiał jednak miną, wyprostował swą kształtną,

nagą postać i chwilę stali tak, milcząc, naprzeciw siebie, niby dwa posągi z jasnego, złotawego spiżu, w ciszy zapadającego zmroku, otoczeni milczącym tłumem, za którym z jednej strony czerniała puszcza i cienie już w niej gęstniały pod konarami leśnych olbrzymów, a z drugiej, na złocistym tle zachodu, wznosiły się wysokie i proste słupy dymu z licznych chat Guariko, ulatujące w spokojne, przezroczyste powietrze.

— Nie tu, Kaonabo, mój gościu, miejsce na poufne zwierzenia kacyka przed kacykiem. — rzekł Guakanagari. — Chodź do Guariko, które już teraz jest twoją stolicą. — i wskazał gościowi lektykę, przez sześciu ludzi unoszoną, aby w niej miejsce zajął.

Sam zaś, wsiadłszy do takiejże, przodem nieść się kazał, aby drogę wskazywać, a wprowadziwszy gościa do swego domostwa, które obszerniejsze od innych było i wsparte na wysokich słupach, co wewnątrz, niby okrągło zarysowaną kolumnadą dach podierały, posadził go na rzeźbionym stołku, pod nogi dywan misternie pleciony z palmowych włókien rozesać mu kazał, a wezwawszy znacznie-szych swoich i przybyłych kacyków, kazał im zająć wokół niskiego, ozdobnego stołu przed gościem stojącego i podejmował Kaonaba obfitą ucztą powitalną, przy której mówiono mało, poważnie, a zachowywano się wytwornie, jedząc umiarkowanie i czysto. Kiedy biesiadnicy, nasy-

ciwszy głód, otarli ręce miękkimi, wonnemi liśćmi, Guakanagari zaprosił wszystkich do sąsiedniego gaju o kwitnących drzewach, na tańce i śpiewy. Obaj kacykowie, siedząc na wzgórku zieloną murawą porośniętym i patrząc na tańczące, nagie dziewczęta oświecone migocącym światłem żywych pochodni, zmieszane ze srebrnym blaskiem księżyca, rozmawiali ze sobą. Kaonabo mówił:

— Guakanagari, potężny mój sprzymierzeńcze, chwalisz moje czyny, podziwiasz wojenne przewagi, sławisz mądrość rządów moich, a nie wiesz, że dla mnie niema już blasków księżyca, rzeźwy rosy nocnej, że niemiłe mi już są pieczenie z guana, nie wiesz, że pieszczoty najpiękniejszych żon moich już mi obmierzły, że noce spędzam bezsenne, a to wszystko od czasu, kiedy ujrzałem przepiękną córkę twojej siostry, złoty kwiat Ksaraguy, cudną Anakaonę.. Guakanagari, wojna, sława i władza jeszcze szczęścia nam dać nie mogą, jeśli nie możemy mieć pod swoim dachem ukochanej kobiety.

— Kaonabo, — odparł żywo gospodarz — skoro tak jest jak mówisz i tak wspaniały kacyk, jakim jesteś, takie cierpienia znosi, dlaczegoż nie starasz się im zaradzić... Oświadczyć chęć pojęcia Anakaony za żonę, a jestem pewien, że Behekio, który teraz, po śmierci ojca jest kacykiem i głową rodziny, nie odmówi ci jej... Związek z takim wła-

dcą, jakim jesteś, pochlebi mu... a gdzież Anakaona znajdzie lepszego od ciebie męża, śmielszego wojownika i piękniejszego ojca dla potomstwa swego, którego tak pragną wszystkie niewiasty? Kaonabo, mój przyjacielu, serce moje jest pełne współczucia dla cierpień twoich, bo wiem z doświadczenia jakich mąk doznaje człowiek, zanim uściśnie dziewczę, którego widok oczy jego olśnił... Wyznam ci, że chociaż starszy jestem od ciebie, nadewszystko lubię kobiety... nic mi pieczeń z najśłodsze go mięsa guana, nic mi wonne owoce ananasa i mameju, obojętna mi sława i tańce i śpiewy, kiedy uczuwam miłość do jakiej młodej, pięknej dziewczyny... Pojmuję, Kaonabo, twoje noce bezsenne. Idź do Behekia i mów, że pragniesz Anakaonę za żonę pojąć.

— Chodziłem, zacny wuju złotego kwiatu Ksaraguy. — odparł Kaonabo, poskramiając na ustach nieco pogardliwy uśmiech, wywołany wynurzeniem Guakanagarego, znanego na Haiti wielbiciela wdzięków płci pięknej. — Lecz goryczą odmowy mię napojono. — dodał, groźnie brwi marszcząc — Za mały im Kaonabo... Kaonabo jest przybłądą z Turukejry, on nie pochodzi z krwi haitiańskich kacyków... Czy ty rozumiesz, Guakanagari, co się w sercu mojem dzieje? — oczy jego złowrogo błysnęły, a ręka, ściskając się kurczowo, z niezmierną siłą zgruchotała duży, twardy orzech, co leżał obok niego na trawie.

Łagodny Guakanagari zaniepokoił się, chciał mówić, lecz, nic nie znalazłszy, rozwiódł bezsilnie rękami i mruknął:

— Ha... to źle, na to trudna rada...

— Tegom właśnie do ciebie przybył, kacyku Marienu. — rzekł groźnie Kaonabo — Chcę ciebie prosić, abyś, jako ich krewny, wstawił się za mną i zasłużył się tem samem całej wyspie, oddalając od niej nieszczęścia i klęski wojny...

Powstał i prostując atletyczną, wysoką swą postać, dziko oczyma toczył, a z pod warg czerwonych i grubych zęby złowrogo połyskiwały. Guakanagari, patrząc na niego, zadrzał dziedziczną u Haitianów trwogą przed strasznymi Karaibami. Przez myśl przemknęły mu od dzieciństwa słyszane opowieści o ludożerstwie tych okrutnych plemion. Już-to wogóle, do zachwytu, jaki Haitianie uczuwali dla dzielności Kaonaba, łączyło się dużo obawy przed Karaibem, trwogi, w której oni wyrosli i z mlekiem matek ją wysnali.

Kaonabo mówił dalej wyniośle:

— Uważaj, Guakanagari... Ja siebie w poniewierkę nie dam. Ja to dziewczę zdobędę, jeśli mi jej po dobrej woli nie dadzą... Choćbym miał całą wyspę krwią zalać i zgłiszczami spalonych wsi pokryć, bo mieć ją muszę!

— Cóż ja na to poradzę? — spytał przerażony Guakanagari — Przecież Behekio jest niezależnym kacykiem Ksaraguy?...

Kaonabo stłumionym głosem, lecz groźnym tonem przerwał:

— Jeśli on tak ze mną postąpi, to niedługo będzie niezależnym... Nauczę ja go rozumu. A potem, przypomnę, że i ty jesteś ich krewnym, a Marien nie tak znów daleko od Maguany mojej.

Gdy tak stał przed Guakanagarim, wyniosły i dumny, z najeżonym czubem barwnych piór, a drapieżna jego twarz groźbą dyszała i oczy okolone czarną obwódką błyskawice ciskały, ów poskromił w sobie obawy i z łagodną powagą starał się bronić zachwiany, jak mu się zdawało, zwykły, a tak drogi mieszkańcom spokój wyspy.

— Kaonabo, przybrany synu Haiti, uspokój się i nie żyw w sobie złych zamiarów dla tej krainy, która cię przygarnęła, władzą obdarzyła i bogactwami obsypała... Mam jeszcze nadzieję, że ona i najpiękniejszą swą córkę tobie odda... bo jesteś jej ulubieńcem.

— Czemże-to mię ta wyspa obdarzyła? — porywczo zawołał Kaonabo — Co takiego dla mnie zrobiła? Wzięto mię w niewolę, mnie, syna wielkiego wodza z Turukejry! Cóż więc dziwnego, że mi Maguanę oddano? Zwrócono mi tylko część tego, z czego, uprzednio, odarto!

Guakanagari pomyślał, że jednak Karaibowie nie zwykli uprowadzonych synów kacyków z Haiti obdarzać, na swoich wyspach, udzielnemi pań-

stwami, lecz pragnąc pokoju za jakąąbyś cenę, rzekł pojednawczo:

— Słuchaj, Kaonabo, mój miły gościu, zawsze żyłem w przyjaźni z rodziną Ksaraguańskich kacyków, spokrewniłem się z nią i teraz, chcąc dać ci dowód mojej życzliwości i współczucia dla twoich miłosnych udręczeń, udam się z tobą do nich i postaram się nakłonić ich do życzeń twoich. Tylko porzuć złą myśl o tem, byś miał zmącić szczęście i spokój Haiti, która była początkiem świata, z której słońce i księżyc wyszły, a jaskinie jej były kolebką ludzi.

Kaonabo, osiągnąwszy cel, uspokoił się, dziękował gościnnemu gospodarzowi, czem wzbudził w nim ufność i obaj oddali się zabawom, tańcom, śpiewom i śmiechom, których pełno było wkoło nich, w otaczających gajach i nad brzegiem dużego strumienia, co, wijąc się pośród nich, wpływał na nadbrzeżne łąki i wpadał do posrebrzonych światłem księżyca wód zacisznej, puszczy otoczonej zatoki morskiej.

Wkrótce po tej prawie groźnej rozmowie, Guakanagari, pośród hożych, czarnookich poddańek swoich, wyszukiwał nowych, nieznanych jeszcze twarzyczek, a Kaonabo, gdzieś, w ustronnem zaciszu, wśród obsypanych pachnącemi kwiatami krzewów, pocieszał się po swoich zawodach miłosnych z jakąś piękną mieszkanką Guariko.

Wyspiarze Haiti byli łagodni, dziecięco-łatwo-

wierni, leniwi i lekkomyślni, a nie znając żadnych prawie innych namiętności, bardzo byli skłonni do miłości we wszystkich jej objawach, poczynawszy od idealnych tęsknot i serdecznych, głębokich uczuć, a kończąc na chwilowych, ulotnych spotkaniach, wśród pięknych uroczysk swej wyspy, gdzie przyroda zdawała się zachęcać do nich, strojąc niemal na każdym kroku zaciszne, barwne i wonne łożnice, usłane miękkimi puchami traw i ziół, tajemniczo oświecone fosforycznemi blaskami owadów, co w ciepłym, lekkim powietrzu, rozsiewały błyskawice swoich lotnych zapałów miłosnych. To-też, piękne Haitianki, ozdobione naiwną niewinnością córek natury, która im pozwalała niczem nie okrywać posągowych wdzięków, z łatwością szły za przykładami zaczerpniętymi z płomiennej przyrody swego kraju i skore były do zawiązywania zarówno trwałych, serdecznych stosunków, jakoteż i ulotnych a ognistych miłostek.

V.

Po kilku dniach ucztowania i zabaw, naglony przez gościa, Guakanagari wsiadł do lektyki, którą niosło sześciu ludzi i w otoczeniu licznego orszaku, a w towarzystwie kacyka Maguany, ruszył do Ksaraguy.

Kaonabo, wierny swym rycerskim przywykniom, pogardził lektyką, którą uważał za objaw zniewieściałości rozpieszczonych Haitian i szedł przodem, piechotą, sprężystym krokiem wojownika, nie zaniedbując nigdzie sposobności do wypuszczenia strzały w przemykającego po zielonych, ukwieconych sawanach utia, lub w wygrzewającego swe połyskujące ciało guana, co leżał nieruchomo na grubym konarze leśnego olbrzyma. Niekiedy, wzbudzał w Guakanagarim podziw z trwogą zmieszany, gdy z niezmierną zręcznością strzałą przesywał przelatującą pośród gąszczy papugę, lub czerwonego fleminga, porywającego się, wraz z towarzyszami, z ustronnej, mokrej polany przeciętej leniwie płynącą rzeczką.

Kiedy weszli na ziemię Ksaraguy, mieszkańcy przyjaźnie i z szacunkiem witali Guakanagarego, a z podziwem i zachwytem, lecz zarazem i trwogą — słynnego już Kaonaba. Ów zaś, zazdrosny o rozgłos hojności, który go poprzedzał w podróżach po Haiti, sypał podarkami ze złotych bransolet, z naszyjników i pasów misternie plecionych, a nabijanych różnobarwnymi kamykami. Czasami, któryś z napotkanych kacyków, podwładnych Behekiea, usilnymi prośbami przerywał ich podróż i wielką ucztą ugaszczał, a tańcami i śpiewem słynnych z piękności na całą wyspę dziewcząt Ksaraguy na parę dni zatrzymywał.

Kaonabo, niekiedy, zasepiał się na wspomnienie odkosza, którego dostał od Anakaony, a wtedy, z taką siłą, gniewem powiększoną, wypuszczał strzałę, że Haitianie, widząc jak ona głęboko w twardym pniu drzewa utkwiała, z dreszczem zgrozy po sobie spoglądali.

Po kilkunastu dniach tej powolnej podróży, która, jak wszystko u tego ludu, nabierała cech jakiejś świątecznej, wesołej zabawy, zbliżyli się nareszcie ku brzegom pięknej, dużej zatoki, wrzynającej się głęboko w zachodni brzeg wyspy na północ od półwyspu Tiburon. Behekieo, uprzedzony o ich przybyciu, według zwyczaju wyszedł na ich spotkanie, lecz siostry z sobą nie wziął, bo nie chciał jej pokazywać zapalczywemu Karaibowi, którego, chociaż śmielszy i bardziej od Guakana-

garego stanowczy, obawiał się także. Widząc nieobecność Anakaony, sposepniął Kaonabo, złą wróżbą było-to dla jego zamiarów.

Zaledwie znalazł się w stolicy Ksaraguy, Guakanagari, zaniepokojony, wziął na stronę siostrzeńca i tłumaczył mu:

— Behekio, kacyku Ksaraguy... Znakomity-to człowiek ów Kaonabo. Wszyscyśmy patrzyli na to, jak on z niczego, z jeńca Karaiba, urósł w jednego z władców Haiti, no, i widzimy, że źle się tam w jego kraju nie dzieje... A jak potrafił wykreść się z pod panowania Kotabanamy... ani kropli krwi nie przelał. Jest niezależnym panem Maguany, a w zgodzie pozostał z Kotabanamą, który go ma za przyjaciela, za syna prawie... słyszałeś zapewne, że mówiono po ostatnim napadzie Karaibów na Higuej, iż oni mają na imiona pomieniać się. Widocznie jednak do tego nie doszło, bo Karaib przedstawił mi się jako Kaonabo, a nie pod imieniem Kotabanamy.

— Wszystko to prawda, szanowny Guakanagari, władco Marienu, ale dla nas, Haitian, ten Karaib zawsze czegoś wstrętny, dziki... mówi niby spokojnie, nawet słodko, ale tylko patrz, jak z za tej dobroci zuchwalstwo wyskoczy i za gardło cię chwyci... Wiesz, Guakanagari? Ja się go trochę obawiam...

— Ja nie trochę, — odparł przyciszonym głosem gość — lecz bardzo. Tembardziej, Behekio,

trzeba wszystko zrobić, aby go ułagodzić i uśmierzyć, a najlepszą do tego drogą, bezwątpienia, jest spokrewnić się z nim. Uważaj... Już on z Kotabanamą jest, jak syn z ojcem, tam, pomiędzy nimi, wojna nie grozi. Jeśli pojmie za żonę Anakaonę, którą, powiadam ci, kocha nadzwyczajnie, to będzie tak, jakby bratem twoim, a moim siostrzeńcem... tu, także spokój zapewniony. Pozostanie tylko Guarioneks, kacyk Wielkiej Równiny... Hm... i tu trzeba będzie coś takiego obmyślić, aby i Guarioneksa zabezpieczyć od tego zuchwałego... Karaiba.

— No widzisz? Sam go w sercu nie nosisz, obawiasz się go, a mnie namawiasz, abym mu to śliczne dziewczę, ten kwiat Ksaraguy... ba... Haiti całej, oddał... Guakanagari, dlaczego tak mówisz?

— Bo się go boję, Behekio. On całą wyspę zawichrzył gotów. Kotabanama, znasz go? Dzielny wojownik, olbrzym straszny, ale... jakby to powiedzieć? No, sam wiesz... trochę ciężki... głowa za mała do tak dużego ciała... On, w razie czego, gotów po jego stronie stanąć... a tym dwóm nic się nie oprze. Słuchaj, Behekio, — dodał szepcząc — ja myślę, że Kaonabo ma zamiar powoli guamikuiną całą wyspę zostać... To straszny człowiek. Ooo, gdybyś widział, jak on tam, w moim domu, najeżył się, jak mu oczy pałały i jak zgruchotał w dłoni twarde orzechy, kiedy mówił: »Ja tego Behekia nauczę rozumu, niedługo on niezależność

swoją zachowa, a i Marien niedaleko od Magu any... w niej będzie stolica Haiti całej». Powiadam ci, aż mi mrowie po skórze przeszło. Tak zupełnie, jak kiedy chłodna rosa wieczorna zaskoczy mię na polowaniu w górskich dolinach... Toż my z tobą, Behekio, pierwszą ofiarą padlibyśmy... zginęłyby nasze stanowiska i władza i spokojne dni bez troski i zabawy nasze i tańce... Behekio, onby nam co piękniejsze dziewczęta porywał... To już lepiej niech jedną bierze i cieszy się nią i cicho siedzi... To straszny człowiek.

— Czyż myślisz, kacyku Marienu, że mu ta jedna na długo wystarczy? Takiemu Karaibowi? Pomyśl, przecież ty sam, choć starszy...

— Pewnie, że go ona na długo nie usidli, ale Anakaona to córka i wnuczka kacyków, on przez nią dzieciom z niej zrodzonym władzę i stanowisko na Haiti zapewni, wejdzie do naszego koła i jako prawdziwy kacyk poczynać zmuszony będzie...

— Wiem ja coś o tym Karaibie, — odparł powątpiewająco Behekio — kto wie, czy go to powstrzyma, a szkoda Anakaony, mojej ślicznej siostrzyczki, dla tego ptaka urikanu, jak ona go nazywa...

— Daj pokój, Behekio, ona tylko tak mówi. Kobietom wierzyć nie można... a ja ci powiadam, że one lubią takich... przepadają za takimi. Niechno Anakaona go pozna, zobaczysz, jak się w nim roz-

kocha.. Ho... hoo! Ja znam dziewczęta, czy to jedna wyprasza się, wykręca, wyslizguje... no, a potem rada.

Behekio uśmiechnął się pobłaźliwie i rzekł:

— Co prawda, to z tobą, Guakanagari, spierać się o znawstwo kobiet trudno... mistrzem w niem jesteś... wszyscy to wiedzą...

— No widzisz? Zatem powiadam ci: oddaj Anakaonę... nie pożałujesz i ona także... powiadam ci. A skoro tylko Karaibowie na twoje brzegi wpadną, zaraz wezwiesz Kaonaba, to ci on tak ich przepłoszy, jak w Higueju, gdzie już dawno Kotabanama spokój ma od nich... Na jastrzębia, niema jak jastrzęb... a ty orła do służby swej weźmiesz. Mówię ci, Behekio, mój chłopcze, oddaj Kaonabie Anakaonę... oddaj mu złoty kwiat Ksaraguy.

Uśmiechnęło się kacykowi Ksaraguy odpędzanie rabusiów cudzemi rękami, zachwiał się w uporze, lecz, nie mówiąc ani tak, ani nie, poprowadził gościa na podwieczorek, w oczekiwaniu wieczornej zabawy.

Kiedy tak kacykowie naradzali się, aby zachować spokój wyspy, ten, który go miał zawichrzyć, czasu nie tracił, a znalazłszy Anakaonę w świeżem ustroniu gaju otaczającego jej dom, po swojemu zalecał się do pięknej księżniczki. Stał przed leniwie leżącą w hamaku, u drzew za-

wieszonym, wsparty na łuku i, chwilami, żywą mimiką popierał swoje prośby:

— Piękna córko kacyków, — mówił — od czasu, gdym ujrzał ciebie, nic mi po słodkim soku ananasów, nic mi po wonnej pieczeni z guana... sen od oczu moich ucieka, już mi łowy niemiłe i o sławę nawet nie dbam. Opuściłem sprawę kraju mojego i bezład w nim panuje... Twoje włosy długie i miękkie, twoje oczy czarne jak noc kiedy księżyc za morzem się chowa, usta czerwone, jak pióra papugi, a skóra gładka i miękka, jak najcieńsza tkanina z bawełny, wszystkie twe wdzięki, jakimi pochwalić się nie może żadna z córek ludzi, ciągle stoją przed zachwyconymi, bezsennością znużonymi oczyma mojemu...

— Wielki kacyk z Maguany — odpowiedziało dziewczę, oglądając się nieco trwożliwie na grono towarzyszek i służebnic siedzących opodal, pod cieniem rozłożystego drzewa purpurowemi kwiatami okrytego — tak smutno mówi, jak smutny jest śpiew ptaszka, co nocą śpiewa... Młody Kaonabo śpiewa tak słodko, bo chce, przemieniwszy się w drapieżnego orła, porwać biedne dziewczę Ksaraguy i unieść je w góry Sibao, daleko... wysoko, aby oskubać piórka małej, słabej turkawki, a potem, rozerwać ją na kawały i wypić jej ciepłą krew... bo... bo piękny Kaonabo jest Karaibem...

— Nie mów tak, śliczna księżniczko... To baśń stara i bezrozumna tak mówi, a trwożliwie,

stare Haitianki ją powtarzają... Przodkowie moi nigdy ludzi nie pożerali. Jeśli znajdą w chacie waszej zasuszoną głowę ojca lub matki, to wszyscy wiedzą, że to pamiątka pozostawiona po drogim zmarłym, aby zupełnie z nim się nie rozstać, lecz, kiedy Karaib, po krwawym boju, uwędzi kochaną i szanowaną głowę wodza i znajdą ją w łodzi jego, gdzie chowa ją, aby, wróciwszy na rodzinną wyspę, pokazać rodakom, że sławną śmiercią bohater zginął, to ludzie mówią, że resztę ciała pożarł... bo on krwią i ciałem ludzkim żywi się... Baśnie to są, Anakaono, nic więcej... Wiary im nie dawaj. To prawda, że ja chcę cię porwać, lecz nie po to, aby krew twoją wypić i śliczne ciało pożreć. Chcę cię do domu swego zaprowadzić, a wiesz, że dom to nie byle jaki... przecież zwą mnie panem złotego domu. Porwę cię i zaprowadzę wysoko, w góry, a tam służyć ci będę... Złotem, ba, stokroć cenniejszem srebrem piękną twą szyję i ramiona barwy mahoni obwieszę; najśodsze owoce na rzeźbionym stole przed tobą postawię... Miedzianą... słyszysz?... Miedzianą¹⁾ koronę na głowę ci włożę... i miłować cię będę i pieścić i chwalić...

— I areyta śpiewać? — spytało dziewczę, zalotnie dużemi, czarnymi oczami strzelając.

¹⁾ Haitianie, ze wszystkich kruszców, które znali przed przybyciem Hiszpanów, nadewszystko cenili najrzadszą u nich miedź.

— I tego dla ciebie nauczę się, tylko bądź moją, zasiądź w domu moim a w gaju, co go otacza, zawieś swój hamak barwnymi niciami utkany.

— Nie, — odparła dumnie — Anakaona swego hamaku nie powiesi w gaju, co rośnie przy złotym domu, bo ona z rodu wielkich kacyków pochodzi, a Kaonabo, choć piękny i młody, lecz z dalekich, obcych wysp rodem.

Zzymnął się młody Karaib. Łuk zatrzeszczał w potężnych dłoniach, błysnął białkami oczu, a po chwili wewnętrznej walki z obrażoną dumą, rzekł głucho namiętym głosem:

— Jeśli tak mówisz, Anakaono, to muszę ci coś powiedzieć, tylko wpierv odpraw te dziewczęta. — i wskazał ręką na orszak księżniczki.

Anakaona żywym, giętkim ruchem uniosła się trochę na hamaku, uprzednio odrzuconą w tył głowę, kwiatami uwieńczoną, wsparła na dłoń, chwilę bystro popatrzyła w piękną, roznamiętnioną twarz młodego Karaiba i spytała:

— A przy nich nie możesz powiedzieć?

Kaonabo zbliżył się do niej tak, że ustami musnął jej małe, pod brunatną skórą zaróżowione gorącą krwią ucho i szepnął:

— Wielką rzecz mam ci powiedzieć... i straszna, a zarazem i śmieszna... dla nich śmieszna, — wskazał znowu na dziewczęta — nie dla mnie... a dla ciebie radosną.

Ciekawość i zalotność przemogły w duszy

Anakaony trwożę, jeszcze raz wahająco spojrziała na Kaonaba i na swoje towarzyszki i nagle, stanowczym gestem machnęła ręką, dając im znak, aby odeszły, poczem, pozostawszy już sama z młodym kacykiem, spytała:

— Jakaż to jest rzecz wielka, straszna i śmieszna, młody wodzu dzikich wojowników?

Kaonabo, nie odsuwając się od Anakaony, gorącym szeptem mówił jej w ucho:

— Mnie wróżbita z Turukejry przepowiedział, że wielką wyspę zdobędę... i tak będzie... Anakaono, jeśli ty moją nie będziesz z dobrej woli, to ja cię siłą wezmę, lecz przytem Ksaragua i Marien zostaną mojami krajami... Anakaono, twój brat Behekio i wuj Guakanagari w niewolę pójda, na łodziach moich wiosłować będą, potem, przyjdzie kolej na Guarioneksa z Wielkiej Równiny. Jednego Kotabanamę zostawię w spokoju... lecz nie Higuej, bo już syn jego panować w nim nie będzie; a ty... ty wejdiesz do mego domu, jako trzynasta z kolei żona, twoją pięknością nasycę się i oddam cię, potem, tamtym do usług, a to dlatego, że cię siłą, bojem zdobędę, będziesz więc los branek miała. I zostanę guamikuiną całej wyspy!... Lecz jeżeli ty mię pokochasz i z dobrej woli moją zostaniesz, to ja z ciebie zrobię jedyną władczynię wyspy, bo wypędzę tamte żony... jeśli rozkażesz, Karaibom je sprzedam, lub wymienię na te Haitianki, które oni porwali. Anakaono, czy

ty rozumiesz? Ja całą wyspą zawładnę, tak samo jak Maguanę wziąłem. Oni, ci kacykowie gnuśni, ani się spostrzegą jak zostaną podrzędnymi rządca-
mami moich dzielnic... Ty będziesz jedyną, kochaną, uwielbioną żoną Kaonaba, wielkiego guamikuiny Haiti wysokiej! Bezpodzielnie panować będziesz nad Kuiskueją długą i szeroką. Na tej wyspie ogromnej jedyną naczelną panią zostaniesz, każdy przed tobą pokłon niski złoży, dłonie na głowie oprze, a ja będę jedynym panem wszystkiego, lecz twoim sługą... twoim niewolnikiem...

Gdy tak mówił, zapął i duma obok zuchwalstwa i odwagi z twarzy jego biły. Nozdrza rozdał, wysoka jego postać zdawała się jeszcze urastać, a oczy świeciły ogniem zachwytu dla tych wido-
ków, które przed upragnioną dziewczyną rozwijał. Dzika jego piękność wyszlachetniała pod parciem ambitnych myśli. Ona, dziecię lekkomyślnej, mięk-
kiej rasy, ona, która znała tylko tańce, zabawy i areyta, co je umiała sama układać, sławiąc w nich piękno wspaniałej przyrody swojej ojczyzny, po raz pierwszy w życiu, widziała przed sobą takiego młodzieńca, który wstępnym bojem chciał wielkie miejsce w swoim świecie zająć i piękny jej wydał się, pociągnął ją ku sobie czarem śmia-
łego czynu, zuchwałych, a wielkich zamiarów, głę-
bokim poczuciem swej siły zdolnej te plany do skutku przywieść.

Patrzyła na niego oczarowana, podbita i obez-

władniona, jak mały koliber jej rodzinnych gajów, świecący blaskiem szmaragdu, patrzy w oczy węża, z których potężny prąd płynie i zachwyca go i siłę oporu mu odbiera. A on pochylił się bliżej ku niej, żar bił od jego pałającej twarzy, a słowa dzwięczały silne, przekonywające i upajające:

— Anakaono, mój złoty kwiatku, będziesz je-
dyną panią nad wyspą całą... z ciebie powstanie sławny, wielki ród guamikuinów Haiti wysokiej! A ja, czarny ptak urikanu, jak mię nazywają, ja, guamikuina, będę niewolnikiem twoim... Słuchaj, Anakaono! Guamikuina... guamikuina nad całą wyspą...

Pochylił się złoty kwiat Ksaraguy i padł w objęcia ptaka urikanu. Zadanie Guakanagarego łatwym się stało. Behekio uległ i już dnia tego zabawa wieczorna stała się ucztą zrękowin. Po-
biegli posłańcy po całej wyspie. Guakanagari, jako najstarszy krewny Anakaony, zapraszał ka-
cyków i większych i mniejszych na wspaniałe gody weselne, które wyprawiał nowożeńcom w sie-
dzibie swojej, w Guarico, u północno-zachodnich brzegów Haiti.

Długo trwały ceremonje, obrzędy, uczyty, tańce i śpiewy. Wiele pięknych Haitianek, dla towarzy-
stwa najpiękniejszej z ich grona, zrzuciło dzie-
wicze swe wianuszki podczas szału zabawy. Jedni goście odchodzili, drudzy przybywali. Guakanagari, rad, że ustalił wieczny, jak mu się zdawało, pokój

na wyspie, przyjmował wszystkich hojnie i gościnnie, poważnie przechadzał się pomiędzy zastawionymi niskimi stołami, po trawnikach zasłanych palmowymi matami, zapraszał do jedzenia, do tańca zachęcał. Sławne na całej wyspie tancerki nadeszły i mimiką opowiadały stare dzieje dawnych kacyków i wiecznie młode wzruszenia miłosne, tak kacyków, jak i zwykłych śmiertelników; nawet butiowie, tańcząc, śpiewali prastare legendy.

Zdawało się, że wyspa cała rozbrzmiewa śpiewem i śmiechami, raz nawet, piękna oblubienica, w barwnej zapasce mężatek, obwieszona złotymi naszyjnikami i srebrnymi naramiennikami, opasana pasem z białych i zielonych kamyków utkanym, a purpurowymi kwiatami uwieńczona, dzwoniąc zawieszonymi u stóp obręczami, tańczyła i śpiewała pieśń, którą sama ułożyła:

W czasach dawno upłynionych, ludzie z jaskiń wyjść nie mogli, by im słońce nie szkodziło, bo zmieniało światło ludzi w drzewa, w skały przemieniało. Wagoniona, stary kacyk, pan mądrością swoją słynny, posłał sługę ryb nałowić, lecz mu bardzo nakazywał, aby skoro tylko błysnie świt różowy nad górami, zaraz krył się do jaskini, boby słońce go spaliło, lub też w kamień zamieniło. Sługa lubił łowić ryby nad zatoką przezroczystą, w której drugi księżyc pływał, zapamiętał się w zabawie, rzucał ryby wciąż na kupę, złote, srebrne łuski rybnie migotały przy

księżycu, a on śmiał się, na to patrząc, rad, że tyle ich przyniesie do pieczary ciemnej, głuchej, kacykowi Wagonionie. Wtem, zabłysło nad górami złote słońce tajemnicze i spojrzało na rybaka. Małym ptaszkiem wnet się zrobił i zaśpiewał cicho, smutnie, bo żałował Wagoniony. Frunął w lasy i tam płakał, że nie ujrzy swego pana, co w jaskini ciemnej mieszkał, a gdy deszcze padać zaczyna, ptaszek, nocą, w głuchym lesie, tak żałośnie wyśpiewuje, jakby wzdychał do przyjaciół, co w jaskini pozostali...¹⁾ I ja słońce widzieć chciałam, wojownika pokochałam i jak ptaszek płakać będzie złoty kwiatek za Ksaraguą. W przepaścistych gór dolinach, tęsknić będę do zatoki, tak błękitnej i przezroczej, wieńcem kwiatów otoczonej, a nocami snić was będę, towarzyszeki ukochane...

Namawiano Kaonaba, aby podobnym areytem odpowiedział młodej żonie, lecz on tylko wzgardliwie ramionami ruszył i rzekł:

— Niech areyta śpiewają ci, co nie latali po wielkich wodach, jak ptaki morskie o długich, potężnych skrzydłach i chciwych żeru dziobach.

A mówiąc to, naprawdę, w oczach spokojnych Haitian, wyglądał jak jeden z tych ptaków, tak oczy jego patrzyły jakoś daleko i bystro, takie pragnienie władzy wyglądało z jego pięknego

¹⁾ Dawna haitiańska legenda.

a dzikiego oblicza. Anakaona jednak, już z zachwytem patrzyła w tę twarz zdobywcy.

Nareszcie, Kaonabo uprowadził żonę w góry Sibao. Sześciu Karaibów niosło ją w ozdobnej lektyce, a wódz sam torował drogi po wspaniałych, dzikich puszczech wnętrza wyspy.

Guakanagari, ciesząc się, że mu tak wszystko po myśli poszło, znowu legiwał wśród grona pięknych żon, na miękkim trawniku, w cieniu palm i mahoniów, u szemrzącego kryształową wodą strumienia; czasami polował na ptactwo, lub kazał pięknym dziewczętom, aby tańczyły przed nim.

I popłynęły dalej lata wesołego, beztrudnego życia rozśpiewanych Haitian, rozmarzonych i szczęśliwych, bo mało potrzeb mieli, a przyroda hojnie wszystko im dawała. Gaje rozbrzmiewały srebrzystym śmiechem nagich, jasno-brunatnych dziewcząt. Zielone brzegi błękitnych zatok roły się od lekkich łodzi, a echa przylądków i ściany gęstych, tajemniczych lasów odbijały dźwięczne, wesołe lub tęskne, a niekiedy, uroczyste areyta. Nad cichą, szczęśliwą, na jutro niepomną Haiti wysoką unosiło się tysiące upajających woni ziół i kwiatów, cudnych zapachów rozkwitających drzew i płynęły one na skrzydłach leciuchnych powiewów daleko... daleko, w morza, skąd słońce wschodzi, ku czarnym chmurom, co tam złowrogo kłębić się zaczynały, gdzie wicher oceanu już łopotał żaglami »S-ta Marji«, »Pinty« i »Niny«.

VI.

Na kamienistym, jałowem wzgórzu, otoczony kępą z rzadka rozrzuconych, wykrzywionych przez morskie wiatry pinji o płaskich wierzchołkach i rozłożystych konarach, wznosił swe szare mury klasztor S-ta Maria de Rabida.

Oknami, o małych, w ołów oprawnych szybach, a zaostrzonymi u góry w gotyckie łuki, niby brwi ze zdziwienia wzniesione, patrzył on ze swego wzgórza na wybrzeże płaskie i smutne, na wijącą się po żółtych piaskach rzeczka i na przytulone w głębi zatoki miasteczko Palos de Moguer; tam, dalej, w stronę południa i zachodu zakonnicy Franciszkanie przez całe lata swego cichego, jednostajnego życia ciągle patrzyli na bure fale tajemniczego, bezdennego Atlantyku, a widząc, niekiedy, jak biały żagiel karawelli hiszpańskiej, lub portugalskiej karaki zwolna topnieje w ciemnych, groźnych mgłach widnokregu, żegnali znakiem krzyża zuchwałych żeglarzy i dreszcz zabobonnej trwogi nimi wstrzą-

sał, a nie jeden, od innych ciemniejszy, szeptał ze zgrozą:

— Boga kuszą... z Bogiem igrają...

Chociaż wiedzieli oni, że karawelle i karaki płyną tylko do wysp Kanaryjskich, lub Azorskich, a najzuchwalsi nieśmiało puszczają się wzdłuż zachodnich brzegów Afryki. O tem, aby ktokolwiek ważył się popłynąć dalej, na zachód od tych wysp, w głuche głębie nieskończonego oceanu, który nie wiadomo z czem i gdzie graniczył, nie tylko mniś, co wciąż patrzyli na te bezgraniczne pustkowia wody, lecz nikt zgoła, w tak zwanym cywilizowanym świecie ówczesnym, nie marzył nawet, tak groźnie sobie przedstawiano ocean, takimi straszliwymi potworami go zapełniano, tak gwałtowne, nieposkromione wichry i wiry wyobrażano sobie na jego falach milowej długości, a jak góry wysokich. I cóż miał zrobić żeglarz wówczas, gdy cudem dopłynął nareszcie do miejsca, gdzie ocean zlewa się z niebem w jakiś chaos potworny, w którym granice dzielące substancje wody i powietrza nikną, topnieją, stają się czemś niepojętem, bez nazwiska... zmysłom niedostępnem. Wszak znakomity podróżnik i mędrzec, Arab, a więc pochodzący z narodu, który ze wszystkich najlepiej wówczas znał zarysy ziemi i tajemnice przyrody, Xerif al Edrisi, Nubijczykiem przezwany, tak opisywał Atlantyck:

»Ocean otacza wszystkie zamieszkane krańce

ziemi, a wszystko, co po za nim, jest nieznanne. Nikt o nim nie potrafi czegokolwiekbądź powiedzieć, bo nikt go nie zbadał, tak trudna i niebezpieczna żegluga po nim z powodu jego wielkich ciemności, niezmiernej głębokości, częstych i straszliwych burz, co po nim grasują, a także, z powodu przerażenia, jakie wzbudzają w nim żyjące potwory i nawiedzające go wściekle wichry. Jednakże, istnieje na nim dużo wysp, z których jedne są zamieszkane, a inne bezludne. Niema żeglarza, któryby śmiał puścić się na te ogromne morza, a jeśli niektórzy to zrobili, płynęli wzdłuż brzegów tylko, bojąc się od nich oddalić. Fale toczą się tam wysokie, jak góry, lecz nie rozbijają się. Gdyby łamały się one, to żaden okręt prućby ich nie mógł...«

.....

W Grudniu 1491 roku, wieczór zapadał burzliwy, nagłe podmuchy południowo-zachodniego wiatru niosły wilgotne opary morskie. Gałęzie pinji otaczających klasztor jęczały pod uderzeniami jego, a igły grały poważnie i przeciągle, wtórując wicherze swym niskim, smutnym tonem. Z wieży klasztornego kościoła dzwonek na Anioł Pański wzywał dźwiękiem jęklwym, przerywanym, bo chwilami wiatr go rozpraszał, zagłuszał, lub ze sobą w dal porwał.

Ścieżką wijącą się pod górę, ku klasztorowi, szedł powoli wędrowiec, a usłyszawszy dźwięk

dzwonu, przystanął, ukląkł i, zdejmując z głowy już mocno siwizną przyprószoną duży, wytarty kapelusz, pochylił ją, modląc się żarliwie. Gdy skończył, obnażył główkę małego chłopca, którego wiodł z sobą, kazał mu klęczeć, zrobić znak krzyża i powtarzać słowa modlitwy w portugalskim języku. Poczem, pięli się wyżej, aż doszli do klasztornej furty. Stał przed nią wędrowiec, wyprostował wyniosłą postać, poprawił na sobie odzież mocno znoszoną i w podróży zakurzoną, westchnął i nieśmiałym ruchem uniósł kołatkę u furty wiszącą. Po chwili, w jej progu stanął braciszek odźwierny, pytając kto stuka i czego:

— Ubogi wędrowiec, dążący do miasta Huelwa, prosi was o kawałek chleba i kubek wody dla tego oto dziecka.

— A kogo tam Bóg prowadzi? — ozwał się za odźwiernym jakiś głos poważny.

— Ojciec przeorze, — ów odparł — to żebrak jakiś prosi o kawałek chleba dla dziecka.

Przeor klasztoru zbliżył się do furty i spojrzał na rzekomego żebraka. Jego postać barczysta i wyniosła, białe włosy ¹⁾ przez wiatr rozwiane, a okalające wysokie, myślące czoło, jasne oczy szare, z których rozum, powaga i poczucie własnej godności ludzkiej patrzyły, regularne rysy o orlim,

¹⁾ Kolumb, z powodu trudów wojennych, żeglarskich i naukowych, w wieku trzydziestu lat już miał białe włosy.

wydatnym nosie, wszystko to zwróciło uwagę przeora, który, odsuwając odźwiernego, szerokim ruchem ręki wskazał podróżnemu otwartą furte:

— Klasztor Sta Maria de Rabida zawsze otwarty dla każdego, kto gościnności żąda... Wejdźcie wędrowcze... Ja, Juan Perez de Marchena pozdrawiam was w tych ubogich progach, tu, na krańcach świata stojącego przytułku sług bożych... Wejdźcie i rozgoście się.

— Jestem Krzysztof Colombo, rodem z Genui, żeglarz z zawodu. — rzekł grzecznie z wytwornym giestem ten, który nazwał siebie rodowem nazwiskiem, w rodowitym, włoskim języku powiedzianem, a którego świat zna pod imieniem Colomb, w polskiej zaś pisowni: Kolumb.

— Proszę, proszę pod dach, — rzekł przeor — bo pogoda nie jest zachęcająca do przechadzki po wertepach naszego wzgórze. Lubię i znam żeglarzy, lecz za ich przykładem nie idę i, w słotę, wolę zaciszny kąć, niż odkryte niebo.

A kiedy zaciekawione grono zakonników, z Juanem Perezem, swym przełożonym na czele, obsiadło w jadalni Kolumba, przed którym stał dzban kanaryjskiego wina i misa z pieczoną rybą, on opowiadał:

— Jestem rodem z Genui, ojciec mój, Dominik, zarówno jak i kilka pokoleń moich przodków wstecz, wszyscy byli tkaczami i gręplowaniem wełny zajęci. Ojciec, choć ubogi, dał mi wykształcenie, na jakie

stać go było, a gdy już trochę łaciny umiałem, posłał mię do uniwersytetu w Pawji. Nie wiele skorzystałem, bo i niedługo tam bawiłem. Szczupłe środki materialne ojca i nieprzewyżnione powołanie moje do żeglarstwa stanęły na przeszkodzie dalszej nauce. Mając lat około czternastu, puściłem się na morze...

— Żle zrobiliście, — przerwał przeor opowiadającemu — bo morze jest zawodnym żywiołem, handel morski nieraz o wielkie straty przyprawia, a nauka zawsze wynagradza tych, którzy jej czas swój poświęcają.

— To-też ja, ojcze, — rzekł Kolumb — szukałem w żeglarstwie przeważnie wiedzy. Chciwy byłem zwiedzić nieznanne kraje, skreślić lepsze mapy lądów i mórz, lecz niestety, niewiele znalazłem z tego, czego szukał.

— Nie chcę ja przeto dowodzić, — odezwał się przeor — iżby żeglarstwo miało być lichym zawodem. Niech mię Bóg broni od tego... przeciwnie, jestem przekonany, że z pomocą nauki, żeglarstwo wielkie usługi ludziom oddać może, dużo ciemności rozjaśnić, na wiele ważnych i ciekawych pytań dać odpowiedź... Wszak widzę, co robią Portugalczycy na brzegach Afryki, jakie nadzwyczajne narody, kraje, zwierzęta i rośliny odkrywają, a wszystko to pożyteczne, poczynając od tych czarnych pogan, którzy, służąc nam

tutaj za niewolników, dusze swoje zbawiają, bo prawdziwą wiarę poznają.

Kolumb z radością w twarzy spojrział na przeora i rzekł:

— O tak, ojcze przeorze, piękne to zadanie żeglarza, przygotować drogi misjonarzom, którzy po całym świecie rozszerzą światło świętej wiary, wśród pogan... Ojcze, i ja noszę się z myślą... rzecz mogę: z wielką myślą, która wielu szaloną się zdaje... Lecz muszę wam wprzód opowiedzieć pokrótce dzieje żywota mojego, abyście zrozumieli jak ta myśl budzić się we mnie zaczęła i jak, z czasem wzrastała, potężniała, aż całą moją duszę ogarnęła i celem życia stała się. Otóż, w zawodzie, któremu poświęciłem się, w naszych czasach, znalazłem więcej krwi, ran, bitew, drapieżnych napadów i bohaterskiej obrony, aniżeli wiedzy rozszerzającej ciasne, dotychczasowe widnokreśli żeglarza. Przeszło dwadzieścia lat spłynęło mi na tych bojach i cóż w tem dziwnego, ojcowie moi? Skoro najspokojniejsza podróż, w celach handlu, była, a jest i dzisiaj, podobna do wyprawy wojennej, tylu się spotyka, po ciasnych morzach znanych, korsarzy, piratów, galer rządów wojujących i flotyl panów władających brzegami swoich wielkich, jak niezależne królestwa, posiadłości. Służyłem na statkach genueńskich pod okiem krewnego mojego, starego admirała Kolumba. Z nim razem, na własnych jego galerach, zaciągnąłem się w służbę Jana z Anjou,

księcia Kalabrii, kiedy on chciał wywalczyć tron neapolitański dla ojca swego, hrabiego Prowancji. Czas jakiś, galery nasze władaly zatoką neapolitańską, potem, posłano mię, jako dowódcę statku, do Tunisu, gdzie zabrałem galerę «Fernandinę», co też i było celem mojej wyprawy, a gdy sprawa hrabiego Prowancji upadła, a on sam umarł, przeszedłem w służbę króla francuskiego Ludwika XI i walczyłem z hiszpańskimi okrętami. Stamtąd, dostałem się znowu na genueńskie statki, które wówczas, tępiły weneckie galery, wtedy, po różnych morzach, dokazywaliśmy z krewnym moim, bratankiem admirała Kolumba, zwanym, dla odróżnienia od stryja, Kolumbem młodym... Dość, że narzecie, zasłyszawszy o wielkich odkryciach żeglarskich Portugalczyków, popieranym przez księcia Henryka portugalskiego, syna Jana I, przezwanego Mścicielem, udałem się do Lizbony, w zamiarze wzięcia udziału w tym ruchu odkryć, które zawsze umysł mój tak pociągały. Przybyłem tam około 1470 roku i wzięłem udział w kilku wyprawach do Gwinei, w lutym 1477 pływałem do wyspy Thule ¹⁾, której południowy brzeg jest o siedmdziesiąt trzy stopnie od równika odległy, jak z obliczeń moich wypadło, a nie o sześćdziesiąt trzy, jak niektórzy dowodzą. Dotarłem także o sto mil na północ od tej wyspy, do której Anglicy z Bristolu

¹⁾ Prawdopodobnie Islandja.

wożą towary. Podczas licznych pobytów moich w Lizbonie, na kilka lat przed podróżą do Thule, będąc raz w kościele Wszystkich Świętych, dokąd miałem zwyczaj na nabożeństwo chodzić, ujrzałem mieszkającą w tamtejszym klasztorze donę Felipę, córkę Bartłomieja Monis de Perestrello, włoskiego szlachcica, już wówczas zmarłego, jednego z najdzielniejszych żeglarzy z czasu księcia Henryka. Poznałem ją i wkrótce poślubiłem, pomimo, że dona Felipa żadnego majątku nie posiadała...

— To się wam chwali, — przerwał przeor — bo w sprawach małżeńskich wzajemna skłonność ku sobie młodych podoba się Bogu, nie zaś względy majątkowe...

— Najlepiej jednak, — podchwycił gwardjan klasztoru, rumianego i wesołego oblicza zakonnik — jeżeli jedno łączy się z drugim... Ho... hoo! Od przybytku nigdy głowa nie boli..

— Fray ¹⁾ Diego, — poważnie rzekł przeor — byle co powiadacie, bo, jako zakonnik, tak znacnie się na sprawach małżeńskich, jak koza na pieprzu. Obaczycie, że oto tego godnego żeglarza, don Christovala, Bóg wynagrodzi za to, iż nie szukał w małżeństwie mamony, lecz poszedł za głosem uczucia i wzięł ubogą, lecz urodziwą, nabożną i zacnego rodu panienkę.

— W tym razie, ojcze, Bóg nam nie pobłogo-

¹⁾ Brat po hiszpańsku.

ślawił, bo moją dobrą i kochaną żonę zabrał mi jeszcze przed odjazdem moim z Portugalji, co miało miejsce 1484 roku i tylko oto ten chłopiec, Diego, pozostał mi po niej. — wskazał na chłopca, który, w kącie jadalni, spał twardym snem dziecka.

Przeor spojrział ze współczuciem na wędrowca i, westchnąwszy, rzekł:

— Sami mówicie, don Christoval: Bóg mi ją zabrał... a On wie, co robi... Jemu to strapienie ofiaruj, bracie.

— Rozumnie zrobiła nieboszczka, dona Felipa — szepnął gwardjan na ucho koledze, którego kwi-tnący nos zdradzał upodobania gwardjanowym pokrewne — bo żoną być żeglarza, to, Boże odpuść, sto razy lepsze królestwo niebieskie.

Kolumb, zadość uczyniwszy naleganiom przeora, który koniecznie chciał, aby gość wspomnienie o nieboszczce zalał sporym kubkiem wina, dalej mówił:

— Ojcowie wielebni, ponieważ jednak wielka myśl już dojrzała była w moim umyśle i kształt stałego zamiaru przybrała, zatem, przed wyjazdem z Portugalji, zwróciłem się do króla Jana II z przedstawieniem mu planu mojego. Król wysłuchał mię miłościwie, lecz doradcy jego w osobach: biskupa Ceuty, Diega Ortiz de Cazadilla i dwóch przybocznych lekarzy królewskich: Roderiga i Józefa, z których ów drugi jest żydem, zamiar mój uznali za dziwaczny i szalony. Daremnie szlachetny i kraj

swój miłujący, don Pedro de Meneses, hrabia z Villa Real, w gorącej i patryotycznej mowie skłaniał króla do usłuchania moich propozycji. Monarcha, już i tak obarczony licznymi wyprawami, które przedsiębrał w celu znalezienia drogi do Indji wokół Afryki, chwiał się jeszcze, bo mi w duszy rację przyznawał...

— Rację w czem, don Christoval? — pytał Perez. — Jakież to były i są owe wielkie myśli wasze, te wspaniałe zamiary? Nic nam jeszcze o nich nie powiedzieliście, a ciekawość naszą niezmiernie pobudziliście, bo my tu, widzicie, ciągle patrząc na port Palos i na nieskończone widnokregi nieznanego oceanu, wciąż słysząc dziwy o brzegach Afryki, bardzo jesteśmy chciwi takich opowieści i wiemy, że choć to podróżni i żeglarze, co zdaleka wracają, lubią koloryzować, ale zawsze coś tam prawdy jest... Przecież nasz król, szczęśliwie nam panujący Ferdynand i królowa Izabella władają Kanaryjskimi wyspami, a portugalski król Jan II, o którym właśnie mówicie, dzierży z łaski Ojca świętego wyspy Azorskie... Ho, hoo! Słyszałem ja już o różnych dziwach. Mówcie więc, zacny nasz gościu, jeśli to nie jest jakaś tajemnica tylko dla królewskich uszu przeznaczona?

— Tajemnica, — odpowiedział Kolumb — o której już wróble na dachach świegocą i w Lizbonie i w Sewilli, Kordowie, Granadzie, a już najwięcej w Salamance, bom już tam wszędzie był i odtrą-

cono mię zewsząd, tak, że oto idę do Huelwy odwiedzić męża siostry mej żony, niejakiego Pedro Correa i, zostawiwszy mu oto tego chłopca, udać się do Francji i tamtejszemu królowi darować cały nowy świat, skoro ani rodacy moi, Genuieńczycy, ani też królowie portugalski i hiszpański wziąć go odemnie nie zechcieli...

Zakonnicy patrzyli ze zdumieniem i pewnym przestraczem na Kolumba, widać było po spojrzezeniach, które z sobą zamieniali, że mają go za niespełna rozumu, nawet gwardjan znacząco pukał już po czole, kiedy przeor błagalnym głosem zawołał:

— Don Christoval! Na rany Chrystusowe was zaklinam, mówcie, co na myśli macie, jeśli nie chcecie, abyśmy razem z biskupem Ceuty i owym żydem Józefem, którego niech Bóg skarże i za to, że żydem jest, a także i za to, że się wam przeciwił przed królem Janem, wzięli was za człeka, któremu we łbie pstrzyka... A niechże Bóg broni! — i zegnał gościa swego znakiem krzyża. — Takem już was polubił, że markotnoby mi było dopatrzeć w was takiego nieszczęścia.

Kolumb smutno uśmiechnął się, dłonią potarł szerokie czoło, jakby sam obawiał się, że tam, pod niem, nieład panuje. Szare oczy mgłą zadumy powlekły się, gdy powiódł niemi po zgromadzonych i rzekł:

— Ha! Nie wy pierwsi bylibyście i zapewne nie wy ostatni...

Lecz po chwili, wzrok mu się rozjaśnił, błysnął ogniem zapału i, powstając nagle z ławy, wielkim głosem zawołał:

— Ojcowie moi! Ja znam drogę do wschodnich kończyn Azyi! Do tajemniczych krain Mangi i Kattay! Do bajecznie bogatej wyspy Cipango! Drogę wiodącą na zachód... a nie na wschód! — a widząc otwarte usta, zdumione, zdrewniałe ze zdziwienia twarze zakonników, mówił coraz goręcej. — Tak, na zachód... przez ocean. Jak daleka ta droga... nie wiem. Co mię w niej czeka? Nie wiem i obojętne mi to! Lecz powiadam wam, ja tysiące dowodów mam na to, ja tak jestem pewny tego, co twierdzę, że dziś, zaraz, puściłbym się na te tajemnicze, nikomu nieznanne, a jakoby tak groźne głębie oceanu. Życie, mienie moje, chłopca tego... wszystko... wszystko stawię, ważę, bo wiem, że prawdę przeczuwam, prawdę mówię... że dwa krańce świata, dziś rozprysnięte, zwiążę, spoję w drogę jak obręcz okrągłą... odkryję ludziom tajemnice świata, który Bóg im dał na mieszkanie!... Okrętu! Okrętu! Okręt mi dajcie! Choćbyście potem życie mi wydrzeć mieli!

Głębokie wzruszenie ogarnęło zakonników przywykłych do ciszy klasztoru. Z miejsc powstał i krążyć po sali poczęli, dzieląc się wrażeniami jedni z drugimi. Wtem, ozwał się wśród kamiennych

ścian korytarzy dzwonek wzywający na wieczorne modlitwy. Kolumb podniósł się z ławy i, podczas gdy jeden z zakonników zajął się chłopcem jego, aby go do celi na nocleg im obu przeznaczonej odprowadzić, on, w towarzystwie przeora, stanął w szeregu mnichów idących parami do kościoła, a znalazłszy się tam, modlił się gorąco i razem z zakonnikami śpiewał nabożne pieśni.

VII.

Nazajutrz, przeor Juan Perez wszedł do celi Kolumba i, powitawszy go przyjaźnie, rzekł:

— Noc bezsennie spędziłem, don Christoval... mogę przecież dawać wam tytuł »don«, chociażby z powodu, że szlachciankę mieliście za żonę.

— I nie tylko dlatego, ojcze, gdyż i sam prawdopodobnie pochodzę ze znakomitej niegdyś, potem podupadłej rodziny rzymskiej, której Colonus zawołaniem było ¹⁾. Mam na to dość przekonujące przypuszczenia... Tu, w Hiszpanji, biorąc przykład z Alcybiadesa, który przyjmował obyczaje każdego kraju, gdzie bawił, przybrałem nazwisko Christoval Colon, co brzmi jakoś z kastylska.

— I dobrze robicie, bo jeżeli mówią, iż nikt nie może być prorokiem w swoim kraju, to cóż dopiero w obcym...

— A zwłaszcza w Hiszpanji, — podchwycił

¹⁾ Miał wielki człowiek tę śmieszną słabość.

Kolumb — gdzie już przekonałem się, jak nieufnie patrzą na cudzoziemca i jak prawie pogardę dlań mają za to, że się Hiszpanem nie urodził.

— To wy już i tu, w Hiszpanji próbowaliście zamiar swój w czyn wprowadzić? — spytał przeor, a ciekawość brzmiała w jego głosie.

— Od lat już kilku po waszym kraju jeżdżę — odpowiedział. — Nie z jednego pieca chleb jadłem, nie z jednym i nie z byle jakimi ludźmi o planach swoich radziłem. Przybyłem tu z Portugalji w 1485 roku i zaraz udałem się do możnych panów, którzy tu, nad morzem, posiadają tak prawie jak niezależne państwa... domyślcie się pewnie, że o księżtach Medina-Sidonia i Medina-Coeli mówię. Obaj oni przychylnie mię słuchali, zwłaszcza Medina-Coeli już omal że mi nie dał środków do dopięcia celu. Cztery karawelle gotować kazał, lecz namyślił się, że w razie powodzenia, zawładnięcie tak obszernymi krajami, nawrócenie tak licznych pogan, być może nawet wojna z tak potężnym władcą, jakim jest, bez wątpienia, Wielki Chan Kathayu, są to przedsięwzięcia nad jego siły, zwrócił mię więc do króla Aragonu, Ferdynanda i żony jego Izabelli, królowej Kastylii. Pojechałem do Kordowy, lecz znalazłem monarszą parę niezmiernie zajętą wojną z Maurami, gdyż królowie: Muley Boabdil i bratanek jego Mohamed, zaprzestawszy sporów, połączyli swe siły przeciwko Hiszpanom. Nie pomogły mi starania zacnego Alonzo de Quintanilla,

skarbnika królestwa Kastylii, który mię polubił, ani też poparcie tak wysoko postawionych osób, jak Pedro Gonzales de Mendoza, arcybiskup toledański, wielki kardynał Hiszpanji, którego po cichu dworacy przezywają trzecim królem Hiszpanji i profesora teologii u S-go Stefana, dominikanina Diego de Deza. Posłuchanieu króla Ferdynanda otrzymałem za ledwie w Salamance, po długiem, uciążliwym wy-czekiwaniu w Kordowie, podczas którego, ojczyźnie grzech wielki popełniłem i nie chcę go przed wami, jako osobą duchowną, taić... Mea culpa, ojczyźnie... mea maxima... Poznałem tam kobietę wielkiego, lecz podupadłego rodu, Beatriks Enrikez i zawiązałem z nią grzeszny, bo przez Kościół nie poświęcony stosunek...

Westchnął na to wspomnienie wielki żeglarz i ze skruczą bił się w piersi. Przeor, z wymówką w pocziwych oczach, patrzył na niego i głową kiwał na znak oburzenia, lecz, po chwili, twarz jego złagodniała i rzekł dobroduszenie:

— Ha! Grzech to, bo grzech! Ale błędzić jest ludzką rzeczą... Naprawić to możecie, don Christoval... poślubić ją...

— A jeśli, ojczyźnie, to stanie mi na przeszkodzie do wielkiego celu mojego życia?

— Hm!... Prawda!... — mruknął zakonnik. — No, to wiecie co? Poślubicie ją wówczas, kiedy odkryjecie ową nową drogę zachodnią do Indji... Wtedy, stać was chyba będzie na istic królewskie wesele... a tymczasem, niechaj niewiasta czeka sobie...

— Kiedyż-bo, ojcze, mam z niej syna Ferdynanda...

— Ha! — zachnął się przeor. — Żle! Że też te kobiety zawsze porządnym ludziom w drogę wleźć muszą... Wiecie co, don Christoval, mój synu? Malec niech także czeka... Matko Boska! Może przecie poczekać, bo jak się wam powiedzie, to cóż za dziedzictwo go czeka? Jaka sława, kiedy go za syna uznacie... Christoval, dajmy już temu spokój... Mówmy lepiej o tej nadzwyczajnej wyprawie przez ocean... Ciekawe to rzeczy... ciekawe... Dzisiaj ma tu przybyć z Palos kilku dobrych żeglarzy, którzy, zasłyszawszy o was, pragną poznać was, a z nich najlepszy znawca morza, Marcin Alonso Pinzon, stary wilk morski... Powiadam wam, to żeglarzysko był już wszędzie, dokąd tylko mógł dotrzeć. To dobrze, że się takich dwóch, jak wy, pozna... No, a cóż tam było na tem posłuchaniu u króla, w Salamance?

— Cóż?... Dał mi odpowiedź warunkową, sam postanowić nie chciał, że to, mówił, nie zna kosmograji, ani geografji i astronomji, kazał zebrać zgromadzenie uczonych i do ich wyroku mię odesłał. Długo czekałem zanim się oni zebraли, aż nareszcie, w 1486 roku, w klasztorze dominikanów S-go Stefana zasiedli i na tak zwany egzamin mię wzięli. Długoby gadać, ojcze, o tem, jakie tam teorie wysnuwano, jakie nieraz wprost śmieszne zarzuty mi robiono, jakie dziecinne przeszkody do zamie-

rzonej podróży wynajdywano. Dość będzie, jeżeli wam przytoczę, że jeden z uczonych duchownych wyjechał ze sławną opinią Laktancjusza, który pisał: »Czy może kto być na tyle warjatem, aby wierzył, że są jakieś antypody, ludzie, którzy chodzą nogami do góry a głową w dół, że jest część świata, w której wszystko przewrócone do góry nogami, gdzie drzewa rosną naodwrot i gdzie deszcz, grad i śnieg padają z dołu do góry. Myśl o kulistości ziemi była przyczyną wymyślenia tych antypodów, którzy chodzą do góry nogami, bo filozofowie, skoro raz na błędną drogę wejdą, coraz dalej po niej brną, jednego głupstwa dowodząc za pomocą drugiego«. Inni znów zarzucali, że jeśli nawet przypuścić, iż ziemia jest kulą, to w takim razie, okręty od brzegów Hiszpanji wprawdzie odpłyną, lecz powrócić nie zdołają, bo pod górę taką olbrzymią żaden wiatr najsilniejszy popędzić ich nie potrafi. Długo radzili uczeni. Była nawet chwila, kiedy ja, człowiek nabożny i to, ojcze, nie powierzchownie tylko, lecz szczerze i prawdziwie religijny, omal nie zostałem o herezję posądzony i szczęście to jeszcze, iż na tem się tylko skończyło, że większość tych mężów znalazła zamiary moje i plany szalonemi, marzycielskiemi i do urzędywania niepodobnemi. Wojna tymczasem wciąż trwała. Do króla i królowej docisnąć się nie mogłem, wędrowałem więc z dworem z obozu do obozu, z miasta do miasta, zwodzono mię na-

dziejami, półobietnicami, długi czas zdawało mi się, że król Ferdynand, pan mądry i ostrożny, umyślnie zwleka, bo widzi i pojmuje prawdę słów moich, a tylko wyczekuje swobodniejszego czasu i lepszej sposobności, a zwłaszcza napełnienia się skarbu przez wojnę opróżnionego, aby przystąpić do tak wielkiego przedsięwzięcia... I lata tak trwało, w bitwach z Maurami udział brałem, nareszcie, kiedy niedawno, prosiłem stanowczo o jakie bądź postanowienie, jeszcze raz otrzymałem odpowiedź chwiejną, wymijającą... Miałem już tego dość, środki moje wyczerpały się zupełnie, tak, że piechotą puściłem się do Huelwy... I tak, ojczy, w Portugalji, król Jan, z namowy złych doradców, chciał mię podejść, bo w czasie, gdy mię zwodzono nadziejami, wysłał okręty na zachód od wysp Zielonego Przylądka, lecz żeglarze jego, po kilku dniach podróży, widząc tylko bezgraniczne a wzburzone wody, nawrócili i oświadczyli, że przedsięwzięcie to nad siły ludzkie... a tu, w Hiszpanji, król Ferdynand zmarnował mi kilka lat życia, tak drogich dla tego, kto ma przed sobą wielki cel i obawia się, że starość i śmierć przeszkodzą mu dopiąć go.

Przeor położył dłoń na rękę Kolumba i ze współczuciem malującym się w oczach ścisnął ją, mówiąc:

— Don Christoval, nie zwieszajcie głowy i rąk nie opuszczajcie, tylko wytrwałością człowiek wielkich czynów dokonywa... Ja tam geografji i astro-

nomji więcej od króla nie umiem, ale mieszkając tu, nad brzegiem oceanu, często widuję żeglarzy i dziwne rzeczy nieraz od nich słyszę... Ale otóż i nasze wilki morskie z Palos! — zawołał, wyglądając przez okno. — Chodźcie, don Christoval, pogadamy z nimi. Oni o Laktancjuszu nic nie wiedzą, ale morze znają i przez całe życie o niem myślą. Może więcej się od nich dowiemy, aniżeli od uczonych mężów z Salamanki?

Starzec uśmiechnął się dobrotliwie, w rozumnych jego oczach zamigotało światełko szydercze i, ujawszy gościa pod ramię, powiódł go do jadalni, gdzie już zastali lekarza z Palos, Garcia Fernandez, wielkiego przyjaciela przeora, człowieka wykształconego; Marcina Alonzo Pinzona, głowę zamóżnej rodziny żeglarzy wstawionej przedsiębiorczością i śmiałością; brata jego, Wincentego Janez Pinzona, a także sterników: Sancho Ruiza i Pedra Nino.

— Dobrze zrobiliście, żeście przyszli! — zawołał przeor, witając gości. — Ludzie jednego rzemiosła powinni się znać, zwłaszcza, kiedy tak wielkie zamiary ukazują się.

A gdy zapoznał swoich przyjaciół z Kolumbem i zasiedli wokół stołu, przed dzbanem wina, Kolumb głos zabrał:

— Wielebny przeor tego klasztoru mówi mi, że panowie zaciekawieni jesteście mojami planami, a ponieważ i mnie idzie o to, aby zasięgnąć zdania i rady ludzi należących do naszego zawodu, więc

przedstawię wam to, o czem myślę i marzę od lat kilkunastu, u dotąd daremnie w czyn wprowadzić staram się. Już starożytni domyślali się, że ziemia jest kulistego kształtu i, chociaż to twierdzenie nie jest doświadczeniem dotąd dowiedzione, dla mnie ono żadnej wątpliwości nie ulega i właśnie pragnieniem mojem jest: dać tego niezbity dowód, dopływając do wschodnich brzegów azjatyckiego lądu, gdzie państwa Mangi i Kathay leżą, płynąc jednakże nie na wschód, lecz na zachód.

— Don Christoval Colon dobrze mówi. — odezwał się Marcin Pinzon. — Ja tam nie wiem co starożytni mówili o tem, ale niejednokrotnie zauważyłem, że jeśli lądy są płaszczyznami, to na morzu jest jakaś wypukłość powierzchni wód.

— Jeśli ziemia jest kulistego kształtu, — mówił znów Kolumb — to muszą być antypody i, płynąc w kierunku zachodnim, musimy natrafić na wyspy i lądy, a pomiędzy niemi na bogatą wyspę Cipango. Tak dowodzili: Arystoteles, Seneka, Pliniusz, Arab Alfraganus i wielu innych.

Wincenty Janecz Pinzon, człowiek w średnim wieku, o energicznej, ogorzałej od morskich wiatrów twarzy, odezwał się:

— Czego dowodzili ci uczeni, o których wspominać, don Christoval, tego ja nie wiem, lecz każdy rozsądny człowiek przyzna, że, płynąc w jakim bądź kierunku, trafi się ostatecznie na jakiś ląd lub wyspę... Przecież od najdawniejszych cza-

sów zawsze tak bywało, nigdy nikt nie dopłynął do jakiejś ściany, lub przepaści, tylko zawsze znajdował wyspy, lądy, zatoki, przylądki i ujścia rzek. Jeśli tak było w podróżach skierowanych na wschód, północ, lub południe, dlaczegożby inaczej być miało w kierunku zachodnim... Już widać tak Bóg stworzył świat, że na powierzchni jego lądy są z morzami pomieszane. Zdarzyć się może, iż ku zachodowi większy szmat morza leży, lecz nie jest ono bez końca...

— Tembardziej, — podchwycił Kolumb — że Wenecjanin Marco Polo i Jan Mandeville, którzy odbyli wielkie podróże lądem po Azji, piszą, iż ląd ten bardzo daleko na wschód sięga, rozumiecie zatem, szanowni żeglarze, iż im dalej on ciągnie się, tem bliżej podchodzi do zachodnich brzegów Europy i wiele mamy danych na to, iż morze dzielące te części świata wcale tak ogromne nie jest i do przepłynięcia możebne, zwłaszcza, że pomiędzy niemi leży sławna wyspa Cipango, a zapewne i wiele innych. Jeżeli równik, otaczający kulistą ziemię, rozdzielimy na dwadzieścia cztery godziny, a każdą z tych — na piętnaście stopni, to otrzymamy trzysta sześćdziesiąt stopni. Otóż, porównyując globus Ptolemeusza z mapą Marina z Tyru, widzimy, że starożytni znali piętnaście z tych godzin obwodu ziemi, od Gibraltarskiej cieśniny na wschód, aż do miasta Thinae w Azji. Od tego czasu, poznano jeszcze obszar od Gibralt-

taru do wysp Azorskich i Zielonego Przylądka; nieznanym zatem, według mego obrachunku, pozostaje tylko osiem godzin i jedna trzecia, a z tych, znaczną część zajmuje ląd azjatycki, Atlantyk więc nie musi być tak bardzo znów szeroki... tak też dowodzi Alfraganus...

— Co mówił ten poganin, nie wiem, — rzekł Marcin Pinzon — ale jeśli tak utrzymywał, to głowę miał on lepszą, aniżeli duszę, gdyż prawdę odgadł, bo gdyby ocean był tak nieskończenie szeroki, jak mówią, a za nim nie było lądu żadnego, toby do wysp Azorskich nie przyływały, kiedy wieją wiatry od zachodu, trupy ludzi niepodobnych ani do nas, ani też do Negrów afrykańskich...

— A mnie, — przerwał Garcia Fernandez — Marcin Vincenti, sternik króla portugalskiego, nie opowiadałby, że, w odległości czterystu pięćdziesięciu mil na zachód od przylądka S-go Wincen-tego, wyłowił z wody kawał drzewa rzeźbionego bez pomocy żelaznego narzędzia, jak wyraźne tego ślady widział na rzeźbie, a zauważcie, iż wiatr z zachodu także wiał.

— Mnie zaś, — rzekł Kolumb — mój krewniak, Pedro Correo, opowiadał, iż widział także taki kawał drzewa i ogromne trzciny, które wiatr zachodni przypędził do Porto Santo, a Ptolemeusz już pisał, że takie trzciny rosną właśnie w Indjach.

— Mnie, — zawołał Nino, dotąd milczący, bo onieśmielony obecnością wykształceńszych od niego

ludzi — majtek z portu S-ta Maria zaręczał, że kiedy płynął do Irlandji, widział w stronie zachodu wielką wyspę, a wszyscy na okręcie obecni dowodzili, że to krańce Tartarji.

Posypały się wspomnienia o rozmaitych oznakach istnienia dalekich, zachodnich lądów, o przynależności których do Azji tylko wykształceni Kolumb, przeor i lekarz mówili, żeglarze natomiast, nie wypowiadając swojego zdania w tej kwestji, nie wątpili jednakże o ich istnieniu i wspominali o bajecznych wyspach S-go Brandana, Antylli i tej, którą zwano wyspą o Siedmiu Miastach. Traktowali jednak plany Kolumba poważnie, a z ich słów jasno widniało głębokie przekonanie o gruntownej ich podstawie, i chodziło im tylko o trudy, niebezpieczeństwa, a szczególnie o koszty, ich zdaniem, dalekiej, bądź co bądź, przeprawy. Aż Kolumb znowu głos zabrał:

— Otóż słyszycie, koledzy moi, żeglarze, i przekonąć się możecie, jak przypuszczenia moje są ugruntowane. Od lat osiemnastu wciąż o tem myślę i codzień coraz mocniej wierzę, iż bliżej stąd do Cipango na zachód płynąc, aniżeli na wschód... Ja tego pewien jestem jakbym już tam był!... We snach widuję cudne klimaty, rośliny, zwierzęta, ludzi niezwykłych, miasta ogromne i ludne, bogactwa niezmierne, nieprzebrane tych nieznanym, cudnym krajów, gdzie dachy pałaców wielkiego Chana Tartarji szczerem złotem są kryte, gdzie perły

i drogie kamienie garncami sprzedają za bezcen, a okręty, po brzegi wyładowane drogocennymi korzeniami, z jednego portu do drugiego pływają jak u nas z wełną lub zbożem! Co za męka, moi bracia! Osiemnaście lat widok tego rajy nawiedza wyobraźnię moją!... Osiemnaście już lat jak miraż wiekopomnej sławy przed zachwyconą myślą moją błyska, niby daleka, nieuchwytna a cudna i mamiąca błyskawica... Pomyślcie tylko! Miliony pogan na światło prawdziwej wiary nawrócić, pod panowanie S-go Kościoła oddać! Skarby olbrzymie, bajeczne, niewyczerpane, dla Hiszpanji zdobyć! Ludziom dać poznać ten świat, na którym tak dawno mieszkają, tak mało go znając! I nie móżdż od tyłu lat nikogo przekonać, nikogo uprosić, aby mi dano parę karawel i garść ludzi do pomocy w zamian za nowy, cudny świat!

Oparł łokcie na stole, twarz schował w dłonie i tak, zgarbiony, siedział, a cała postać jego wyrażała zniechęcenie i przygnębienie. Po chwili jednak wyprostował się, wstał od stołu i, szybkim krokiem chodząc po obszernej izbie sklepionej, podszedł do okna, rzucił długie spojrzenie w dal, na widnokrąg, gdzie niebo zlewało się z oceanem mglistą linją i z błyskiem nadziei w oczach zawołał:

— Chyba jeszcze król francuski da się skłonić... Natychmiast do Francji jadę!

Pomruk pomiędzy żeglarzami powstał, ich oblicza

energiczne, śniade, od słonych bryzgów morskiej wody spierzchłe, wyrażały żal i oburzenie.

— Cóż u licha! — wołali Pinzonowie. — Mieiliby Francuzi więcej dokazać od Andaluzów!

— Zabrać nam z przed nosa skarby Cipango? — mruzczał Sancho Ruiz.

— Ochrzcić Kathayów i Tartarów! — wołał przeor. — Trzeba coś na to radzić!

A wzięwszy na stronę przyjaciela swego, lekarza z Palos, odszedł z nim na bok i szeptał. Marcin Pinzon podparł potężną, czarną prawie dłonią łysą głowę i myślał, a po jego surowej twarzy, jakby z kamienia wykutej, błyski przelatywały. Ostrożność prostaka, chciwość handlarza i paląca, zuchwała ciekawość starego żeglarza, który tyle świata zwiedził, a jednak tak jeszcze mało, staczały walkę w jego twardem, odważnem sercu. Nagle, powstał i donośnym, spokojnym głosem rzekł:

— Niechaj don Christoval dostanie od króla chociażby jedną karawelę z załogą, to ja drugiej dostarczę i sam płynę i braciom swym każę... Mienie i życie ważę, tak jestem pewny, że on ma rację!

— Bracie! — zawołał Kolumb radośnie. — Czyż się nie cofniesz w stanowczej chwili?

— Marcin Pinzon z Palos powiedział... — z miną hidalga rzekł stary żeglarz. — To choćbym szatanowi w paszczę miał wjechać tam, na tym stra-

sznym zachodzie... pojedę. — a ciszej mruknął: — Niech stare oczy zobaczą dziwy, których nikt nie widział... a nie, to kości złożę w wielkiej słonej wodzie, niech marnie nie gniją na lądzie... A co złota przywieziemy, chłopcy! — zwrócił się do brata i sterników.

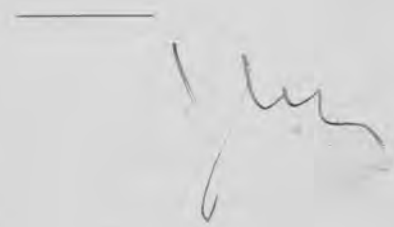
Zebrano się znowu wokoło stołu, a gdy kubki, krążąc gęsto, rozgrzały już i bez tego gorącą krew Andaluzów i podnieconą ich wyobraźnię, złożono radę krótką i stanowczą, radę nie polityków i uczynnych księży, lecz ludzi czynu, żeglarzy. Postanowiono, że skoro plany Kolumba mają wielkie prawdopodobieństwo powodzenia, zatem płynąć i basta, a na zakończenie przeor objawił:

— Don Christoval, drogi mój gościu, i wy sąsiedzi i przyjaciele.. stary już jestem, mam tu obowiązki, choć radbym ruszyć z krzyżem Chrystusowym pomiędzy pogan, ale przykuty jestem do tego klasztoru. Nie mogę jednak patrzeć obojętnie, jak ten oto znakomity żeglarz usługi swoje i wiedzę musi nieść do obcych krajów i cudzych monarchów całym nowym światem obdarować ku szkodzie Hiszpanji. Byłem dawniej spowiednikiem królowej Izabelli... Tak, miałem ten zaszczyt. Pojadę do niej i przedstawię jej rzecz całą, przemówię do rozsądku, do sumienia i do wielkiego serca tej zacnej pani i tak mi coś mówi, że ona mię usłucha i wielkie szczęście, wielka chwała spłyną z tego przedsięwzięcia na jej i króla Ferdynanda pano-

wanie... Tak mi Boże dopomóż. A wy, don Christoval, czekacie już osiemnaście lat, to dajcie mi czas, poczekajcie jeszcze osiemnaście dni, tu, w tym klasztorze, gdzie wam niczego nie zabraknie.

Kolumb ze łzami radości i wdzięczności w oczach uściśnął przeora, a żeglarze odchodzili spokojnie, jak gdyby postanowili odbyć przejażdżkę do Kadyksu, lub Malagi.

I nie dziw. Ludy Hiszpanji przeżywały wówczas perjod swej męskiej dojrzałości, wiek czynu, ufności w swe siły, odwagi w przedsięwzięciach, i jak to bywa w takim nastroju ducha, zarówno narodów jak i osobników, wszystko się im wiodło, łamały trudności i przeciwności z niezłomną wolą i siłą.



VIII.

Tej nocy jeszcze, zacyjny przeor, cichaczem, aby go do jutra nie zatrzymano, osiodłał sam muła i przez kraje świeżo na Maurach odwojowane ruszył w okolice Granady, do S-ta Fe, miasta-obozu świeżo zbudowanego na równinie, czyli tak zwanej »vega«, granadzkiej, gdzie para królewska osobiście dozorowała oblężenia Granady. Dzięki swej sukni zakonnej, dzielny a gorącego ducha starzec z łatwością uzyskał posłuchanie u królowej.

Gdy stanął przed nią, śmiałość dawnego jej spowiednika wróciła mu, mówił gorąco, wymownie, przedstawił wielkie korzyści, a co ważniejsza dla takiego jak Izabelli charakteru, błysnął przed jej wrażliwą a nabożną duszą nadzieją wielkiej sławy, która na nią i na Hiszpanję spłynie z tak doniosłego w skutkach odkrycia, z nawrócenia tylu dusz pod sztandar Chrystusowej wiary.

Izabella, która i uprzednio bardzo była skłonna

do uwierzenia Kolumbowi i plany jego w czyn wprowadzić pragnęła, olśniona wymową Pereza, dała odpowiedź przychylną, kazała wezwać Kolumba do S-ta Fe i posłać mu dwadzieścia tysięcy maravedi¹⁾ na podróż, kupno muła i przystojny, dla przedstawienia się u dworu, przyodziewek.

Przeor, nie marudząc, znalazł w obozie mieszkańca Palos i zaraz go wysłał z listem i pieniędzmi. Kolumb natychmiast oporządził się, wsiadł na muła i, z radosną nadzieją w sercu, ruszył w stronę Granady.

Jeszcze raz źle trafił, bo na ostatnie dni oporu Maurów w Granadzie. Kto żył w obozie, wojsku i przy królewskim dworze był zajęty bojem, rozgorączkowany i podniecony. Nikt o niczem innem słuchać nie chciał, a w kilka dni po przyjeździe swoim, był świadkiem poddania Granady, ostatniego przytułku Maurów na Iberyjskim półwyspie.

Osiem stuleci zawziętej walki, niezmiernych wysień, klęsk dotkliwych i zwycięstw częściowych kończyło się ostatecznym, już tym razem, dla Hiszpanji, zwycięstwem krzyża nad pół-księżycem, a starszych, dawniejszych zdobywców półwyspu nad późniejszymi, ludów aryjskich nad semickimi. Ferdynand i Izabella dodawali świetne ogniwo do pasma tych wiekowych bojów, co snuło się po przez stulecia, w którym lśniły

¹⁾ Około 1100 franków.

zwycięstwa Persów nad Fenicjanami, zdobycie Tyru przez Aleksandra Macedońskiego, widniała we mgle przeszłości surowa postać Mariusa marzącego na gruzach Kartaginy, a główną ozdobą był błysk olbrzymiego miecza obosiecznego Karola Martela, kiedy ciężarem swym gruchotał krzywe szable arabskie.

Kolumb widział, jak król Boabdil, spadkobierca mądrych Abderahmanów i Hakemów, całego szeregu świetnych, wytwornych i potężnych Omejadów, wychodził z Alhambry, otoczony szczupłym orszakiem wychudłych, okrwawionych, śniadych aż zczerniałych od trudów wojny rycerzy-bohaterów w podartych zawojach białych i niósł klucze tej ukochanej siedziby przodków, a Ferdynand i Izabella, w purpurze i gronostajach, przewodząc olbrzymiej procesji, szli naprzeciw tej garstki przedstawicieli upadającej, umierającej epoki życia ludzkości, cywilizacji, która, w ciągu długiej, kilkunasto-wiekowej nocy dziejowej, w zmierzchu i zaniku umysłowego rozwoju ludzkości, sama jedna zachowała zarzewie światła wiedzy, uprawiała umiejętnie nasiona odrodzenia zwiędłych kwiatów ducha. Za królem Aragonu i za królową Kastylji, których czoła uwieńczone były, już nie tylko laurami zwycięzców, lecz aureolą zesłańców niebios, duchów opiekuńczych krajów Hiszpanji i całego chrześcijańskiego świata, szły tłumy w zbroje zakutych rycerzy, grandów i hidalgów

w malowniczych strojach, lśniących jedwabiami i atlasem, głaszczących oczy miękkim połyskiem aksamitów, obsypanych klejnotami; poważnie kroczyli kardynałowie w purpurze, biskupi we fioletach, a także pozornie ubodzy dygnitarze Kościoła, chroniący swą pychę pod sztywne fałdy czarnych i białych habitów, pod bure kaptury z grubego sukna.

Ze szczytu Alhambry spadał złoty pół-księżyc, a w jego miejsce zabłysnął, pod obojętnemi na wszystko, dla wszystkich zarówno ożywczeni promieniami słońca, duży, srebrny krzyż. Kolumb szedł za tą procesją, gdzieś, w tylnych jej szeregach mało komu znany, przez wielu pogardzany, prawie przez wszystkich wyśmiany i popychany. Nabożna jego dusza cieszyła się z upadku wrogów krzyża... filozofem nie był, w przeszłą i przyszłą dal dziejową umysł jego nie patrzył... on widział tylko marzenie całego życia, te nowe, olbrzymie światy, do których on jeden zna drogę i marne mu się wydały zdobycze Hiszpanów, drobiazgiem Granada, nie pojmował czego ci bogaci, ci silni, szczęśliwi, tak liczni i pyszni cieszą się, śmieją, śpiewają, w dzwony biją, z armat grzmią, kiedy on, osamotniony, ubogi, nieznany, niesie w sobie, w swych myślach, w swej wyobraźni cały świat nieznany, a tak ogromny, że Europa mogłaby być tylko jedną, marną jego prowincją. ...Szkoda, że tak obszerny umysł, tak potężna wola i tak prawa

dusza, jakie mieszkały w Kolumbie, nie wzniosły się wówczas aż do górnych uczuć sprawiedliwości i wdzięczności, przyznałby on wtedy, że nie nosiłby w sobie tego wspaniałego mirażu, gdyby nie kalif Al-Mamun, który zmierzył stopień obwodu ziemi nad brzegami Czerwonego morza, gdyby nie Harun-al-Raszyd, który budował w Mezopotamji obserwatoria astronomiczne, gdyby nie ów Alfraganus, na którego sam się powoływał, a także liczni matematycy arabscy, co i wiedzę i narzędzia jej udoskonaliłi, bez których nie byłoby ani kompasu, ani astrolabu, poprzednika sekstanu, co otworzyły morza, ośmielając dotąd panującą trwożliwość żeglarzy... Możeby wówczas łzę uronił nad tym upadkiem, na który patrzył, możeby uczuł, że wszelki upadek czegoś cennego, to krok wstecz, to chwila zastoju wśród wiekowego pochodu naprzód wszech-ludzkich zastępów, tych braci w umysłowym dorobku i być może, później, więcejby starań dołożył, aby lżejszym uczynić los tych nie-szczęśliwych milionów istot ludzkich, tych mieszkańców jeszcze tylko wówczas przeczuwanych przez niego krain, możeby przewidział, że ten szczyt, którego dosięgła Hiszpanja przed oczyma jego, to punkt zwrotny jej pochodu ku górze, że z niego już ona, z potokami krwi, przez mordy, rabunki, nieprawości i fałszy, powoli staczać się będzie do głębokiej, ciemnej przepaści długiego

upadku cnoty i myśli, tak niezbędnych dla utrzymania choćby tylko materialnego bytu narodów.

Kiedy radość zwycięstwa z szalejącej stała się spokojniejszą, skupioną, przeszła w dumną pewność siebie i skończyły się uroczyste nabożeństwa, uczty, bale, śpiewy i procesje, królowa przypominała o Kolumbie i danej mu przez przeora Juana Pereza pół-obietnicy, wyznaczyła kilku urzędników dworskich, ze świeżo mianowanym na arcybiskupa Granady, Fernandem de Talavera, obecnym spowiednikiem swoim na czele, aby oni przeprowadzili umowę z Kolumbem i oznaczyli warunki, na jakich ma się uskutecznić zamierzona przez niego podróż.

Talavera, który, od początku starań Kolumba, był źle usposobiony dla jego planów i brał go za chorobliwego marzyciela, lub też za chytrego żebraka, przyjął go zimno i dumnie. Do wchodzącego z poczuciem godności ludzkiej i wielkiej wagi swych zamiarów, rzekł:

— Królowa rozkazała mi ułożyć z wami szczegóły owej warjackiej wyprawy i określić wysokość waszych nagród, w razie powodzenia. Mówcie zatem, ilu okrętów i jakich potrzebujecie, oraz w jakiej sumie ma być wam wypłacona ewentualna nagroda?

Kolumb wymagania swoje co do materialnej strony wyprawy obniżał już teraz do najniezbędniejszych rozmiarów, w obawie, aby zbyt wy-

soka cyfra kosztów nie działała odstrasżająco, odpowiedział zatem skromnie:

— Trzy małe statki, przewielebny Pasterzu, wystarczą... bo z małemi łatwiej mi będzie zwieźć nieznaną brzegi, wpływać w ciasne i płytkie nieraz zatoki, lub w ujścia rzek. Sądę, że kwota wynosząca około trzech tysięcy koron wystarczy na koszta...

— No, a wynagrodzenie wasze? — spytał Talavera.

— Ze względu na ogrom celu i wielkość zasług moich, skoro go do skutku doprowadzę, — odparł Kolumb, prostując swą okazałą postać i śmiało patrząc na dygnitarza, o którym wiedział, że mu jest nieprzyjazny — nagroda moja powinna być natury honorowej... Żądam dziedzicznego w moim rodzie tytułu admirała oceanu i wicekróla wszystkich ziem, tak wysp, jak lądów, które odkryję...

Talavera rzucił się na krzesło i zawołał szyderczo:

— Tylko tyle?

— Tylko, — odparł wyniośle Kolumb — bo bezemnie Hiszpanja nie zawładnie temi krajami. Będąc jednak ubogim, muszę także żądać i materialnego wynagrodzenia: Dziesiąta część wszystkich dochodów, czy to z handlu pochodzących, czy też ze zdobyczy, powinna być moja...

— Tylko tyle? — powtórzył z naciskiem Talavera i uśmiechnął się zjadliwie.

— Tylko, — odpowiedział Kolumb jeszcze dumniej — bo dzisiaj, z tych ziem, król jednego maravedi dochodu nie ma i bezemnie mieć go nie będzie. Nie wy mnie dajecie dziesiątą część, lecz ja wam daję dziewięć... Kto hojniejszy?

— Królestwo Kastylji, gdyż ono tu tylko udział bierze, bo król Ferdynand, w imieniu Aragonu, słysząc o niczem nie chce... Królowa Izabella, dla Kastylji, ze skarbu królestwa, ponosi wszystkie koszta, o tem zapominacie, fantastyczny żeglarzu... Rozumiecie? Wszystkie koszta — dodał z naciskiem — i bodaj na zagładę poświęca te pieniądze tak potrzebne w opróżnionym skarbie... A wy co narażacie?

— Życie. Lecz mniejsza o to, aby dowieść, że wierzę w powodzenie, skoro wam życia mojego, jako zastaw, za mało, wejść w przedsięwzięcie na ósmą część kosztów, lecz, w takim razie, nie dziesiątą, a ósmą też część dochodów pobierać będę.

Talavera powstał, dając tem znać, że uważa posłuchanie za skończone, a układy za zerwane i rzekł:

— Jeśli mię królowa usłucha, to zostaniecie pustym marzycielem, jakim zawsze byliście, a nie admirałem oceanu, za którym nic niema, i wicekrólem ziem pod słońcem nieistniejących i, ani

dziesiątej, ani ósmej, lecz żadnej części zysków owych z księżyca pobierać nie będziecie... i nie dziw, bo chyba nikt, nigdy, do takich skarbów nie dobierze się.

I znowu Kolumb odszedł szyderstwem napojony, jeszcze raz zwątpienie wypełniło jego serce. Talavera przedstawił królowej, że zuchwalstwem jest ze strony człowieka, który tyle lat spędził w przedpokojach nie tylko królewskich, lecz i wszystkich urzędników dworskich, tego, co dotąd miał stanowisko żebraka o słabym umyśle, żądać takich odznaczeń zbliżających go nagle do tronu, w sposób niebывały, zaszczytów, które są udziałem wiernych sług monarszych, po długich latach zasług, osób pochodzących z najstarszych rodów kraju, a nie cudzoziemców niskiego pochodzenia i nieznanych włóczęgów. Tłumaczył, że przyznanie mu tych nagród i przywilejów byłoby ubliżeniem dla majestatu.

Królowa, zawsze bardzo uległa zdaniu spowiedników swoich, rozkazała przedstawić Kolumbowi warunki mniej świetne dla niego. On jednak nie chciał ustąpić. Przecież tyle lat znosił zwłoki, niedotrzymane obietnice, pogardę i lekceważenie, na tak ciężkie próby wystawione były i jego cierpliwość i poczucie wewnętrznej wartości własnej, że, chociaż był entuzjastą-marzycielem, chociaż wysoko cenił zaszczyt odkrycia jednej części ludzkości istnienie drugiej, nieznanej, rozjaśnienia

mroków, co dotąd okrywały i kształt i obszar świata służącego ludziom za mieszkanie, nie mógł jednak zdobyć się na zupełną bezinteresowność, pracować i życie poświęcić tylko wyłącznie dla korzyści tych, co go tak długo męczyli i zwoździli. Chciał, aby sama doniosłość nagród, jakie otrzyma, świadczyła o wielkości jego zasług, jego sławy i do potomności wyraźnymi, rzeczowymi dowodami przemawiała.

Zniechęcony, złamany, prawie zrozpaczony, wsiadł na muła i, opuszczając S-ta Fe, skierował się do Kordowy, aby stamtąd, natychmiast, udać się do Francji, bo widział, że lata nie stoją, czuł, że wkracza już w starość, która lada chwila zamknać przed nim może pole wszelkiej działalności.

Odjazd jego poruszył bardzo tych, co wielkie nadzieje pokładali na jego planach, bo one, jak to zwykle bywa z genialnymi pomysłami, o ile w jednych budziły niewiarę, szyderstwo a nawet nieprzyjaźń, o tyle w innych zapalały i uwielbienie nieciły.

Pomiędzy gorącymi zwolennikami Kolumba, był przy dworze hiszpańskim wysoki urzędnik Aragonu, don Luis de Sant-Angel. Ów, gdy dowiedział się o odjeździe Kolumba, strapiiony i oburzony, natychmiast udał się do królowej i w gorącej przemowie przedstawił jej, prawie z wymówkami, całą małoduszność takiego postępk.

Prosił, błagał w imieniu Hiszpanji, aby królowa nie odtrącała tak wielkiej sławy u wieków przyszłych i tak wielkich korzyści dla kraju, bo Kolumb nie jest żadnym wizjonerem i marzycielem, lecz przeciwnie, człowiek-to genialny, głęboko przekonany o słuszności swoich przypuszczeń, czego właśnie dowodzą: zapał, z jakim on przedstawia wyniki tej wyprawy i wysokość nagród, których żąda, a które nic ubliżającego dla majestatu, ani też zbyt wygórowanego nie mają, skoro pragnie on dla siebie zachować tylko część tak władzy w odkrytych i zdobytych krajach, jako też i zysków, które z nich korona Kastylji ciągnąć będzie... Przecież mu z góry niczego nie dają?... Zresztą, gdyby wyprawa ta nic innego nie osiągnęła jak tylko rozjaśniła pytania dotyczące kształtu ziemi to i tak, godną jest rzeczą tak wielkich monarchów, wprost ich obowiązkiem, poświęcić na ten cel marną kwotę pieniędzy.

— Tak! — wołał don Luis — Jeszcze nigdy żaden monarcha z tych, którzy się wstawili wielkimi czynami, nic podobnego nie dokonał, jak ta wiekopomna wyprawa, do patronatu nad którą, Waszej Królewskiej Mości daje sposobność ten człowiek tak jeszcze nieznany, tak wyśmiany i upokorzony, a jednak tak wart podziwu i dla wiedzy swojej i dla niezłomnego charakteru, a także dla tego ukochania wielkiej myśli, którą umysł jego stworzył, dla zapału, co go porywa

i unosi aż do marzenia, do wizji... Tak! Wasza Królewska Mości, to jasny umysł i prawa, wzniosła dusza!

Na myśli królowej stały te lata całe przez Kolumba spędzone w przedpokojach dworskich, upokorzenia i pośmiewiska, którym ulegał, zaniepokoiło się jej sumienie, bo, w tej chwili, jasno sprawę sobie zdała, że i ona i król, jej małżonek, przez cały ten czas, wprost zwodzili go, nie chcąc z jednej strony narażać na straty skarb wyczerpany przez wojny, a bojąc się, z drugiej, dać ostatecznie odmowną odpowiedź, aby tem nie skierować Kolumba do rządów innych państw współzawodniczących z Hiszpanją. Ta dwulicowość, którą teraz dopiero wyraźnie spostrzegła, ta krzywda wyrządzona, chociażby już tylko szlachetnemu marzycielowi, zmarnowaniem tyłu lat jego życia, wstrętem przejęły piękną duszę Izabelli i zawołała:

— Mówią mi, że ani Aragon, ani Kastylja pieniędzy nie mają!... Otóż załóżę swoje klejnoty, aby dostać potrzebnych na tę wyprawę środków, a skoro król nie chce się ku niej nakłonić, to przedsięwzięję ją na rachunek mojego królestwa Kastylji!

W czasie, gdy don Luis de Sant-Angel i ulubienica królowej, margrabina de Moya, która nalegania swoje do jego przedstawień łączyła, tak wymownie i skutecznie bronili jego sprawy, Ko-

lumb, samotny, jechał na mule przez granadzką »vega«, głowę zwiesił, w myślach jego zamęt panował, a duszę ciemność zalegała.

— Ostatnia nadzieja rozwiewa się. — myślał — Tyle cennych lat zmarnowałem... Przy innym dworze znowu zapewne lata starań, przedstawień, wysień, czekają mię i najpewniej pójdą one także na marne... a starość zbliża się, z nią niemoc wprowadzenia w czyn marzenia całego życia, oddania ludzkości olbrzymiej usługi, okrycia sławą mojego imienia w pamięci przyszłych pokoleń... Żegnajcie, wymarzone światy... już oczy moje was nie ujrzą... a jeśli je kiedy odkryje ktoś ode mnie szczęśliwszy, to nie moje imię świecić będzie na kartach dziejów wielkiego dzieła...

Niezmierna gorycz duszę jego wypełniła i tka nie gardło mu ścisnęło. Zbliżał się do mostu Pinos, u stóp góry Elvira, do miejsca wstawionego bohaterскими walkami Hiszpanów z Maurami.

— Nie jeden rycerz z obu obozów — szeptał Kolumb, jadąc stępą — tutaj, chwała się okrył... imiona ich ze czcią wspominane są i długo jeszcze poeci obu narodów śpiewać o nich będą... a czyż sława ich mogłaby iść w zawody z moją... przecie i ja zdrowie, życie ważyć chcę, a daję to, w dodatku, czego oni nie dali: myśl, wiedzę, pracę całego życia. Czemże w porównaniu do tego jest chwila, choćby najbardziej bohaterskiego boju... Walczyłem i ja i dobrze wiem, że łatwiej

stawać z mieczem w rękę, niż walczyć z obojętnością ludzi dla wielkiej myśli, której nikt zrozumieć nie chce...

Wtem, z oddali, jakieś wołanie do uszu jego doleciało. Obejrzał się: kłęb kurzawy zbliżał się ku niemu, a po chwili, zdołał rozpoznać pędzącego jeźdźca, który wołał:

— Stójcie!.. Czekaście! Rozkaz królowej!

Powstrzymał wierzchowca i wkrótce, na spienionym koniu nadbiegł posłaniec z listami od don Luiza i przeora Rabidy, Pereza. Pisali, że nagle, królowa postanowiła zaniechać dalszego wahania i wzywa go do siebie z tem, że przyjmuje wszystkie jego warunki i jemu samemu powierza jak najrychlejsze przygotowanie wyprawy. Nawet król, choć bez wielkiego zapału, zgodził się z wolą małżonki. Kolumbowi nowa fala goryczy duszę zalała. Patrzył na listy; czarne znaczki pisma mówiły słowami pociechy i nadziei, lecz jego zwątpienie ogarniało:

— Czyż to być może? Po tylu latach zwłoki i zawodów? Znowu zapewne narady... jeszcze pusta gadanina... nowe komisje znawców, uczonych, a potem, jak zwykle, szyderstwo niektórych, a grzeczna od tronu odpowiedź: kiedyś, później, przy odpowiedniejszych okolicznościach... skarb pusty teraz...

Już otwierał usta, aby dać odpowiedź odmowną i oświadczyć, że zrażony ostatecznie, cofa

swoje propozycje i albo zawiezie je do króla Francji, lub też, co najprawdopodobniejsze, zaniecha zupełnie swych zamiarów, kiedy posłaniec, podniecony wieściami u dworu zasłyszanemi, zawołał:

— Królowa oznajmiła, że chociażby jej wypadło klejnoty zastawić, to da wam okręty, abyście na nich przez ocean przepłynęli. Straszna to podróż... ale, jeśliby wasza wola, to i ja-bym z wami popłynął.

Uderzyła Kolumba ta wiara prostaczka, ten wyraz woli królowej, obleczonego w kształt widomy, chęć czynu znamionujący. Przestał wahać się, odsunął od siebie uczucia żalu, nadzieja znowu weń wstąpiła. Nawrócił muła i pojechał do S-ta Fe.

IX.

Tym razem, posłuchanie Kolumb otrzymał natychmiast. Znalazł królową w stanie podniecenia, wykształcony jej umysł oddawna już pojął, a wrażliwa dusza odczuła wielkość i doniosłość planów Kolumba i jeżeli tak długo, na pozór obojętnie, o nich słuchała, to tylko z powodu, iż król Ferdynand, zimny polityk-dyplomata i gospodarczy-rachmistrz, niedowierzająco spoglądał na tę wyprawę, brał gorące, namiętne przedstawienia Kolumba za poetyczną i marzycielską przesadę. Teraz, kiedy Ferdynand, obliczywszy, że warto jednak tak nieznaczną kwotę narazić, chociażby dla słabej nawet nadziei zdobycia tak znacznych korzyści, a zwłaszcza niedopuszczenia do nich sąsiednich państw, udawał, iż podziela zapał i zachwyty żony dla wielkości przedsięwzięcia, ona całą duszą przyłgnęła do uroczych obrazów, które przed nią rozwijał wielki żeglarz-marzyciel. Błękitne jej oczy pały, śliczna cera rumieniła się, gdy

go słuchała, białemi, silnemi rączkami, które nawet i mieczem niezgorzej władać umiały, poprawiała brunatno złociste zwoje włosów, podczas gdy, zapominając o dworskiej etykiecie, szybkoim, zgrabnym krokiem chodziła po komnacie, podniecona, rozgorączkowana.

Król Ferdynand siedział spokojnie, bystre, jasne oczy wpatrywał się w Kolumba, a w nich wyraźnie widać było, że szuka ile w tym człowieku jest trzeźwego myśliciela wspierającego się na trwałych podstawach możebności, a co trzeba kłaść na karb entuzjasty unoszącego się wizjami rozbujanej wyobraźni podnieconej mirażem przyszłej sławy i nadzieją bogactwa. Niekiedy, dłonią szeroką, namuloną od żelaznej rękawicy i główki miecza, przesunął po wyniosłym czole łysawem, jaskrawo odcinającym się białością od reszty oblicza ogorzałego przez andaluzyjskie słońce, a zgrubiałego od wojennych trudów. Szerokie, mocno zarysowane brwi wznosił, starając się zrozumieć kosmograficzno-żeglarskie obliczenia, które, raz jeszcze, Kolumb jasno i dobitnie przedstawiał naprzemian z szerokimi, nieco fantastycznymi wynikami wielkiej podróży.

— Mało tego, — mówił on, rozpalając się ukochanemi marzeniami — że Wasze Królewskie Mości przyczynią się do nawrócenia pół-dzikich mieszkańców Azji, że miliony, dziesiątki milionów przejrzą na światło prawdziwej wiary, lecz za nie-

zmierne zyski, jakie da handel z tak bogatemi krajami jak Mangi, Kathay i Cipango, Wasze Królewskie Mości będą w możności uzbroić duże wojsko, wezwać chrześcijańskie ludy do wojny krzyżowej i odebrać na stałe od niewiernych grób Zbawiciela... dokonać tego wielkiego dzieła, świętego czynu, o który daremnie kusiło się tylu monarchów i rycerzy!...

Tu, nawet skłonna do uniesień wogóle, a zwłaszcza do religijnych, królowa Izabella spojrzała na małżonka i obojgu, jednocześnie, przebiegł po twarzach nieznaczny uśmiech, u niej: pobłaźliwy, u niego: drwiący. Jednakże Ferdynand, pomyślawszy, że sprawy religijne jakoś dziwnie dopomagają mu do terytorjalnych nabytków i wzrostu jego posiadłości, bo wszakże świeże zdobycie Granady było zarazem rodzajem wojny krzyżowej, a zagarnięcie Nawarry od wyklętych książąt Jana i Katarzyny było aktem posłuszeństwa wyrokom papieża Juliusza II, rzekł przytakująco:

— Oczywiście... piękny i wzniosły to cel i bezwątpienia, skoro tylko zyski, osiągnięte z tej wyprawy, bogactwem swem na to pozwolą, pomyślimy o tem... pomyślimy.

A twarz jego wyrażała tę powolność, jaką okazuje się zachciankom pieszczonych dzieci, lub dziwaków chwilowo potrzebnych. Kolumb zaś zawołał gorąco:

— Tak wielki-to cel, że ślub uczyniłem: iż ze swej części zysków, najdalej za siedem lat, własnym sumptem, w pomoc Waszym Królewskim Mościom, wystawię znaczny oddział tak jazdy, jakoteż piechoty i własną osobą, pomimo podszłego wieku, udział wezmę w tej krzyżowej wojnie, która będzie bezwątpienia ostatnią, tak znaczne siły pozwolą nam zebrać te bajeczne, nieobliczalne bogactwa, jakie ze skutków tej podróży osiągniemy! O tak, Wasze Królewskie Mości! Ja czuję, że mnie-to Bóg wybrał za niegodne narzędzie, które taką uboczną drogą doprowadzi do tego wspaniałego celu, wymarzonego przez tylu świątobliwych papieży, tylu wielkich monarchów... do odebrania z rąk niewiernych świętego grobu!

Wtem, wszedł sekretarz królewski, Juan de Coloma, ze zwojem papierów w ręku i, głęboko skłoniwszy się, stał w wyczekującej postawie. Ferdynand rzekł do Kolumba:

— Kazaliśmy sporządzić umowę naszą z wami i spodziewam się, że, tym razem, zadowolili ona chociażby najbardziej wygórowane żądania wasze. — a zwracając się do urzędnika, dodał: — Czytajcie.

Coloma czytał, że królowa Kastylii i król Aragonu nadają Krzysztofowi Colon tytuł admirała na wszystkich lądach i wyspach, które on odkryje, lub zdobędzie na wodach oceanu, a tytuł ten ma być dziedzicznym w rodzie jego, że zo-

stanie wicekrólem i zarządcą tych wszystkich ziem, on i potomność jego, a dziesiąta część wszystkich pereł, drogich kamieni, złota, srebra i cennych korzeni, które w tych krajach będą kupione, znalezione, wymienione, lub zdobyte, należy do niego. Był tam także artykuł głoszący, że, zarówno tym razem, jak i w następnych wyprawach, Kolumb może wziąć udział w kosztach, w rozmiarze ósmej ich części, a w takim razie, ósmą także część dochodu pobierać będzie.

Gdy Coloma skończył czytać, Izabella zwróciła się do Kolumba, pytając:

— Czy zadowoleni jesteście, don Christoval Colon?

Kolumb, usłyszawszy ów dodatek »don« do nazwiska swego, który, wychodząc z ust królowej, nadawał mu nie tylko szlachectwo, lecz nawet wywyższenie pośród szlacheckich rodów, z których tylko wyżej postawione, wówczas, do niego prawo miały, zgiął kolano przed nią, a Izabella, ze słicznym uśmiechem na pięknej twarzy, dała mu rękę do pocałowania i, podnosząc go łaskawie, rzekła:

— Wielkość ducha, umysłu i cnoty podnosi ludzi i z wysokością tronu niemal ich równa... Powstańcie, don Colon, bo dla mnie, już dzisiaj, bez względu na to, czy powodzenie uwieńczy wasze myśli i usilne prace, czy też nie, wy już jesteście wielkim człowiekiem. — a zwracając się

do sekretarza, spytała: — Czy macie także przywilej na tytuły nadane don Colonowi?

A gdy sekretarz rozłożył oba dokumenty na stole przed królem, on wziął pióro i podpisał je, mówiąc:

— Niczego na szwank nie narażam, a wielkie i zdaje się uzasadnione nadzieje otwieram. — uśmiechnął się wytwornie, dodając: — Chyba tylko zacni teologowie z Salamanki zmartwią się tem, a niesłusznie, bo, pytam się was, Colon, co właściwie jest wspólnego pomiędzy waszą zaoceanową wyprawą a teologią... chyba tylko wasze dalsze zamiary... owa wojna krzyżowa, ale i ta przecie nikomu przykrą być nie może. — a zwracając się do królowej, rzekł: — Dla królowej Kastylji to robię, bo widzę, jak jej na sercu ta sprawa leży.

Izabella wdzięcznie na męża spojrzała i biorąc z kolei pióro, także podpisała akty.

Gdy Kolumb stał oszołomiony szczęściem i łyż radości do oczu mu napływały, z grona obecnych w komnacie dworzan wyszedł młody hidalgo małego wzrostu, lecz zadziwiająco zgrabnie i silnie zbudowany, o śniadej cerze i płomienistych, czarnych oczach, co go czyniło podobnym do jednego z tych wytwornych rycerzy maurytańskich, których waleczność ostać się przed liczbą nie mogła, skłonił się przed królową i prosił:

— Niech mi wolno będzie, Wasza Królewska

Mości, wziąć udział w tej wyprawie... Niech potomność zapisze także nazwisko Ojedów, wśród jej uczestników, których wielka chwała okryje.

Królowa ze zdziwieniem spojrzała na swego ulubieńca:

— To chcecie nas odjechać, don Alonzo de Ojeda? — i wymówka zabrzmiała w jej głosie, lecz po chwili, uśmiechając się, dodała: — Cóż na to powiedzą damy naszego dworu? Któż im segedille poetyczne wyśpiewywać będzie? Kto nas zadziwi i zabawi odwagą połączoną ze zręcznością i siłą, jak to robiliście nieraz, a zwłaszcza w Sewilli, kiedy zwiedzaliśmy maurytańską wieżę Giralda, a wy wysłiście po belce z okna daleko sterczącej i z niezgłębioną przepaścią pod nogami tańczyliście na niej, a potem, wciąż stojąc na tej chwiejnej i tak wąskiej podstawie, rzuciliście pomarańczę aż na szczyt Giraldy... Oo... dużo pięknych oczu płakać tu będzie. Ale jeśli taka wola, jeśli żądza niebываłych jeszcze dotąd przygód, godna zresztą rycerza...

— To Alonzo de Ojeda — przerwał król poważnie — pozostanie w Europie, gdzie dla rycerza tego rodzaju i tej dzielności, co on, przygód, dzięki Bogu, jeszcze nie zabraknie... Ojeda! — zwrócił się do młodzieńca — A Neapol?

Widząc jednak wielkie zmartwienie na twarzy młodego hidalga, dodał:

— Natomiast obiecuję, że jeśli ten zapal do

zamorskich przygód nie ostygnie, to, kiedy Colon będzie, po szczęśliwej, da Bóg, pierwszej po dróży, w drugą wyruszał, puszczyć was wtedy, Ojeda, bo będę wiedział, że macie do czego dążyć... Dziś, jeszcze to wszystko zbyt mgliste i niepewne, aby kawalerowie wielkich rodów hiszpańskich w takiej, rzecz można, awanturniczej wyprawie, życie swe narażali... To rzecz ludzi nieznanego pochodzenia, którzy muszą największe wysilenia robić, aby dobić się znaczenia i dostatków...

Urwał, bo spostrzegł, że już i tak dużo powiedział. Chociaż, król Ferdynand, jak tego dowodzą jego dzieje, zawsze wiedział co mówi i chciał zapewne upokorzyć tak świeżo i tak bardzo wyniesionego dorobkiewicza i pomścić na nim ustępstwo, które on, wczoraj jeszcze rodzaj żebraka, siłą woli i przekonani swoich wymógł na nim, bożyszczu Hiszpanji, świeżo przez papieża nazwanym: bardzo katolickim królu.

Kolumb, słysząc to, westchnął i smutno, lecz bez żalu spojrzął na króla. Było to tak bardzo w duchu czasu i w obyczajach Hiszpanji, a on był do tego tak przyzwyczajony.

Ferdynand, popełniwszy to małe okrucieństwo, chciał jeszcze pokazać Kolumbowi, jak mało ryzykuje na jego wyprawę i rzekł do niego:

— Port Palos de Moguer, w którym jakoby chcecie koniecznie przygotowania do podróży

robić, za jakieś przewinienie mieszkańców, skazany jest na dostarczenie koronie, w ciągu roku, dwóch karawel wyekwipowanych i z załogą. Dam zatem rozkaz, aby właśnie te dwie karawelle dla was przeznaczono. Zmniejszy to znacznie koszta korony.

Kolumb skłonił się, bo, co prawda, nic innego do zrobienia nie miał, lecz twarz jego, pomimo wysilenia, aby ukryć wrażenia, wyrażała tyle bólu w tej radości, co go przed chwilą spotkała, że dobre serce królowej nie mogło znieść jego męki, podeszła do niego i przyciszonym głosem, aby król, który właśnie z komnaty wychodził, nie mógł usłyszeć, rzekła:

— Don Colon, syna waszego, młodego Diego ¹⁾ mianuję paziem księcia Jana, następcy tronu... Jutro otrzymacie stosowną albalę ²⁾ — i podała rękę jeszcze raz upokorzonemu.

Kolumb przykląkł, całując podaną rękę, która ciepłym uściskiem odpowiedziała i od tej chwili nic sympatji, nie znającej sztucznych zapór społecznych stanowisk pomiędzy ludzkimi duszami, połączyła genialnego człowieka z dobrą i wielką królową, która byłaby istnym aniołem stróżem swego narodu, gdyby przewrotność ludzka nie potrafiła, grając na wzniosłych strunach jej duszy,

¹⁾ Jakób — po hiszpańsku.

²⁾ Przywilej.

—
pomimo wielkiego z jej strony oporu, nakłonić ją do wygnania Żydów, prześladowania Maurów i do zgodzenia się na wprowadzenie do kraju Inkwizycji, która stała się przekleństwem dziejów Hiszpanji.

X.

Zawrzało w Porcie Palos, lecz nie były to gorączkowe i pełne nadziei przygotowania do niesłychanej, dotąd w dziejach niebywałej podróży. Małe miasteczko, ujście rzeczki Odiel i piaszczyste wybrzeże rozbrzmiewały okrzykami gniewu, oburzenia, lub trwogi, zagłuszyć ich nie mógł szumiący i spieniony wał oceanowego przypływu, który ryczał u wysepki Saltes. Do buntu dochodziło, po owym poranku 23 Maja, kiedy Kolumb, w towarzystwie przeora Pereza, na powagę którego w okolicy wiele liczył, miejscowego alkada i regidorów, stanął u portyku kościoła S-go Jerzego, a notariusz publiczny odczytał rozkazy królewskie, nakazujące, aby władze miejscowe w ośmiodniowym terminie miały w pogotowiu dwie karawelle z załogami na rozkazy Kolumba, który, uzbroiwszy jeszcze jeden statek własnym kosztem, wyruszy we trzy żagle w ocean tak daleko, jak okaże się tego potrzeba aby dotrzeć do Indji.

Nie pomogły rozmaite ulgi i przywileje obiecane uczestnikom wyprawy, mieszkańcy Palos, chociaż należący do najśmielszych w Hiszpanji żeglarzy, uważali taką podróż za narażanie na niechybną zagładę okrętów, a ludzi na pewną śmierć. Powaga edyktów królewskich zapoznana została. Głosy miejscowych urzędników posłuchu nie znajdowały. Właściciele okrętów słyszeć o dostarczeniu ich na taką wyprawę nie chcieli, a marynarze drżeli na samą myśl o takiej fantastycznej żegludze bez końca w bezmiar oceanu.

Kolumb znowu był gościem przeora Pereza w klasztorze S-ta Maria de Rabida. Razem codziennie udawali się do Palos i, z każdym dniem, coraz bardziej obawiali się, że nic nie potrafią przezwyciężyć tej trwogi półprzesądnej, nawpół uzasadnionej. Tygodnie mijały i wciąż nie było ani okrętów, ani ludzi. Posłali doniesienie o stanie rzeczy do dworu i, w odpowiedzi na nie, nadjechał urzędnik dworski, Juan de Penalosa, z bardzo surowemi poleceniami. Miał siłą zmusić wskazanych przez władze właścicieli statków, aby, tak oni sami, jak ich okręty z załogami, wzięli udział w wyprawie. Penalosa miał pobierać codziennie, aż do wypełnienia rozkazów królewskich, to jest po dzień odbicia od brzegu statków, po dwieście maravedi, która to kwota ściągana będzie z ludności miasta Palos.

W odpowiedzi na tak bezwzględne zarządzenia,

wzburzenie umysłów rozgorzało jeszcze bardziej; gorącej krwi Andaluzowie, zuchwali żeglarze, zahartowani w walce z żywiołami i czujący wskutek tego swą wartość, niczy nie mieli przeciwko śmiałej wyprawie, gdyby w niej dopatrzeć mogli choć cienia powodzenia i możności skutecznej walki, lecz iść na stracenie, na oczywistą zagładę nie chcieli i wszystkie swoje bojowe zalety mieli zwrócić przeciwko samowolnym, niesłusznym wymaganiom.

Pewnego dnia, kiedy Penalosa, w towarzystwie Kolumba i przeora, na rynku miasta odczytywał raz jeszcze królewskie groźby, powstała wielka wrzawa, podniosły się krzyki i klątwy. Ze wszech stron słycać było:

— Nie damy okrętów! Ludzi nie damy! Statki zginą... ludzie wymrą, lub utoną! Płynąć w tę dał bez końca... także! Jeszcze tam żadnego żagla wiatr nie wzdymał!

A ktoś dodawał:

— Bo tam wiatrów niema... tylko martwa ci-sza!

— Gdzietam! — ktoś inny przeczył. — Tam wieczne burze... bałwany, jak góry wysokie!... Najlepszy okręt tam na nic! Pomiedzy olbrzymią falą straszne potwory przewalają się!

— Wszyscy wiedzą, że taki potwór bez nazwiska jednem uderzeniem ogona okręty przewracał... A raz nawet, schwytawszy karawellę w pa-

szczę, zgruchotał ją jednym ściśnięciem olbrzymich szczęk!

— Cicho być! Milczeć! — krzyknął groźnie Penalosa. — Przez moje usta rozkaz królewski mów!

— Król może od nas możebnych rzeczy żądać! — krzyczano. — Niech nas posyła na beryjskich korsarzy... Pójdziemy! Niech nam rozkaże brzegi Afryki, u S-go Jerzego la Mina, od Portugalczyków odebrać... Odbierzemy! Ale używać naszego mienia i naszego życia po to, aby Boga kusić?.. Nie ma prawa!

Wrzask, wycie i ryk tłumu podniosły się nagle, z niepohamowaną siłą, a wokoło rozlegało się groźnie:

— Przeciw woli bożej iść nie wolno! Nie wolno otwierać i odkrywać tego, co Bóg zamknął i ukrył!

Tłum zuchwale cisnął się wokoło Kolumba i jego towarzyszy. Oczy pałały, usta gniewem pieniły, już pięście wznosiły się, a nawet noże klingami błyskały. Nadeszła chwila, kiedy Kolumb i Penalosa, mieczów dobywszy, siebie i przeora zasłaniać musieli, a myśleć poczynali, że już im nic nie pozostaje, jak tylko drogo życie sprzedać.

W tem, zakolysał się tłum i rozstępować począł, dając przejście małej gromadce ludzi. Krzyczano:

— Pinzonowie idą! Pinzonowie! Niech stary Marcin Alonzo powie! On śmiały żeglarz, zna

wszystkie morza! Całe życie na nich spędził! Niech on powie, czy jest rozum, aby o niepodobne rzeczy się kusić?

Przez zwarte szeregi ciżby, rynek zalegającej, przeciskali się Marcin Alonzo Pinzon z braćmi Franciszkiem i Wincentym Janezem, a z nimi szli znani z dzielności sternicy: Sancho Ruiz, Pedro Nino i Bartolomeo Roldan. Na widok poważnej, surowej postaci starego Marcina Pinzona, człowieka powszechnie w Palos szanowanego tak dla rozumu, dzielności, jakoteż i dla zamożności jego, wrzaski ucichły nieco.

Gromadka żeglarzy dotarła nareszcie do Kolumba i jego towarzyszy. Marcin Pinzon kazał braciom, aby go unieśli w górę, usiadł na połączonych ich barkach i dał znak, że mówić chce. Kiedy tłumy ujrzały siwą brodę i ogorzałą twarz żeglarza, który był chlubą ich miasta, natychmiast umilkły, a po rynku potoczył się pomruk:

— Niech Pinzon mówi... Niech mówi...

— Słuchajcie! — zawołał Pinzon głosem potężnym, nawykłym do wydawania rozkazów wśród wycia wichru i ryku fal. — Słuchajcie, wy żeglarze, sternicy, majtkowie, rybacy, wy wszyscy, co na morzu i z morza żyjecie! Czy wy nie wstydzicie się takiej głupiej małoduszności? A toć to tak wygląda, jak gdyby jeździec bał się konia, strzelec łuku, lub rusznicy, a szewc dratwy!.. Pfuuu! — splunął z pogardą. — I to mieszkańcy

Palos, najdzielniejsi dotąd żeglarze w Hiszpanji, tak robią? To chyba wy chcecie iść za chłopców okrętowych na galery portugalskie? Portugalczykom buty czyścić, garnki im skrobać? Bo oni pewnie takim niedołączom pakułami dziur w swoich łupinach zatykać nie dadzą, nawet lin smołą smarować nie pozwolą! Kto mi u licha tu takich podłych tchórzów sprowadził? Już im ocean straszny? Patrzcie? A coś innego, do stu piorunów, napić się morskiej wody na Śródziemnym morzu, czy na oceanie? Przy brzegach Berberji, czy u wybrzeży Cipango, lub Kathayu? Jeszcze tak i owszem! Zaszczyt większy! Bo przecie w tych tu wodach nie jeden pospolity głupiec nosem w piasku na dnie grzebie... a tam, nikt jeszcze! Takie to tam straszne pływanie po tym oceanie, że ja, Marcin Alonzo Pinzon, rodem z tego oto Palos, i bracia moi Franciszek i Janez, dajemy na wyprawę swoją »Ninę«... Słyszycie, do stu djabłów? »Ninę«! Baga-tela! Toć to karawella, jak lalka, pomimo, że ma tylko łaćńskie żagle, ale sami wiecie, że jak łą-będź na wodzie siedzi! No, i sami płyniemy wszyscy trzej, a z nami i sternicy: Ruiz, Nino i Roldan! Wszak prawda, chłopcy? — zwrócił się do towa-rzyszy.

Trzej sternicy razem podnieśli prawice w górę i, w jeden głos, basem krzyknęli:

— A juści płyniemy! Nie inaczej!

— No, widzicie? — mówił dalej Pinzon. —

Takie dzielne chłopcy... Oni wiedzą, że małe nie-bezpieczeństwo? Mała chwała... Wielkie trudy? Daleka podróż? Duża sława, głośne pochwały... Hej, żeglarze z Palos! Czyż my już gorsi będziemy od Portugalczyków?

Umilkł. Po tłumie głuchy pomruk, jakby uznania, potoczył się. Głowy zwieszały się wstydliwie. Spoglądano po sobie ukradkiem i nieśmiało, nie jedno czoło rumieńcem się oblało.

I nie dziw. Był to wiek rycerski i romantyczny, nawet lud prosty przesiąknięty był rycerskością i zachwycał się bohaterami nadzwyczajnych, nie-bywałych przygód. Nawet ciemnym rybakom, pa-chołkom i pastuchom śniły się laury zwycięzców, w uszach brzmiały pieśni o paladynach i zuchwa-łych rycerzach, nie jeden z nich marzył, aby sam takim został. Gorączka, pałaca ciekawość żeglar-skich odkryć, obudzona przez księcia Henryka portugalskiego, podtrzymana przez króla Jana II, ta sama gorączka, co Kolumba stworzyła i ten ludek żeglarski także trawiła.

Nieraz, załogi karawel kołyszących się leniwie na olbrzymiej fali oceanowej, podczas martwej ciszy bezwietrznej, w długie godziny przymusowej bezczynności, słuchały opowiadań jakiegoś śmia-łego towarzysza, co pływał do brzegów Gwinei, lub do lodami obronnych zatok wyspy Thule, a ów, leżąc na zwoju lin, mówił o krajach cudownych, o ludziach niezwykłych, potwornych zwierzętach

i o roślinach olbrzymich; zdobił to wszystko fantazją zaczerpniętą od wrogich Arabów, którzy jednak, pomimo iż wrodzy byli, wielki wpływ wywarli na ludy Hiszpanji, na potomków Iberów, Celtów i Gothów.

— Hej, żeglarze z Palos! — wołał Pinzon. — Majtków mi potrzeba, nie tylko na »Ninę«, ale także na »S-ta Marję« i »Pintę«, które są wyznaczone na wyprawę... Słuchajcie! Jeżeli do tygodnia nie zbiorę potrzebnej załogi, to pał was djabli!... Jadę do Algarwów i Portugalczyków werbuję! Oni złoto, brylanty, perły łopatom zagarniać będą, worami z za oceanu zwozić, a was król każe powieszać, jako zdrajców, buntowników i podłych tchórzów... Słyszycie?... Pinzon Marcin Alonzo... stary Pinzon od brzegu odbija... Czyż Portugalczycy mają mu żagle rozpiąć?

Stary Pinzon, pomimo szpakowatej brody, rzeźko zeskoczył z ramion braci i gromadka żeglarzy, otoczywszy Kolumba, przeora i urzędników, chciała ich przez tłum przeprowadzać aż do klasztoru, kiedy przeor rzekł:

— Czekajcie... Niech i ja parę słów do nich powiem.

Zasiadł miejsce uprzednio przez Pinzona zajęte i znakiem krzyża przeżegnał tłum na wszystkie strony. Pochyliły się głowy, niby kłosa pod uderzeniem wiatru. Większość ludzi na kolana padła,

a zakonnik, górując nad nimi wygoloną, tylko wiankiem siwych włosów otoczoną głową, mówił:

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego... Ludzie z wiernego miasta Palos, ucieście się... nie szemrajcie i poddajcie się woli bożej, której przedstawicielem na ziemi jest, po Ojcu świętym, wasz król, zwycięzca niewiernych, wasz oswobodziciel od pogańskiego jarzma. Usłuchajcie głosu mojego, waszego ojca duchownego, który pewnie nie pragnie zguby waszych ciał, ani też mienia, a tembardziej dusz... Nie taki straszny djabeł, jak go malują... Synowie wasi i bracia przepłyną ten ocean dotąd nieznanym i powrócą zdrowi... Wielkiego czynu dokonają... Miłe Bogu dzieło spełnią... Idźcie w pokój, ludzie z wiernego miasta Palos i spełnijcie żądania przewodników waszych, a niech wam za to Matka Boska de Rabida błogostawi...

I zaintonował hymn Salve Regina. Tysiąc głosów mu odpowiedziało. Poważna nuta poleciała w dal, po tych falach, które wkrótce miały być prute pierściami okrętów płynących w wiekopomną podróż.

Prosta żeglarska wymowa Pinzona i religijne uczucia, którym, wówczas, nic się ostać nie mogło, dokonały tego, czego zrobić nie potrafiły głębokie a prawdopodobne wywody kosmograficzne Kolumba.

Bunt i ruchawka utonęły w dźwiękach kościelnego śpiewu. Odtąd, chociaż trwoga z nową siłą budziła się nieraz w sercach niewolnych ucześni-

ków wyprawy, pomimo iż właściciele »Pinty«: Gomez Rascon i Christoval Quintero, którzy, z rozkazu króla, nie tylko okręt swój poświęcić mieli, lecz i sami płynąć na nim musieli, podburzali lud do oporu, już go nikt nie stawiał i tylko smutek żon, matek i dzieci zaległ miasteczko, które, pomimo woli mieszkańców, »vis major« ku nieśmiertelności pchało.

Przygotowania poszły żwawiej, tak, że w nocy z 2-go na 3-ci sierpnia załogi i sztab dwóch karawel »Pinty« i »Niny«, a także większego, pokładem opatrzonego admirałskiego okrętu »S-ta Marji«, z Kolumbem na czele, spowiadały się i Sakrament Komunji przyjmowały. Kolumb spowiedź odbył przed przyjacielem swoim, przeorem Perezem, i świątły a zacny kapłan z głębi duszy błogosławił wielkiemu przedsięwzięciu niezwykłego penitenta swego.

A o brzasku dnia, wszystko co żyło w Palos i okolicy zgromadziło się na wybrzeżu, opodal którego kołysały się lekko, stojące na kotwicach, malutkie statki, co miały Nowy Świat odkryć, a żegnane były wraz z załogami, jakby już nigdy ani one, ani ci, których niosły, powrócić nie miały.

W kilku miejscach wybrzeża wzniesiono ołtarze, przy których Franciszkanie msze odprawiali. Tłum stał ponuro, z głowami zwieszonemi, a wśród tej ciszy przerywanej psalmodją, odzywały się, nie-

kiedy, głośne łkania lub rozpaczliwe okrzyki kobiet z dziećmi na ręku.

Wszyscy już byli na okrętach i nikomu nie było wolno do nich podpływać, jeden tylko Kolumb klęczał jeszcze przed ołtarzem, gdzie przeor mszę odprawiał, bił czołem w proch ziemi i żarliwie modlił się. Po skończonem nabożeństwie miano podnosić kotwice.

Kiedy przeor ostatni raz przeżegnał Kolumba i szeroki znak krzyża, z oddali, nad okrętami zakreślił, przyczem ramię jego od wzruszenia drżało, a admirał, powstawszy, odchodził już ku łodzi, co go zawieźć miała na pokład »S-ta Marji«, zbliżył się do niego wytwornie odziany młodzieniec i, powstrzymując go głębokim ukłonem, rzekł:

— Don Christoval Colon, admirał oceanu, weźcie mię z sobą. Jestem szlacheckiego rodu synem... hidalgo czystej, błękitnej krwi... sangre azul... lecz sierota. Nikogo na świecie nie mam. Zwę się don Hernando de Guevara. Żeglarzem i żołnierzem jestem, od kiedy siebie pamiętam, w wielu już wyprawach, bitwach, utarczkach i przygodach udział brałem... Nie pora teraz opowiadać wam o nich, bo czas nagli... dość, że byłem wszystkim potrosze — i głos zniżając, mówił. — Nawet korsarzem... Weźcie mię... nie pożałujecie. W takiej wyprawie, jeszcze jedno mocne ramię i nieustraszone serce przydać się mogą.

Kolumb spojrział na młodzieńca. Piękny był,

nawet uderzająco piękny. Płowo-złociste włosy, obyczajem włoskim, nosił długie, twarz zadziwiająco biała, z rumieńcami na policzkach, dziewczęcą prawie hoźość miała, lecz duże, czarne oczy pałały taką zuchwałą śmiałością, w obliczu jego, w twardym zarysie ust, nieokolonych jeszcze zarostem, tkwił wyraz takiej siły, a zarazem otwartej, młodzieńczej wesołości, że Kolumb, pomimo uroczystości chwili, nie mógł oczu oderwać od tej surowej i wdzięcznej zarazem postaci. Młodzieniec, myśląc, że admirał nieprzychylnie słucha jego prośby i waha się, namyślając nad grzeczną odmową, zdjął kapelusz i, odkrywszy czoło, wskazał na straszliwą bliznę na niem pozostałą po cięciu i rzekł:

— Od arabskiego miecza krzywego, w boju, przy zczepieniu się okrętów pod Tunisem...

Powiedział to spokojnie, bez przechwałki w głosie, jak gdyby podawał list polecający. Kolumb pomyślał, że z takim trudem zebrał załogi okrętów, że tak mało w nich ma ludzi, na których liczyć może, a młodzieniec taki obiecujący miał wygląd, iż postanowił nie odrzucać tego ochotnika, jednego z nielicznych, wśród większości niewolnych podróżników, rzekł zatem krótko:

— Dobrze... Chodźcie, don Hernando de Guevara.

A kiedy łódź wioząca ich przybiła do boku »S-ta Marji« i admirał dał rozkaz podjęcia kotwic, ogromny płacz z tysięcy piersi wybuchnął, pokrywając swym odgłosem ciche łkania odpływających

żeglarzy. Łańcuchy kotwic rzucały na pokład, brzęczały i zgrzytały zardzewiałymi ogniwiemi... Wiatr wyduł żagle i okręty wolno sunęły ku huczącemu wałowi oceanowego przypiływu, u wyspy Saltes...

Od brzegu, goniła za nimi posępna nuta porzeczowej modlitwy, którą zrozpaczeni rodacy żegnali straceńców. Kolumb łzawym wzrokiem, głęboko wzruszony, patrzył w tajemniczą dal oceanu... niezłomny w przekonaniu swoim... a jednak. W tę samą stronę, suchem, pałającym a przenikliwym, prawie groźnym spojrzeniem patrzyły także oczy Hernanda de Guevary... drapieżnym spojrzeniem zdobywcy.

XI.

Jeszcze raz słońce zapadało w jednostajny, nieskończony widnokrąg, pogodny wprawdzie, lecz rozpaczliwie posępny, bo tam, w dali, lśniąca powierzchnia oceanu, zaczerwieniona łuną zachodu, zlewała się w chwiejną, niewyraźną linię z niebem zasnutem u dołu lekkim oparem przezroczystej mgły wieczornej.

Żeglarze, klęcząc, śpiewali wieczorną modlitwę i trzy chorały, z trzech okrętów, błagalną, smutną nutą leciały w tę dal bezgraniczną i rozplywały się w olbrzymiej oceanowej pustyni, a zdawały się być westchnieniem ginących, w którym dźwięczało:

— Królowo niebios... Matko przeczysta... Ziemi!... Ziemi!... Daj nam przed śmiercią, choć spojrzec na ziemię!

A oczy ich daremnie w płomiennej łunie szukały czarującej sylwetki łądu. Modlitwa z ust ich ulatywała, lecz w duszach rozpacz rosła. Myśleli, że łądu już nigdzie niema, że wspomnienie o nim,

to jakiś sen przeszłości dawno minionej, że oni są rozbitkami zaginionego, przez bezmierne wody potopu zalanego świata.

Modlili się żeglarze, ale już oni tak dawno modlą się i zawsze daremnie. Co wieczór z tęsknotą żegnają światło, co rana z nadzieją witają słońce płynące ku nim ze wschodu, z nad gór i pól ojczyzny, słońce, które promieniami swemi już dawno otworzyło, hen, tam, drogie oczy ze snu ciężkiego, bo zmałconego straszną wizją tych ojców, synów i braci tułających się po bezgranicznej pustyni wód, tych szaleńców walczących z niezwalczonem, szukających, czego nigdzie niema, bluźnierców kuszących samego Boga, który już się od nich odwrócił.

— Dziewico najświętsza... Zbawiciela matko... Opiekunko i pocieszycielko tych, którzy giną...

Śpiewały usta bezmyślnie, lecz w sercach już nadziei nie było, a w myślach, nie w groźną przyszłość lecz w przeszłość patrzących, kotłowało:

— Wszakże oto już trzydzieści i cztery dni, jak opuściliśmy kraniec świata, wyspę Gomerę, jedną z Kanaryjskich, któremi Bóg ziemię od strony zachodu zamknął i od tego dnia nieszczęsnego, 6 września, kiedy oczy nasze ostatni raz ziemię widziały, już one nic nie widzą, oprócz wody i nieba... nieba i wody. Oto dzisiaj 10 października i słońce znowu za nieskończoną wodę zapada... Gdzież kres jej... czy kres ten zgoła istnieje? Boże!

Boże wielki! Dokąd my dopłyniemy i kiedy? Pewnie nigdzie i nigdy... Zwolna pogrążamy się w bezdenny chaos, co świat dokoła otacza...

Powstali ludzie ciemni, małoduszni żeglarze klęczący na pokładzie »S-ta Marji«, zbili się w kupy, rękami wymachując w stronę, dokąd słońce uciekło, rzuciwszy w przestworza ostatnie snopy promieni. Głuchy szmer rósł pośród nich, w pomruk, a potem, w dziki wrzask przeszedł i zbitą ławą sunęli ku tyłowi okrętu, gdzie na wysokim pomoście, za dach kajutom służący, jeszcze modlił się Kolumb, klęcząc ze wzniesionymi ku niebu oczyma.

»Almirante« powstał i szedł na ich spotkanie. On już przywykł do szemrań i buntów, które w ostatnich dniach tak często wybuchały. Stojąc na wyniosłości tył okrętu zajmującej, spytał:

— Co was tak znowu poruszyło? Co się stało?

Kilkanaście głosów, jednocześnie, w odpowiedzi krzyknęło:

— Dalej płynąć nie chcemy! Codzień obiecujecie nam ziemię, której jak niema, tak niema! Nawracać! Na wschód płynąć! — A jeden z zuchwalszych, przeciskając się w przednie szeregi, zawołał:

— Tym razem ostatecznie wam objawiamy, że dalej płynąć nie myślimy... Wszyscy mówią, że wy, almirante, jesteście warjatem, który życie swoje poświęcił, aby wślawić się tem przedsięwzięciem niemożliwym: ocean przepłynąć! Wszyscy zginiemy, ale o nas nikt wiedzieć nie będzie, a wam

się chce, aby cały świat powtarzał: don Christoval Colon, admirał oceanu, porwał się na rzecz, której nikt podjąć się nie śmiał, zginął wprawdzie, ale jak bohater zginął... Ho, hoo! Znamy takich hidalgów!

Stojący za Kolumbem, Hernando de Guevara szepnął do niego:

— Admirale... zejść na pokład i zetnę tego śmiałka... jeśli każecie? Będzie przykład.

— Niech was Bóg chroni od tego. — odpowiedział Kolumb.

Guevara ze zdziwieniem spojrział na niego. Tymczasem, z płynącej obok, po prawej stronie lecz nieco ku przodowi, »Pinty« wybuchnął ryk głosów:

— Nawracać! Nawracać do Hiszpanji! Dalej nie chcemy!

Ledwie przebrzmiały gniewne wrzaski, kiedy po gładkiej jak szklana tafla powierzchni oceanu, nadleciał z płynącej opodal, na lewo, »Niny« potężny chór wyjący:

— Nawracać! Przed nami nic niema oprócz wody... A za nią chaos!

Zlały się te głosy ludzkich pigmejów, zgubionych wśród bezmiarów przyrody, w chór ginący bez śladu w jej ogromach, lecz groźny i potężny, jak huragan, dla osamotnionego wśród nich człowieka, którego niezłomna wola parła tę gromadkę ku zdobyciu nieznanego, ku poznaniu tego, w istnienie czego on tylko sam jeden wierzył. Stał w gro-

żnej nawale przekleństw i złorzeczeń, niewzruszony, niezachwiany. Wyprostował wyniosłą postać, białe włosy lśniły jak srebro w zapadającym zmierzchu i z twarzą spokojną, nieruchomą, z oczami utkwionymi w jasną jeszcze, lecz już gasnącą smugę zachodu, skinął ręką na znak, że chce mówić. Ucichło na »S-ta Marji«, załoga »Pinty«, gdzie jeszcze wpływ jej dowódcy, Marcina Pinzona, czuć się dawał, umilkła, a tylko z oddalonej »Niny« leciało po wodzie:

— W morze wrzucić admirała... Utopić go! Utopić!...

Kolumb silnym głosem spokojnie mówił:

— Małoż wam Bóg zesłał znaków zwiastujących bliskość ziemi? Czyż na własne oczy nie widzieliście traw zielonych, z brzegów przez fale wyrwanych, ptaków nad nami przelatujących, czapli, papug i mniejszych nawet, które, nie mając potężnych skrzydeł morskiego ptactwa, nigdy daleko od lądu nie odlatują, ryb, które tylko przy brzegach poławiać można?... Ludzie małej wiary, czyż nie widzicie ręki Boga, co was prowadzi, w tem, iż od początku naszej podróży płynie ciągle po morzach spokojnych, jak wody Gwadalkiwiru w cichą noc letnią... Ani jedna burza nas nie spotkała... żaden wichur żagli nam nie szarpnął... Przeciwnie, bezustanku łagodny, świeży powiew wschodni ciągle nas pchał chyżo do upragnionego celu...

— Dość mamy tych znaków! — krzyczano. —

To szatańskie znaki! Aby wciągnąć nas w odmęty, z których już nas nic nie uratuje! Nawracać! Nawracać! Tu nawet igła kompasu przestaje zwracać się ku gwiazdzie polarnej!

— Wytłumaczyłbym wam to zjawisko! — wołał Kolumb. — Lecz wy go pojąć nie potraficie...

— To nie zjawisko! — ktoś z tłumu wrzasnął. — To cud djabelski! Tu inna natura jakaś! Tu wszystko inaczej!... Ludzie! — krzyczał z rozpaczą w głosie. — Toć my już w inny świat wkraczamy... w tamten... nieziemski świat!

Wielki żeglarz wzruszył ramionami z politowaniem, smutny uśmiech po twarzy jego przebiegł, a załoga, tymczasem, wyła nieludzkim wraskiem.

— Nawracać, bo zabijemy! Utopimy szaleńca! Do morza go! Do morza!

Kolumb przeczekał paroksyzm gniewu i rzekł spokojnym, lecz twardym i niezłomnym tonem:

— Jeśli mię zabijecie, to nikt was z powrotem nie odprowadzi. Sami dobrze wiecie, że ja jeden to mogę... Igła kompasu już wam północy nie wskazuje... bezemnie nie potraficie obliczyć tego zboczenia magnesu. Przecież wy nawet nie wiecie, ileśmy już mil przepłynęli i jakich mil, nie wiecie, że ziemia stanowczo jest kilkaset razy bliżej od nas z zachodniej strony, niż po wschodniej... Zastanówcie się nad tem, że jeśli z wiatrem pomysłnym, w tył nam wiejącym, potrzebowaliśmy trzydziestu czterech dni, aby tu dopłynąć, to ileż

dni zużyjemy na powrotną podróż, przeciwko wiatru, lawirować zmuszeni?... Czy starczy wam żywności? Pomyślcie.

Uczucie niemocy, świadomość własnej ciemnoty i to przeświadczenie, że naprawdę klamka zapadła, że już im tylko naprzód brnąć dalej należy, do wściekłości przywiodły zabobonnych, zuchwałych, trudnych do prowadzenia Hiszpanów. Straszliwe wrzaski i przekleństwa buchnęły znowu z nieprzepartą siłą:

— Warjat! Szaleniec! Pyszałek przeklęty! Nawet zabić go nie możemy!

A on stał wyniosły, spokojny, panując nad ciemnym tłumem całą wagą wiedzy i woli, całą potęgą ducha i patrzył, jak tłuszcza wije się u nóg jego, wściekła, pieniająca, lecz bezsilna, własną niewiedzą skuta, bezwładna, ujarzmiona. Przez chwilę, poczucie olbrzymiej wyższości własnej wypełniło duszę jego, w szarych, marzycielskich oczach płomień dumy błysnął, lecz tylko chwilę, bo gdy gniew załogi, własnym ogniem strawiony, zagasł, on głosem spokojnym, a jak kamień nieugiętym, mówił:

— Nic wam nie pomoże... musicie woli bożej poddać się. Nie szemrajcie, nie złorzeccie... na nic się to nie przyda. Król kazał mi płynąć na zachód, aż do Indji dotrę, i płynąć będę wciąż naprzód, wciąż na zachód, aż dopóki rozkazu królewskiego nie spełnię... Tak mi Boże dopomóż...

W tem, od przodu okrętu, ozwał się cienki, przenikliwy głos chłopca okrętowego. Wołał:

— Deska płynie! Kawał deski! Oo... Santa Maria de Rabida!... To deska... deska!

Rzucano się do łodzi i gdy jedni śledzili za płynącym drewnem, inni pośpiesznie łódź spuszczały na wodę. Po chwili, wyłowiono kawał deski, na której znać było wyraźnie pracę rąk ludzkich, a tylko śladów żelaznego narzędzia dopatrzeć nie można było.

— Gdzie jest deska, tam ludzie być muszą, — rzekł Kolumb — a ludzie na ziemi, nie na wodzie, mieszkają.

— A przecież my na wodzie mieszkamy. — odparł ponuro jakiś niepoprawny sceptyk. — Może to być deska należąca do takich, jak my, nieszczęśliwców...

— Tobyśmy o nich wiedzieli. — dumnie rzekł admirał. — Wszak o nas wie i mówi świat cały.

Podobało się to zapewnienie chępliwym Hiszpanom, a dodane do widoku deski, tego tak jawnego znaku bliskości ziemi, lub przynajmniej jakichś nowych towarzyszy niedoli, uspokoiło umysły i chwilowo ugasiło pożar buntu.

Swobodni od nocnej warty do snu się ułożyli. Zmianę warty i sterników odbyto w porządku i cisza zaległa po burzy. Jeden tylko Kolumb, który, według własnego wyrażenia, zapomniał co to sen, wydawszy rozkaz, aby o północy, z po-

wodu mniemanej bliskości ziemi, chód okrętów stosownem ustawieniem żagli nieco pohamowano, przechadzał się po górnym pomoście, bystrym wzrokiem przetrząsał głębie widnokręgu i prowadził swą flotylę naprzód... wciążył naprzód...

* * *

Nazajutrz, Kolumb, jako najwytrawniejszy żeglarz z pomiędzy uczestników wyprawy, po wyglądzie nieba i wody, po zapachu powietrza, poznał, że tym razem naprawdę zbliża się do ziemi. Rzeźwy, silny powiew południowo-wschodni raźno pchał okręty, równo wydymając żagle wszystkie rozpięte aż do najmniejszego. Karawelle kładły się lekko na prawe boki, prując piersiami błękitne, przezroczyste wody, za niemi, jak trzy wstęgi, biegły, daleko w tył uciekając, sfalowane smugi.

Kolumb cieszył się z pomyślnego wiatru, bo jednak, podczas bezsennej nocy, niepokój za serce go ścisnął, zaczynał obawiać się, że niesforność załogi może go nareszcie zmusić do powrotu od progu przez niego przecutych i wymarzonych krain, od idącej mu na spotkanie nieśmiertelnej sławy, która już... już czarującym swym wieńcem skroń jego ma ocienić.

Po południu, wyłowiono z wody najprzód trzcinę ozdobioną rzeźbami, a potem, przed wieczorem, gałązkę cierniu okrytą świeżym kwiatem. Ta ukwie-

cona gałązka, którą Nowy Świat zdawał się witać przybyszów, ostatecznie rozwiała wątpliwości najzatwardzialszych niedowiarków, a dla Kolumba była najmiłym podarkiem, najcenniejszym upominkiem, jaki kiedykolwiek otrzymał... a że go nowa ziemia cierniem witała, na to, w chwili takiego upojenia, nie zważał wcale. Zebrał załogę, kazał obu towarzyszącym karawellom bliżej dopłynąć i wszystkim oznajmił:

— Do ziemi zbliżamy się niezawodnie. O północy będziemy od niej o mil parę. Kto o niej pierwszy oznajmi, dostanie, oprócz nagrody przez króla obiecanej: dziesięciu tysięcy maravedi rocznego dożywocia, jeszcze kaftan aksamitny odemnie. Uprzedzam jednak, że jeśli się omyli i złudną tylko radość towarzyszków wzniesie, traci prawo do obu nagród, nawet, gdyby później on pierwszy naprawdę jej dojrzał.

Niezmierne podniecenie wszystkich ogarnęło. Wszystkie oczy utkwione były w płomienistą smugę zachodu, lub biegły po jednostajnej, a tak zniechęcającej, chwiejnej linii widnokręgu, która dziś, czarującą wszystkim się wydała. Około dziesiątej wieczorem, Kolumb, który już wcale nie schodził z górnego pomostu, ujrzał w oddali małe światełko ruchome, znikające ono i znowu ukazujące się. Nie dowierzając sile swego wzroku, wezwał jednego z towarzyszków, Pedra Gutierrez, szlachcica-dworzanina królewskiego, a potem także Roderiga

Sanchez z Segowji, jeneralnego inspektora flotyli i, wskazując im widnokrąg, zapytał, czy nie widzą czego. Po chwili, światelko znów się pokazało i nagle znikło. Obaj oznajmili, że widzieli światło. Ogień ten jeszcze kilka razy zapalał się i gasł, jak gdyby płonął na łodzi przez fale kotysanej, lub jakby kto nosił pochodnię od domu do domu w nadbrzeżnej wiosce. Rychło, wiadomość o tem rozeszła się pośród załóg okrętów, lecz ludzie nie wielką wagę do tego odkrycia przywiązywali, a niektórzy, z nadejściem nocy, znowu w zwątpienie wpadali. Admirał rozkazał znacznie zwolnić szybkość statków.

Nareszcie, o drugiej po północy, z »Pinty«, która u czoła flotyli płynęła, ozwał się armatni wystrzał. W odległości dwóch mil, na migocącej odbiciem gwiazd powierzchni oceanu, wszyscy wyraźnie widzieli czerniejące brzegi niskiej, płaskiej wyspy. Dojrzał jej, najpierwszy, majtek Rodrigo de Triana.

Po tylu zawodach, po tak licznych złudzeniach wzroku żeglarzy, którzy, w gorącym oragnieniu ujrzenia ziemi, tak często brali za nią zwały chmur u widnokręgu piętrzące się, nikt własnym oczom wierzyć nie chciał... Cisza uroczysta, pełna najsprzeczniejszych a wstrząsających uczuć, zapanała na okrętach.....

— Wszystkie żagle zwijać! — ozwał się donośny, lecz dziwnie zmieniony i jakby drżący głos admirała.

— Wszystkie żagle zwijać! — powtórzyli: Marcin Pinzon, dowódca »Pinty« i Janez Pinzon na »Ninie«.

Olbrzymie westchnienie ulgi uleciało ze stu dwudziestu piersi. Kolana głucho uderzyły w deski pokładów i ogromny, tryumfujący chór popłynął ku nieznanym krainom:

— Gloria in excelsis...

Ale, o Boże! Cóż on im zwiastował?

Przez noc całą, nikt oka nie zmrużył. Wszyscy razem mówili, krzyczeli, ściskali się. Płakano z radości, wieszano sobie wzajem ocalenia, tylko Kolumb samotnie chodził, po górnych pokładzie, krokiem powolnym, jakby zmęczonym i wciąż patrzył na czerniejące brzegi, jak gdyby obawiał się, aby one znowu we mgle nie stopniały. Ciało jego ulegało rozprężeniu długo i silnie napiętych nerwów, lecz dusza niewymownych rozkoszy zażywała.

Oto są... ta chwala, ta nieśmiertelność, które otoczą, w najdalsze wieki, jego dotąd nieznanę, pospolite imię... Oto leży, w ciemność nocy spowita, lecz już widzialna tajemnica oceanu... on jutro ją ujrzy, ręką dotknie i światu powie jaką i czym jest ona... Więc on przepłynął ten straszny ocean.. Więc on prawdę ludziom mówił... Mędracy go wyśmiali, a jednak prawda przy nim została... I prawą jego duszę, śmiałą i wytrwałą, radość

rozsadzała, duma rozszerzała. Doświadczył chwilę nadziemskiej rozkoszy: głębokiego, wewnętrznego poczucia własnej wartości... wielkości przez siebie spełnionego dzieła.

Wszak to nie sen, nie marzenie długich lat oczekiwania... bo oto przecież leży przed nim, w mrokach nocy, niby czarne cielsko morskiego potwora, dowód wyraźny, oczywisty, namacalny, że on się nie mylił, że umysł jego prawdę poznał, dojrzeć jej potrafił, a dusza przeczuła i tak pewna była... tak pewna, jakby jej sam Bóg objawił oceanu tajemnicę... kształt budowy świata.

Padł na kolana i gorąco, długo dziękował Stwórcy, który taką niezwykłą radością starość jego opromienił, a potem, znowu patrzył, wzrokiem pieścił zarysy swego świata i szeptał:

— Co się tam kryje w tym półcieniu... półświatle wspaniałej, podzwrotnikowej nocy?... Co się tam kryje? Mój Boże!

.....

Brzask poranku blade, modre połyski po morzu i niebie rozlewać zaczynał. Kolumb z niezmiernym wysiłkiem wpatrywał się w ziemię. Na tle zwolna jaśniejącego nieba zarysowały się ciemne jeszcze sylwetki wysokich, bujnie rozrośniętych drzew. Podniecona wyobraźnia jego widziała, że należą one do jakichś pysznych ogrodów, czekał, aż lada chwila, pod promieniami słońca, co zaraz wездzie, zabłyszczą pomiędzy nimi złoczone dachy jakiegoś

bajecznie bogatego miasta Wschodu. Niebo, z bladego, różowe stawało się. Zielone kobierce trawy, ścielące się aż do wody, zamigotały jaskrawem kwieciem.

— Ależ tak, — myślał Kolumb — to ogrody potężnego lennika wielkiego Chana Tartarji...

Nagle słońce strzeliło z pod wód oceanu olbrzymiami rzutami promieni i Kolumb zobaczył, że ozłociło ono wierzchołki lasów pokrywających niewielką wyspę, ujrzał roje mieszkańców biegających po wybrzeżu z oznakami przerażenia i niezmiernego zdumienia. Wszyscy byli zupełnie nadszy, lecz dziwacznie umalowani, rękami wskazywali na okręty, wielu pokłony biło.

A gdy rozwinięto żagle i statki płynnie i majestatycznie sunęły ku wyspie, ledwie marszcząc lustrzaną powierzchnię dziwnie przezroczych wód, oni, z okrzykami trwogi, pierzchnęli i w gajach skryli się.

— Jedna z małych wysp otaczających Cipango, — szepnął Kolumb — zaludniona przez półdzikich rybaków... Duże miasta, stolice, uprawne pola i w Europie zwykle wewnątrz lądów leżą... Może i lepiej, iż tak trafiłem, zajmę tę wyspę i w posiadanie obejmę na rzecz korony kastylskiej.

XII.

Od flotyli, ku brzegowi, płynęły trzy duże łodzie. Przodem, pchana dwudziestu wiosłami, chyżo sunęła szalupa niosąca admirała; za nią podążały te, któremi płynęli Pinzonowie.

Kolumb, odziany w szkarłatny kaftan i tejrże barwy krótki płaszcz hiszpański, stał w łodzi, prostując wysoką swą postać, a w ręku trzymał chorągiew królewską. Obaj Pinzonowie nieśli porpore wyprawy, na których zielone krzyże rozpięły swe ramiona pomiędzy literami F i Y — Fernando, Yzabel, a nad nimi świeciły królewskie korony.

Łódź Kolumba, pod ręką wprawnego sternika, zakreśliła wartko zgrabne półkole i płynnie, bez wstrząśnień, przystała bokiem do niskiego brzegu zaslanego, jakby na jej przyjęcie, zielonym kobiercem murawy haftowanym w tysiące różnobarwnych kwiatów.

Kolumb wstąpił na ziemię Nowego Świata.

Zaraz, u brzegu, ukląkł, ucałował tę ziemię, o której tyle lat marzył i cicho, ze łzami radości w oczach, dziękował za nią Bogu. Towarzysze jego poszli za tym przykładem. Długo klęczał, nie mogąc nad głębokiem wzruszeniem zapanować, a kiedy powstał, miecza dobył, chorągiew królewską rozwinął i, gromadząc wkoło siebie Pinzonów obu, Rodriga de Escobedo notarjusza flotyli, Rodriga Sanchez i tych wszystkich, którzy z nim wylądowali, objął w posiadanie tą wyspę dla władców Kastylji, nazywając ją San-Salvador ¹⁾, przy czem odmówił modlitwę przez siebie ułożoną, a przez królewską parę zatwierdzoną do użytku w podobnych, a przewidzianych okolicznościach, poczem, zaprosił obecnych, aby złożyli przysięgę na posuszeństwo jemu, wice-królowi i wielkorządcy, przedstawiającemu tu, na tej ziemi, osoby monarchów.

Śmielsi z pomiędzy wyspiarzy półkolem, z daleka, otoczyli Hiszpanów i zdawali się brać udział w tych obrzędach, padając na twarz, lub wznosząc ramiona i oczy ku niebu. Inni nieśmiało wysuwali się z lasów, a widząc, że cudowni przybysze ich rodakom nic złego nie robią, coraz tłumniej i śmielej zblizali się do nich także. Po skończeniu ceremonji, Hiszpanie zaczęli przyzywać do siebie krajowców, ci zaś podchodzili z ozna-

¹⁾ Święty Zbawiciel.

kami uszanowania, uwielbienia, a nawet czci, padając co chwila na twarz, lub rozwodząc rękami z gestem modlitwy i ubóstwienia.

Mimiką poznać dawali, iż myślą, że Hiszpanie spłynęli z nieba na białych skrzydłach dużych ptaków, za jakie brali okręty. Najpilniejszą uwagę zwracali na Kolumba i największą cześć mu oddawali, poznawszy w nim wodza po jego wspaniałym stroju i po wyniosłej, pełnej powagi postawie. Zbliżywszy się zupełnie do niebiańskich swych gości, zachwycali się białością ich cery, dotykali ich bród, których sami nie mieli, a we wszystkim okazywali naiwność i wielką łagodność.

Hiszpanie z niemniejszym zdziwieniem przypatrywali się nowym znajomym. Widocznie nie należeli oni do żadnej z ras ludzkich im znanych. Kolor ich skóry był jasno-brunatny, włosy nie kędzierzawe, jak u znanych im już Negrów afrykańskich, lecz gęste, proste i czarne, na czole ucięte, z tyłu głowy spadały na ramiona, rysy regularne i dla oka przyjemne, oczy duże, czarne, bardzo wyraziste i piękne, budowa ciała silna, i kształtna, wzrost średni. Malowania, które im okrywali twarz i członki, u jednych pokrywały całe ciało, u innych tylko niektóre jego części. Widocznem było, że ten rodzaj ozdoby zależał od osobistych upodobań i nie oznaczał żadnej hierarchji społecznej, gdyż wszyscy wyspiarze,

którzy pierwsi powitali Kolumba, zdawali się być równi pomiędzy sobą. Byli to sami mężczyźni, a pośród nich znajdowała się tylko jedna kobieta, młodzianka dziewczyna o przeslicznych oczach i bardzo kształtnej budowie ciała. Niektórzy z nich uzbrojeni byli tylko w lekkie dzidy drewniane zakończone opalonem w ogniu ostrzem, lub też rybią ością.

Kolumb ofiarował im naszyjniki ze szklanych paciorek, małe dzwoneczki, grzechotki i inne drobne przedmioty, które oni przyjmowali z zachwytem, a widoczne było, iż nie tyle dla ich mniemanej wartości, jak z powodu jakiejś świętości, którą w nich upatrywali, jako w rzeczach pochodzących od posłanników niebios, zbierali bowiem najdrobniejsze kawałki szkła i odłamki garnków, chowając je ze czcią, niby relikwie. W zamian przynosili Hiszpanom placki kassawy, tego chleba, który później stał się dla nich głównem pożywieniem, nieznanne owoce i ryby.

Niektórzy wyspiarze zwrócili na siebie uwagę, że mieli w nozdrzach złote obrączki. Hiszpanie starali się wypytać skąd je dostają, wszyscy odpowiadali, wskazując na południo-zachód. Rozmowa z nimi była niezmiernie trudna, bo wyłącznie mimiczna, to też Kolumb, znajdujący się ciągle pod potężną sugestją przypuszczenia, że dopłynął do brzegów wschodniej Azji, wszystkie ich wskazówki tłumaczył zgodnie z tą myślą,

która wszechwładnie w umyśle jego panowała. Zdało mu się, iż zrozumiał, że gdzieś, na południu, mieszka bogaty władca, którego dom jest złotą blachą kryty, a jada on ze złotych, rzeźbionych naczyń, że na północnym zachodzie mieszka jakiś naród, który często na tę wyspę napada, uwodząc w niewolę jej mieszkańców. Dla niego, ów bogaty król był władcą Cipango, a wojowniczy najeźdźcy — hordami wielkiego Chana Tartarji.

Hiszpanie dzień cały spędzili w zielonych, kwitnących gajach, gdzie gałęzie drzew uginały się pod ciężarem nieznanych, wybornych owoców, wypoczywając na trawnikach po trudach podróży, napawając się rozkosznym poczuciem, znanem tylko tym, których długo kołysały nad przepaściami głębiami wątle deski okrętu, że stopy ich depcą nareszcie po stałej, nieruchomej podstawie lądu. Wieczorem jednak, odpłynęli z powrotem na statki, co było nakazane przez najprostszą ostrożność.

Nazajutrz, brzegi Guanahani, tak bowiem krajowcy wyspę swą nazywali, okryły się mrowiem mieszkańców. Niektórzy wplaw, inni na łodziach, przyplływali do okrętów, gdzie przyjmowano ich gościnnie.

W parę dni potem, Kolumb, w dwie szalupy, puścił się pod brzegami, aby zbadać wyspę. Wszędzie widział lasy, spore strumienie przez nie

wiły się, a w środku wyspy znaleźli duże jezioro. W pewnym miejscu wybrzeża zauważył mały półwysp, który łatwo było od lądu oddzielić za pomocą przekopanego kanału i na tak utworzonej wyspce, przy ogromnej zatoce o wązkim wejściu, w której wszystkie okręty chrześcijańskiego świata miejsce znaleźć mogły, zbudowaćby można fortecę, lecz uznał, że wyspa ta jest za mała i zbyt nieznacząca, aby warto ją kolonizować zaraz, w pierwszych czasach odkrycia.

Pilno mu było dotrzeć nareszcie do Cipango, a potem, do brzegów Kathayu. Zawiąawszy zatem przyjazną znajomość z krajowcami wiosek, które zwiedził, również łagodnymi i przyjacielskimi, jak ci, co go pierwsi powitali, powrócił do okrętów i wkrótce, kotwice podniósł. Odpływając, zabrał ze sobą, z ich na to zgodą, siedmiu wyspiarzy, aby ich nauczyć po hiszpańsku mówić i mieć z nich tłumaczyw podczas podróży.

Zeglując wprzód na zachód, a potem, na południe, odkrył mnóstwo wysp, niektóre z nich zwiedził i nazwał: S-ta Maria de la Conception, Fernandina dzisiaj Ekzuma, Izabella obecnie Isla Larga, lub Ekzumeta, a przez krajowców zwana Saometo. Dotarł potem do północnych brzegów Kuby, którą nazwał Juana i płynąc wzdłuż nich, w kierunku północno-zachodnim, zbadał je do jednej trzeciej długości wyspy, lecz znajdując wszędzie kraje mało zaludnione przez mieszkań-

ców dzikich, a nasłuchawszy się od nich o jakiejś bajecznie bogatej wyspie Babeke i, biorąc Kubę za ląd azjatycki, nie zechciał już więcej czasu tracić na pływanie wzdłuż brzegów lądu, lecz postanowił nawrócić i szukać wyspy Babeke, o której przypuszczał, że jest albo samą Cipango, lub też jedną z wysp tego archipelagu, bo pilno mu było dostać się nareszcie do którego z tych bogatych krajów Wschodu i, nawiązawszy z nim handlowe stosunki, przywieźć do Hiszpanji, jako dowód prawdziwości i wagi odkrycia swego, pewną ilość cennych towarów.

Odkrywszy archipelag małych, lecz cudowną roślinnością okrytych wysp, które nazwał: de Nueva Senora ¹⁾ kiedy je opuszczał, spotkała go silna burza tak, że po dwudniowej z nią walce, widząc, iż nie poradzi sile przeciwnego wiatru, nawrócił, dając sygnały do »Pinty« i »Niny«, aby za nim dążyły. Lecz »Pinta«, znajdująca się daleko na wschód, gdyż jako lepszej budowy i dobrego użaglenia, zwykle u czoła flotyli płynęła, nie spostrzegła sygnałów. Powtórzone je, Kolumb rozkazał zwolnić chód »S-ta Marji« i wywiesić na maszcie pochodnię, lecz wszystko nadaremnie, »Pinta«, pomimo, iż nawróciwszy, łatwo mogła dopędzić admirałski statek, mając wiatr w tył, o świcie już z widnokregu zniknęła.

¹⁾ Później znane pod nazwą El jardin del Rey — ogród króla

Zaniepokoiło to Kolumba. Wiedział, że Marcin Pinzon, stary żeglarz nawykły do rozkazywania, z trudnością znosi obecne swoje, zależne od niego stanowisko i bał się, aby on, w poczuciu zasług, jakie położył tak materialnie, jak i wpływem swoim na dojście do skutku wyprawy, nie zapragnął teraz uprzedzić go w powrocie do Hiszpanji i wprost, wydrzeć mu tem jego sławę. Uczciwa dusza Kolumba odsuwała od siebie te podejrzenia, lecz one bezustannie powracały i mąciły mu tę wielką radość, to szczęście, z jakimi, niby we śnie cudownym, zwiedzał te przepiękne kraje, widząc w nich przez pryzmat tego szczęścia jeszcze daleko więcej piękna, uroków i bogactw, aniżeli one rzeczywiście ich miały.

Przeczekawszy burzę u brzegów Kuby, znowu płynął ku wschodowi, a dotarłszy do wschodniego krańca tej wyspy, biorąc ją ciągle za stały ląd azjatycki, w co aż do końca życia wierzył, nazwał ten przylądek: Alfa i Omega — początek i koniec, punkt, który zamyka obręcz opasującą kulistość ziemi. Stąd puścił się w pełne morze, w niepewności dokąd podąży, zmartwiony do głębi duszy ucieczką Pinzona. Gdy tak wahał się, w którą stronę skieruje okręty, spostrzegł na południo-wschodzie ziemię wyrastającą z fal i rozszerzającą się coraz więcej. Wysokie góry wznosiły się na niej, zapowiadając bardzo dużą wyspę.

Indjanie z Guanahani, znajdujący się na »S-ta Marji«, na jej widok krzyknęli:

— Bohio!... Bohio!

Kolumb, słysząc już nieraz tę nazwę, zrozumiał iż ona oznacza kraj, w którym znajduje się dużo złota, przeto postanowił zwiedzić tę wyspę. W przezroczystem powietrzu podzwrotnikowej strefy wszystko jest widoczne ze znacznej odległości. Okręty, po tych nieznanym morzach, musiały płynąć wolno, nawet przystając nocami. Przez całe dwie doby, Kolumb płynął ku tej dużej, pięknej wyspie, napawając się jej widokiem iście czarodziejskim.

Wysokie, skaliste góry wystrzelały z morza zieleni rosnących u ich stóp lasów, niżej, ku brzegom, słały się łagodną pochyłością bogate, w części uprawne równiny i zielone łąki. W nocy tysiące ognisk mrugało z oddali, we dnie, wśród gajów, łąk, pól i ogrodów, wznosiły się w górę niezliczone dymy i topniały zwołna w błękitach czystego, lekkiego powietrza, zwiastując gęste zaludnienie. Jak raj wymarzony zbliżała się ku Hiszpanom wspaniała, spokojna i rozśpiewana Haiti wysoka... Kuiskueja rozległa, szeroka, kąpiąc się w jasnych wodach przezroczystych, niby przepiękna, nieznannej rasy niewolnica wabiąca z daleka bajecznymi wdziękami i pokochać gotowa swego zdobywcę-pana.

Wieczorem, 6 Grudnia »S-ta Marja« i »Nina«

zarzuciły kotwice na zachodnim brzegu, w ogromnej zatoce, którą Kolumb nazwał zatoką S-go Mikołaja. Pełno w niej było łodzi, lecz pustych, ludzie w lasy uciekli. Nasyciwszy się widokiem otoczonej lasami zatoki, nazajutrz Kolumb popłynął dalej wzdłuż północnych brzegów Haiti. Kilka dni zabawił w porcie, który nazwał Concepcion, tak obfitym w ryby, że one same, igrając, wskakiwały do łodzi, a podobne były do tych, które poławiano u brzegów Hiszpanji. W lasach, nocami, śpiewały ptaszki, a ich głosy przypominały śpiew słowików andaluzyjskich gajów. Cały wygląd tych okolic przypomniawszy Hiszpanom ich ojczyznę, tak dalece, że Kolumb nazwał Haiti... Hispaniolą.

Tamto, po raz pierwszy Hiszpanie zetknęli się z wyspiarzami już przechrzczonej Haiti. Tam także Kolumb, na wzgórzu, u wejścia do zatoki, zatknął pierwszy krzyż. Obszerny jego umysł i wzniosła dusza widziały w nim znak widomy światła wiary, rozwoju, wykształcenia i uspołecznienia, które on tu przynieść pragnął... On nie myślał wówczas o tem, że krzyż jest także symbolem męki i bólu, których tyle i tak rychło towarzysze jego przynieść mieli na tę wyspę niedoli.

Kilku majtków, błakając się po okolicy, spotkało gromadkę krajowców, którzy na ich widok uciekli. Goniąc za nimi, zatrzymali oni młodą, ładną kobietę. Była ona zupełnie naga, lecz natomiast miała, niestety, w nozdrzu złotą obrą-

czkę, na szyi, pośród muszli i kamyków, lśniło się także złotym, czarującym a złowrogim blaskiem wszechpotężne złoto. Zaprowadzono pojmaną do admirała, który ją przyjął łaskawie, jak zwykł to czynić we wszystkich miejscach Bahamskich wysp i Kuby, gdzie już spotykał krajowców. Obdarował ją barwnymi paciorkami, obrączkami miedzianymi, dzwonekami i wielu innymi drobiazgami, a majtkom kazał, w towarzystwie trzech tłumaczy, Indian zabranych z Guanahani i Kuby, odprowadzić ją do rodzinnej wsi. Ludzie ci powrócili późno w nocy, nie ośmieliwszy się dotrzeć aż do wsi, która była daleko w głębi kraju położona.

Nazajutrz, admirał, chcąc nawiązać stosunki z krajowcami, posłał dziewięciu ludzi uzbrojonych, dodając im wyspiarza z Kuby, jako tłumacza, aby wieś znaleźli. Idąc kilka mil, pięknym krajem, w dolinie, nad rzeką, odkryli oni nareszcie wieś liczącą około tysiąca chat, lecz pustą. Mieszkańcy, spostrzegłszy ich, uszli w lasy. Kubańczyk, puściwszy się za nimi w pogoń, zapewnił ich, że przybysze są łaskawi i wspaniałe dary dają. Wkrótce, wyspiarze poczęli z ufnością do wsi powracać tłumnie tak, że zebrało się ich około dwóch tysięcy. Podchodzili do Hiszpanów nieśmiało, kładąc dłonie na wierzchu głów na znak pokory i poddania się. Rychło nadeszli nowi, a z nimi mąż obdarowanej przez Kolumba kobiety, którą nieśli

przodem, jakby w tryumfie. Mąż jej dziękował za łaskawe z nią obejście i za piękne a tak cenne, w jego oczach, dary. Wyspiarze gościnnie przyjęli przybyszów, karmili ich owocami, rybami i plackami kassawy, śpiewali im i dla nich tańczyli. Hiszpanie zachwycali się ich hojnością, z jaką wszystko, co było ich własnością, oddawali, prosząc, aby darami nie gardzili; pięknością doliny ocienionej palmami, bananami i, jak im się zdawało, mastykowemi i mahoniowemi drzewami; malowniczym rozrzuceniem chat pomiędzy gajami, nad brzegiem rzeki, ku wodom której zwisały się barwne, nęcące a nieznanne owoce, śpiewem ptactwa leśnego i świetnem upierzeniem mnóstwa przyswojonych, a rozmaitych gatunków papug. Piękność zwłaszcza kobiet wielkie wrażenie na nich wywarła. To też, powróciwszy na okręty, cuda opowiadali.

Wiatr powiał pomyślny, więc Kolumb wyruszył dalej, ciągle w myśli szukania wyspy Babeke. Po drodze odkrył i zwiedził przybrzeżną wyspę, leżącą naprzeciw portu Concepcion, bardzo obfitującą w żółwie, tak że nazwał ją Tortugas, a tak był jej pięknością i bogactwem przyrody zachwycony, że jedną z jej dolin nazwał Valle del Paraiso, a jedną z jej rzek — Gwadalkwiwirem, słynnym w Hiszpanji z piękności. Powrócił do brzegów Hispanioli i zwiedzał dalej jej zatoki,

przyłądki i ujścia rzek, spotykając nieraz krajowców, których ciągle traktował uprzejmie i hojnie.

W porcie, który nazwał Puerto de Paz, gdzie go wiatr przeciwny zatrzymał, miał odwiedzić kacyka, który oznajmił, że się nazywa Guaora, a ukazał się otoczony pewnym ceremoniałem i pompą. Przyniosło go czterech ludzi w lektyce, a dwustu poddanych szło za nim. Podczas obiadu, na który Kolumb go zaprosił, jadł mało i wytwornie, reszty odsyłając swemu orszakowi. Usiadł przy admirałe, prosząc, aby ów nie powstawał z siedzenia na jego przyjęcie. Mówił mało, a dwaj starcy, którzy bezustannie trzymali się przy nim, pilnie na niego patrzyli i starali się słowa jego rozjaśnić i wytłumaczyć.

Po obiedzie, nastąpiła wymiana darów. Kacyk ofiarował Kolumbowi pas misternej roboty i dwa kawałki złota, admirał zaś obdarzył go kaftanem, płaszczem, kilku kawałkami bursztynu, trzewikami z kolorowej kordowańskiej skóry uszytymi i flakonem wody z pomarańczowego kwiatu. Starał się wytłumaczyć mu znaczenie pieniędzy, pokazując dublony hiszpańskie z wizerunkiem królewskiej pary i opowiadał o wielkości i potędze monarchów hiszpańskich, wskazując mu chorągiew królewską i proporce. Na nic to jednak było, bo gdy wieczór zapadał, Guaora opuścił Kolumba w przekonaniu, że tak on sam, jak i okręty jego z nieba pochodzą, a monarchowie, o których od

niego słyszał, z pewnością nie na ziemi, lecz w jakiejś niebiańskiej krainie panują.

Odszedł z wielką pompą. Admiralska szalupa do brzegu odwiozła go, okręty zagrzmiały armatnią salwą, która omal popłochu i powszechnej ucieczki nie spowodowała. Uspokojony jednak, kacyk wszedł do lektyki, a za nim niesiono jego syna, za którym znów postępował brat kacyka, podtrzymywany pod ramiona przez dwóch ludzi. Przodem niesiono dary admirała w wielkim tryumfie.

Ustawiwszy duży krzyż na środkowym placu wsi kacyka Guaora i rozpytawszy o kraje, skąd wyspiarze złoto dostają, przy czem wskazywano im środek wyspy, Hiszpanie popłynęli dalej.

O zachodzie słońca, 20 Grudnia, okręty zarzuciły kotwice w zatoce nazwanej przez admirała portem Ś-go Tomasza. Wieść o przybyciu nadzwyczajnych gości rozleciała się po całym wybrzeżu. Mnóstwo krajowców, bądź na łodziach, bądź też w pław, zaczęło przybywać do okrętów, niosąc dary w postaci wybornych owoców, dziwnych wyrobów z kamyków i kości, a także złotych ozdób. Admirał rozkazał, aby Hiszpanie nie przyjmowali podarków, nie dając w zamian tych drobnostek, tak cennych w oczach wyspiarzy, bo dobroduszość ich była tak wielka, iż gotowi byli wszystko oddać bez żadnego wynagrodzenia.

Po paru dniach pobytu okrętów w zatoce

Ś-go Tomasza, do boku »S-ta Marji« przybiła duża łódź pełna wyspiarzy, a z niej wysiadł ich wódz i oznajmił, że jest dworzaninem potężnego kacyka Marienu nazwiskiem Guakanagari. Złożył on w darze szeroki pas kunsztownej roboty z kolorowych kamyków i kostek, a także drewnianą maskę, w której oczy, uszy, usta i nos były złote, potem, częścią na migi, częścią zaś za pomocą tłumaczyw rodem z Guanahani, którzy już zaczęli trochę rozumieć hiszpańską mowę, prosił w imieniu swego pana, aby posłannicy niebios, z wodzem na czele, raczyli przybić do brzegu, nieco na wschód od zatoki, gdzie wznosi się miasto Guariko, stolica kacyka Guakanagarego, który niezmiernie pragnie dostąpić zaszczytu podejmowania ich u siebie. Kolumb chętnie zgodziłby się na to, lecz wiatr wiał przeciwny i niepodobna było natychmiast zaprosinom tym zadość uczynić. Nie chcąc jednak obrazić kacyka, posłał Rodriga de Escobeda szalupą, aby mu oświadczył, że skoro tylko powieje wiatr pomyślny, natychmiast na zaproszenie stawi się.

Guakanagari przyjął Hiszpanów niezmiernie gościnnie na środkowym placu swej stolicy czy-sto umieszczonym i uroczyscie przystrojonym, obdarzył ich mnóstwem upominków, pomiędzy którymi było dużo ozdób złotych, a także odzież z bawełny utkana. Mieszkańcy Guariko wprowadzali do swoich chat majtków hiszpańskich z honorami

i szacunkiem, niby bardzo wysokich i wykwin-tych gości, pozwalając im zabierać wszystko, co tylko budziło ich pożądlivość, w zamian niczego nie żądając. Po obfitej uczcie, kiedy miało się już ku wieczorowi, Escobedo, pomimo próśb kacyka, który chciał go jeszcze zatrzymać, odpłynął, wioząc dary Guakanagarego dla admirała: przedmioty złote i przyswojone papugi. Odprowadzały go tłumy mieszkańców uszczęśliwionych, rozpromienionych i śpiewających.

Takie przyjęcie Escobeda jeszcze bardziej zachęciło Kolumba do odwiedzenia gościnnego kacyka, to też, 24 Grudnia, o świcie, kazał podjąć kotwice i przy bardzo słabym wietrze ruszył wzdłuż wybrzeża do Guariko. Wieczorem, wiatr tak zesłabł, iż okręty ledwie się ruszały. Kolumb, widząc tę ciszę, zwątpił czy dnia tego dopnie do celu pomimo, iż pozostawało mu już do niego nie więcej, jak parę mil. Będąc zmęczony, powierzył pieczęć nad statkiem sternikowi, a sam udał się do kajuty na spoczynek. Rozbierając się, co mu się rzadko zdarzało, bo był niezmiernie pilnym dowódcą, przechadzał się po obszernej, choć niskiej izbie zajmującej cały wywyższony tył okrętu i przypatrywał się nagromadzonym w niej przedmiotom w podróży nabytym, które wioził do Hiszpanji, jako trofea i dowody odkrycia Nowego Świata, lecz myśl jego zaprzątnięta była losem »Pinty«. Wahał się pomiędzy przypuszcze-

niem, że ją jakie nieszczęście spotkało, a podej-
rzeniem o zdradę Pinzona, nareszcie sen go
zmorzył i, ufny w pogodną, cichą noc, niegrożącą
żadnym niebezpieczeństwem dla statku, który,
w dodatku, stał prawie nieruchomo, zasnął lekkim
snem żeglarza.

Zaledwie Kolumb zeszedł z pokładu, kiedy
sternik, zmorzony miękkim ciepłem podzwrotni-
kowej nocy, powierzając ster niewprawnym rękoma
okrętowego chłopca, spać poszedł. Widząc to,
majtłowie, wartę sprawujący, także się pospali.

Tymczasem, niewidzialny, a jednak silny, przy-
brzeżny prąd pędził statek prosto na dużą, pias-
czystą ławicę. Huk rozbijających się o nią fal
uprzedziłby o niebezpieczeństwie wprawne ucho
sternika, lecz pozostawił obojętnym niedoświad-
czonego chłopca. »S-ta Marja«, pozornie nieru-
choma, coraz szybciej, a nareszcie pędem leciała
ku zagładzie. Dopiero, gdy silne wstrząśnienie
statku, który drgnął od kilu aż po szczyt masztu,
uczuc się dało, chłopiec trwożnie krzyknął.

Pierwszym wyskoczył na pokład Kolumb, a wi-
dząc, że okręt ugrzązł w ławie piasku i że prąd
coraz bardziej go w nią pcha, nadbiegającemu
sternikowi i majtkom rozkazał:

— Szalupa na wodę! Żywo! Zaczepić linę za
statek, zawieźć jej koniec na brzeg i ciągnąć
całą siłą! Prędeż! Prędeż!

Rozespani ludzie, ze sternikiem na czele, spu-

ścili na wodę szalupę i zamiast ratować coraz
bardziej grzęznącą w ruchomych piaskach »S-ta
Marję«, popłynęli szukać pomocy do żeglującej
opodal »Niny«. Janez Pinzon, oburzony niedbal-
stwem i brakiem przytomności umysłu sternika,
przyleciał całą chyżością dwudziestu wiosł na
ratunek, lecz już zapóźno było. Nie pomógł roz-
paczliwy środek użyty przez Kolumba, który
maszt zrąbał, w nadziei, iż ulżywszy w ten spo-
sób ciężaru, nie da okrętowi tak szybko grzęznąć.

Wszystkie wysiłki daremne były. Korpus okrętu
przy uderzeniu o ławicę pękł w kilku miejscach
i woda do wnętrza wpadała. Fala, bijąca o ławicę,
wzburzona była i wstrząsała statkiem już i tak
zużytym przez długą podróż, aż nareszcie, »S-ta
Marja«, syta sławy i trudów, kłoniła się do grobu
który znalazła u brzegów świata odkrytego z jej
pomocą... Chwiała się jeszcze chwilę, aż powoli
na bok legła, jakby pragnęła, aby ta nadzw-
yczajna podróż była wspaniałem zakończeniem jej
żeglarskiego zawodu.

Kolumb i cała załoga schronili się na »Ninę«,
szczęśliwi, że pogoda pozwoliła im życie uratować,
bo gdyby morze wzburzone było, mogli
wszyscy zginąć wśród prądów i podwodnych
skał. Admirał wezwał Diega de Arana sędziego
flotyli i Pedra Gutierrez i rzekł do nich:

— Proszę was, abyscie się udali do kacyka
Guakanagarego i zawiadomili go o moim za-

miarze odwiedzenia jego stolicy i o nieszczęściu, które nas spotkało... nieszczęściu, całej doniosłości którego on nawet zrozumieć nie potrafi, bo czyż może domyślić się, jak nam bardzo zależy na tem, aby świat dowiedział się o tem, co zdołaliśmy, a do tego, jakże już mało środków nam zostało... »Pinty« może już także niema, a oto »S-ta Marja« tam, na boku leży. — i patrzył w stronę szarpanego przez fale okrętu, tego domu swego, w którym tyle razy od zwątpienia przechodził do nadziei, po trwogach doświadczał nadziemskich radości; patrzył tęsknym wzrokiem na te deski, które fale odrywały i unosiły, tarzając niemi po piaskach ławicy i dla niego one ożywały, nie były to martwe drewna, lecz towarzysze sławy... one go zniosły do celu marzeń całego życia... na nich on dopłynął... dokąd? Do tego, w istnienie czego wierzył całą siłą jestestwa swego... lecz jeszcze nie do nieśmiertelności...

Westchnął ciężko i, odpowiadając myślom swoim, szepnął:

— Do nieśmiertelności może mię zanieść tylko ta mała »Nina«... ta wątła »Nina«... Czy starczy jej sił na tak ogromną podróż, na tak wielkie zadanie?

A głośno dodał:

— Tak, panowie, teraz, świadomość ludzi o prawdziwym kształcie ziemi, panowanie Hiszpanji nad tysiąc razy większym od niej światem, jej

potęga, jej bogactwo, a nasza sława, pamięć o nas w potomności wieków... wszystko to już teraz spoczywa na tych nadpróchniałych deskach »Niny«, na tych przygodnie zlatanych, przy Gomerze, jej żaglach, któremi dawne, łacińskie, zamieniliśmy... Czy będą one miały dość siły aby nas zanieść do nieśmiertelności?...

I trwoga ogromna zmroziła jego serce. Straszliwa obawa utraty tego skarbu, który nareszcie zdobył kosztem tytanicznych wysiłów. Widział to wypieszczone, ukochane dziecko swego ducha bujające po milowej długości falach oceanu, na wątlej skorupie karawelli, niemającej nawet pokładu... a wiatry alizejskie, które ją tu tak łagodnie przypędziły, nie wieją przez rok cały nad olbrzymiem przestworzem Atlantyku, a jeśli wieją, to do powrotu tylko przeszkodą będą... on o tem nie wątpił.

Arana i Gutierrez, niezważając na ciemność nocy, popłynęli do Guariko.

XIII.

Księżyc w ostatniej kwadrze za ledwie wschodził, nad ranem, z za postrzępionych, skalistych szczytów Sibao, kiedy cała flota łodzi wyłobionych w pniach zaroila się wokoło ginącej »S-ta Marji«, a wkrótce potem, nadpłynęła ogromna, rzeźbiona i malowana kanoa, a w niej, oświecony chwiejnymi płomieniami pochodni o pachnącym żywicą dymie, stał nagi, z zarzuconym tylko na ramiona lekkim płaszczem pasiastym, kacyk Guakanagari. Na długich, czarnych włosach, z tyłu na ramiona spadających, lśniła się i migotała złota obrączka w kształcie korony, wsparty był na lekkiej włóczni trzcinowej, zakończonej u góry ząbioną ością ryby. Twarz jego łagodna, o rysach prawidłowych, a ujmujących wyrazem dobroci i powagi, nosiła w tej chwili piętno smutku zmieszanego z przesadną trwogą, a kiedy wstąpił na pochyły, już częściowo wodą zalany pokład »S-ta Marji«, przybrała ona wyraz zdumienia i za-

chwytu połączonych z lękiem. I nie dziw, tak mu tu wszystko musiało wydać się obcem, pięknem, potężnem a dziwnem, tak cudnem, jakby z innego jakiegoś świata pochodziło.

Przypatrując się tym przedmiotom nieznanym, do nieznanego użytku służącym, zapomniał o celu swego przybycia, lecz widok krzątających się około ratunku ruchomości okrętowych i mienia załogi Hiszpanów przypomniał mu o nim. Wydał rozkazy dźwięcznym, donośnym głosem, słuchanym przez podwładnych w pełnej szacunku ciszy i zaraz, roje wyspiarzy w milczeniu, porządnie i sprawnie poczęły wyładowywać statek, przenosząc wszystko, co ruchome było, do licznych swych łodzi, gdzie podrzędni kacykowie lub urzędnicy Guakanagarego, pilnowali, aby nic nie zginęło, nic złamanem lub zepsutem nie zostało.

Hiszpanie, w pierwszej chwili, myśląc, że to rabunek, omal bójki nie rozpoczęły, lecz nadpływający, szczęściem w porę, Kolumb spokój im nakazał. Admirał, już tylko z imienia admirał, wszedłszy na pokład »S-ta Marji«, smutnem spojrzeniem ogarnął tę ponurą scenę nocnego ratunku, złowrogo oświeconą słabem światłem połowy księżycowej tarczy, ukośnie rzucającej blade promienie, i krwawemi, migocącemi błyskami pochodni, gdzie nie gdzie płonącej. Ciężko wstąpił na górny pomost, gdzie tyle przemyślał, przemarzył, przeżył i tam stał pogrążony w cichą, niemą boleść... po

chwili, bufiastym rękawem kaftana otarł łzy z oczu spływające po wychudzonych policzkach ku białej, przyszyżonej brodzie.

Tyle było grozy i tragizmu losów człowieka w tej potężnej postaci bólem złamanej, tyle wielkości w majestatycznym spokoju, z jakim ten olbrzym myśli i czynu znosił nieszczęście, że Guakanagari, który, od chwili wejścia na statek Kolumba, oczu z niego nie spuszczał, pogrążony w niemym podziwieniu, odczuł w tym widoku i ból ludzki i wielkość... jakąś nieznaną, nieziemską, dla niego, wielkość. Zbliżył się do Kolumba, schylił się głęboko, położył dłoń na głowie i, w mowie swojej, głosem cichym i śpiewnym mówił do niego słowa pociechy, których ów nie rozumiał... ale rozumiał, kiedy z dużych, łagodnych oczu kacyka łzy popłynęły po brunatnej, zarostem nie odkrytej, pięknej twarzy, a kiedy Guakanagari zdjął z głowy koronę i nagłym, jakimś serdecznym ruchem, trzymając ją w obu rękach, podał mu ten symbol władzy ze smutnym uśmiechem na ustach, on schwytał kacyka w ramiona i, przyciskając do szerokiej piersi, szepnął:

— Bracie! Tyś dziki, tyś ciemny, lecz ludzkie serce w piersi twej bije... piękna dusza twoja... Bratem ci będę... Ojcem... i tobie i twoim...

Skra sympatji trysnęła pomiędzy synem cywilizacji, jednym z większych jej synów, a piękną, zdolną i wytworną duszą dzikiego wyspiarza, dzie-

cięcia nieznannej rasy, której tylko czasu nie dano, aby i ona, własną siłą, wznieść się zdołała do większych może wyżyn, niż te, na których już tamta stała.

Kolumb, widząc, że ratunek odbywa się tak skutecznie i porządnie, jak sam lepiejby nim zarządzić nie potrafił, a nie chcąc sobie serca krawić tym smutnym nad wyraz dla niego widokiem, odplynął z powrotem do »Niny«. Odtąd, co godzina, Guakanagari posyłał tam do niego łódź, a z nią słowa pociechy i uspokojenia, zapewnienia, że wszystko będzie całe i bezpieczne, a także, za każdym razem — bogate dary.

Nazajutrz, odwiedził admirała na »Ninie« i uprosił go, aby zamieszkał w Guariko, gdzie już w kilku domostwach umieszczono wszystkie rzeczy uratowane z »S-ta Marji«, a część ich, co się tam nie zmieściła, złożono w kupy na placu publicznym. I leżały tam te bajeczne skarby, te bezcenne dla krajowców bogactwa, bez żadnej straży, pod opieką sumienia i gościnności mieszkańców, bo wówczas, nie znano jeszcze na Haiti złodziei, a tem mniej rabusiów. Pierwsze ich okazy już stąpały po tej szczęśliwej ziemi, lecz znajdowały się one w szeregach przybyszów, posłanników niebios, jak Hiszpanów nazywali Haitianie.

Rozpoczęło się isticie rajskie życie dla Hiszpanów. Pracy żadnej nie znali, krajowcy oddawali im wszystko, czegobądź zapragnęli, o płaceniu za

żywność oczywiście mowy nie było. Upalne godziny tych dni szczęśliwych schodziły im na rozkosznym wypoczynku w kołyszących się hamakach zawieszonych w cieniu pachnących gajów, gdzie wystarczało wyciągnąć rękę, aby zerwać który z tych aromatycznych, smacznych owoców obciążających gałęzie razem z pączkami, kwiatami i związkami tych, co miały nieco później dojrzeć. Wieczory do późnej nocy rozbrzmiewały dźwiękiem bębenków drewnianych, wydrążonych deszczulek, w które Haitianki, tańcząc, dzwoniły, ich śpiewami, szczebiotem ptaszków, co były dawniej rybakami, sługami kacyka Wagoniony, a których słońce w ptaki zamieniło. Kobiety, zwłaszcza dziewczęta, skore były do nawiązania tych stosunków, co potrafią usidlić serca mężczyzn, już nie mówiąc o zawsze spragnionych sercach żeglarzy.

Guakanagari robił co mógł, aby spędzić z czoła ubóstwionego przez siebie Kolumba chmury smutku i trwogi, jakimi je pokryły: rozbicie »S-ta Marji« i zaginięcie Pinzona z »Pintą«.

Pewnego dnia, kiedy któryś z jego podwładnych donosił mu, że z oddalonego miejsca wybrzeża przyplłynęła łódź ze znacznym ładunkiem złota, które wyspiarze pragną zamienić na europejskie wyroby, oblicze admirała rozjaśniło się, bo słysząc, że złoto owo pochodzi z Sibao, pomyślał, iż Sibao znaczy Cipango; Guakanagari

widząc ten przebłysk radości, spytał o jego powód, a dowiedziawszy się, że złoto jest tego przyczyną, oznajmił, iż on postara się dostarczyć go, ile admirał zechce, gdyż zna miejsce, gdzie go tyle znajdują, iż niema ono tam żadnej wartości. I w rzeczy samej, spore ilości tego kruszcu napływać poczęły.

Raz, przybyli krajowcy z dalekiego wybrzeża z wieścią, że tam, u nich, pojawiła się na morzu łódź skrzydlata, podobna do »Niny«. Kolumb drgnął z radości. Natychmiast posłał łódź haitiańską i z nią jednego Hiszpana, aby wieść tę sprawdzić, lecz, po kilku dniach, powrócił on, nic nie znalazłszy i nie dopytawszy się nawet nic pewnego o »Pincie«. Guakanagari, chcąc zrobić przyjemność przyjacielowi, którego ciągle miał za coś znacznie od człowieka wyższego, rozesłał wielu posłańców. Jedni z nich powracali, inni przynosili niejasne, wyraźnie już jakby legendarne słuchy. Jednakże, ciągle krążyły głuche, lecz uporczywe wieści o jakimś, niby bajecznym, okręcie, który widują, niekiedy, u północnych brzegów wyspy.

Kolumb mieszkał w domu kacyka, który on mu ustąpił w nieznającej granic gościnności swoich i z gospodarzem rozmawiał zapomocą paruset słów haitiańskich, które już sobie przyswoił, tyłuż hiszpańskich, co je poznał Guakanagari, niezmiernie chciwy wszelakiej wiedzy, zwłaszcza nauczania

się hiszpańskiej mowy, a także z pomocą jednego z wziętych na Guanahani wyspiarzy, niezmiernie zdolnego chłopaka, który już zaczynał niezgorzej mówić i rozumieć po hiszpańsku, a był bardzo wierny i oddany Kolumbowi.

— Almirante, — rzekł raz Guakanagari, przechadzając się z Kolumbem po cienistym gaju, który wyglądał, jak wspaniały sad rosnący na kwiecistej łące, nad rzeką o wodach tak czystych, że z łatwością na jej dnie dostrzedz było można małe blaszki złota unoszone, razem z piaskiem, w bystrym prądzie — Almirante, mój przyjacielu, przez niebo mi zesłany, dlaczego zamyślasz już opuścić mnie?... Czy źle ci tu z nami? Czy braknie ci czego? Powiedz, a jeśli będzie w mej mocy, wszystko zrobię, aby ci życie tu uprzyjemnić i za- trzymać przy sobie na zawsze... Almirante, może ci dokuczyło w moim skromnym domu mieszkać? Rozkaż, dam ludzi ilu zechcesz, zniosą, spławią najpiękniejsze drzewa, a twoi słudzy, co z tobą przybyli, swojemi ciężkimi narzędziami zbudują ci dom jaki każesz, taki dom, jaki posiadałeś w swoim kraju, który leży tam, daleko, za przeczystym niebem... Almirante, tobie cni się bez kobiety... rozumiem to i współczuję... Wybierz sobie zatem dziesięć, a nawet dwa i trzy razy po dziesięć najpiękniejszych dziewcząt, bo ty guamikuina jesteś pomiędzy nami, zaszczyt to i szczęście dla nich będzie zostać żonami twojemi... po-

tomstwo po sobie zostawisz i sam z pomiędzy synów swoich wyznaczysz tego, który po tobie guamikuiną zostanie, wtedy, kiedy Wielki Duch do jaskini cię zawoła, abys jadł owoce mameyu i echem odpowiadając z gór na słowa żyjących, wtedy, gdy ja, twój przyjaciel i syn posłuszny, własną ręką cię zaduszę konopnym postronkiem złotem przetykanym, abys nie skonał jak pospolity człowiek, ty, największy kacyk, Guamikuina z nieba przybyły do środka ziemi, do Haiti wysokiej... — Almirante, — mówił przymilając się — przyrzekam ci, że ja i najstarszy mój syn zadusimy cię, skoro zobaczymy, że już konać zaczynasz i byle gdzie ciała twojego nie złożymy, lecz zaniesiemy do wielkiej jaskini, skąd słońce i księżyc wyszły i będziesz tam siedział wśród Zemów i my śpiewać przed tobą będziemy, bo ty sam Zemi będziesz... Almirante, a jeśli ja przed tobą umierać będę, to ty zrobisz mi ten zaszczyt i swoją wielką ręką sam mię zadusisz, abym nie skonał, jak człowiek pospolity, gdyż kacykiem jestem, synem i wnukiem córek kacyków.

— Kacyku, — odpowiedział Kolumb — ja guamikuiną nie jestem, lecz sam podlegam potężnemu guamikuinie, który po Wielkim Duchu, co w niebie mieszka, jest najstarszym panem moim...

— Jakiż on jest potężny? Powiedz, czy mędrszy od ciebie?

Uśmiechnął się Kolumb i odpowiedział:

— Jak w czem, Guakanagari, w zarządzie krajami, które do niego należą, mędrzy, bo otrzymuje w tem natchnienie od Wielkiego Ducha, lecz nie we wszystkim. Oto naprzykład: ja lepiej od niego umiem duże łodzie po wielkich wodach prowadzić, no, i wiem o tem, że tu jest Haiti i wiele innych wysp i lądów, a on o tem nie wie i obowiązkiem moim jest, aby do niego i żony jego, niezmiernie pięknej i zacnej władczyni,jechać i opowiedzieć im o tych nieznanym krajach. Z tego-to powodu chcę ciebie chwilowo opuścić.

Admirał i kacyk, idąc przez gaje, doszli do miejsca, gdzie starszyzna flotyli zabawiała się widokiem tańczących Haitianek. Wszyscy byli rozbawieni, wesole śmiechy rozlegały się wśród drzew i gąszczów. Podchodząc do gromadki na murawie leżących Hiszpanów, którzy natychmiast na widok admirała powstali z uszanowaniem, Kolumb rzekł do nich:

— Bawcie się panowie i używajcie wczasów, bo już rychło rozpoczną się znowu trudy żeglugi... Pora już nam z powrotem. Za mało nas tu, aby kolonje zakładać. Za mało mamy okrętów, aby odkrycia nowe robić i dotrzeć aż do Cipango, a potem, do Kathayu. Musimy zdać sprawę z tego, czegośmy już dokonali i powrócić z większą siłą.

Podczas gdy mówił, Arana, Escobedo, Gutierrez

i znajdujący się pośród nich młody Hernando de Guevara spoglądali po sobie znacząco, a gdy zamilkł, Arana, zbliżając się do naczelnika, rzekł z pewnem zakłopotaniem:

— Admirale, dobrze, żeście sami o powrocie wspomnieli, gdyż właśnie my pomiędzy sobą naradzaliśmy się, myśląc także o nim... Uciążliwą i trudną będzie powrotna podróż, bo na »Ninę« wsiądzie także załoga »S-ta Marji«, a oprócz niej jeszcze i kilkunastu Indjan, których chcecie na pokaz zawieźć... mała karawella napełniona będzie jak jajko, jedni na drugich siedzieć będziemy. Jeszcześmy nie wypoczęli po trudach takiej niezwykłej, ogromnej podróży, a już znowu puszczać się mamy na te wody olbrzymie... Admirale, my zostalibyśmy tu chętnie i wiemy, że wielu majtków i rzemieślników pozostać także pragnie.

— Tak... tak! — podchwycili razem obecni — Pragniemy zostać!

A Escobedo tłumaczył:

— Zanim powrócicie, admirale, z posiłkami i znaczniejszą liczbą okrętów, my zbadamy wyspę, nauczymy się po indyjsku i wielką pomocą wam potem będziemy. Co do mnie, nie mam ochoty znowu, tak zaraz, kilka tygodni bujać po falach w ścisiku i niewygodzie.

— Ja — zawołał Guevara — podejmuję się kopalnię złota odnaleźć... Wszak widzicie, admirale, ile go tu jest? Całą beczkę, albo i więcej,

do powrotu waszego uzbieramy... Jak dalej tak pójdzie, to za trzy lata, a nie za siedem, popłyniemy grób Zbawiciela odbierać od Saracenów! — a po pięknej jego twarzy przeleciał szyderczy uśmiech.

Podczas podróży, Kolumb, polubiwszy korsarza o rumieńcach dziewicy, wtajemniczył go w swoje najdroższe zamiary. Ku powszechnemu zdziwieniu, admirał spokojnie i z pewnem zadowoleniem słuchał ich przedstawień, a po chwili namysłu, rzekł:

— Rad jestem, że słyszę to z ust waszych, panowie, bo już myślałem o tem, aby tu fortecę założyć, chociażby niewielką załogę w niej zostawić i z jej pomocą tę piękną wyspę zbadać, a przekonać się w ten sposób, czy ona zawiera naprawdę takie bogactwa, jak się to nam wydaje. Nie mogłem jednak wymagać tego od was, abyście pozostali tu, w tak jeszcze nieznanach strefach, tak daleko od ojczyzny, bez okrętu, któryby, w razie niebezpieczeństwa, z powrotem was mógł odwiedzić... Lecz, skoro sami chcecie, ze wszech miar dogadza mnie to. Na małej »Ninie« wystarczy mi zwykła załoga.

— Na zbudowanie wieży — odezwał się Guevara — mamy już drzewo gotowe z resztek »S-ta Marji«, która w piaskach leży. W ten sposób, budowa dużo czasu nie zajmie.

Wy tłumaczono kacykowi o czem mowa, a ów aż skoczył z radości, pytając:

— Czy i almirante pozostanie?

— Nie, przyjacielu, — odparł Kolumb — ja muszę jechać do swego guamikuiny, lecz powrócę, a teraz, tak mi do niego pilno, że chcę cię prosić abyś nam dał ludzi do pomocy przy budowie domu dla tych, którzy tu pozostaną.

— Jużem ci mówił, — rzekł Guakanagari — że gotów jestem wszystko ci oddać... szkoda tylko, że sam odjechać chcesz. Szczęście to jednak dla nas, iż zostawiasz tu część towarzyszy swoich, którzy z »Turey«¹⁾ przybyli z tobą, aby nas zaszczyścić i obdarzyć.

A mówiąc to, patrzył z zachwytem na Hiszpanów, a zwłaszcza na Kolumba, który żadną miarą nie mógł mu wmówić, iż jest człowiekiem, a nie mieszkańcem niebios.

Hiszpanie, niezmiernie uradowani tem, iż pragnienia ich tak się zgodziły z zamiarami admirała i pozostaną na ślicznej Hispanioli, jak pomiędzy sobą Haiti nazywali, powrócili do zabaw i dalej pędzili łatwe, bez trosk i pracy życie.

Kolumb jednak nie dał im długo próżnować.

Również skory do czynu, jak pochopny do zapału, każdy zamiar chciał zawsze przeprowadzić jak najrychlej. Wydał rozkazy budowy fortu do

¹⁾ Niebo — w języku dawnych Haitian.

tyczące, obrął miejsce niezbyt od Guariko odległe, w obronnej z natury miejscowości i, wezwawszy krajowców do pomocy, z pośpiechem do roboty przystąpił.

Po upływie paru tygodni stanęła spora wieża drewniana, wsparta na kamiennem podmurowaniu, a na jej szczycie powiewała królewska chorągiew. Otoczono ją głębokim i szerokim rowem, w który wodę z rzeki wpuszczono, a gdy ustawiono armaty ze strzelnic wyglądające, pierwszy ten gródek na nowej ziemi wzniesiony wyglądał pokaźnie a nawet groźnie.

Haitianie cieszyli się i pracowali z całego serca, ani domyślając się, jaki straszliwy błąd popełniają, nie przypuszczając nawet, że własnymi rękami stryczek sobie na szyję zakładają.

W dniu, kiedy Kolumb, w braku kapłana, sam pokropił święconą wodą nowe ściany fortu, a Hiszpanie nabożnemi śpiewami wtórowali uroczystemu obrzędowi, Guakanagari wyprawił wielką ucztę. Tysiące wyspiarzy zebrało się na nią. Gaje zapłonęły tysiącem ognisk. Łąki rozbrzmiewały śpiewami i śmiechem, ściany wysokich i gęstych puszc podzwrotnikowych, o liściach szerokich i pniach olbrzymich, odbijały te odgłosy wesela, a Haitianie, wsłuchując się w dźwięki echa, szepotali półtrwożnie, półradośnie:

— Słyszycie?... Umarli także cieszą się, że mieszkańcy »Tureyu« wśród nas pozostają, bo oni

wiedzą, że szczęście przez nich spłynie na Haiti naszą.

W dużej chacie zastanej kobiercem kunsztownie utkany z liści palmowych, siedząc na stołkach rzeźbionych z czarnego drzewa, ucztowali znaczniejsi Hiszpanie z Kolumbem na czele, a podejmował ich Guakanagari przy pomocy podwładnych sobie kacyków. Jedli guana, utia i małe kuropatwy pieczone, przeplatając te mięsne potrawy plackami z maisu, kassawy, korzeni różnych, pomiędzy którymi pataty¹⁾ jedno z pierwszych miejsc zajmowały, a nasyciwszy głód, próbowali wielu nieznanych owoców, z których ananas największe uznanie Hiszpanów zyskał, a także agi, pieprz słodki.

Guakanagari był smutny, bo po skończonej uczcie, almirante, jego bóstwo, miał odbić od brzegów Haiti i puścić się na wielkie wody, a kacyk myślał, że nawet mieszkanięc niebios bezkarnie po raz drugi może nie potrafi przez nie przepłynąć. Wzruszonym głosem mówił do Kolumba:

— Bądź spokojny, wielki almirante, żywności tym z towarzyszy twoich, co tu pozostaną i w wysokim domu zamieszkają, nie zabraknie. Wszystkiego im dostarczę. Czy tobie tylko starczy zapasów na tę długą, straszną podróż?

¹⁾ Kartofle.

— O żywność na drogę nie troszczę się, przyjacielu. — odpowiedział Kolumb — Oto masz dowód, że mam jej jeszcze sporo.

Skinął na służących Hiszpanów i kazał wszystkim nalać wina do szklanych puharów z okrętów przyniesionych. Sam powstał i, wznosząc pełną czarę, zawołał:

— Piję za szczęście i pomyślność miłych i dobrych mieszkańców Hispanioli! Za powodzenie załogi pierwszej fortecy Nowego Świata, którą nazywam Navidad!¹⁾

— Niech żyje Navidad! — krzyknęli Hiszpanie — Niech rozrasta się i wzmacnia! Niech na wieki wrośnie w bogatą ziemię Nowego Świata!

— Vivat Navidad!

— Vivat Navidad! — wołali Haitianie, naśladowując Hiszpanów i nadając śpiewny akcent dźwiękom hiszpańskiej mowy.

Wtem, straż hiszpańska stojąca u drzwi domu dała salwę z rusznic, a z oddali, z fortecy, odpowiedział jej potężny grzmot armat. Powietrze zadrgało dotykając prawie falą. Echa, zbudzone wśród puszczy i gór skalistych, zagrzmiwały przeciągle, ponuro. Zdawało się, że sto armat ryczy nad cichą dotąd wyspą. Kilka ogromnych kamiennych kul nagle wpadło w gaj otaczający

¹⁾ Narodzenie. — Na pamiątkę rozbicia się •S-ta Marji• w noc wigilijną.

dom, gdzie ucztowano. Pnie palm i mahoniów padły strzaskane, zgruchotane, grad gałęzi, ściętych niby olbrzymią kosą, posypał się na murawę. Haitianie na twarz popadali, drżąc z przesądnej trwogi i cicho szepecząc:

— Ogień niebieski! Ogień! Biali ludzie niebieskim ogniem władają!

Guakanagari hamował trwogę, co nim owładnęła także. Nie padł na ziemię, lecz stojąc nawpół zgięty, ramieniem głowę zasłaniał i drżał całym ciałem. Przerażonym wzrokiem błędnie patrzył w spokojne, uśmiechnięte oblicze admirała. Ów wziął go za rękę i rzekł cicho:

— Uspokój się, kacyku, i nadaj twarzy wyraz odwagi, zanim podwładni twoi na nią spojrzą... niech nie widzą trwogi w naczelniku.

A kiedy pierwsze, niepokonane przerażenie przeszło, i Haitianie, nie słysząc więcej groźnego huków, bo ostatnie odgłosy echa konały daleko, aż na szczytach Sibao, powstałi, Kolumb pód po haitiańsku, nawpód po hiszpańsku rzekł:

— Nie obawiajcie się, kacykowie. To nie ogień niebieski, lecz broń ognista Hiszpanów tak ryczy. Umyślnie kazałem przedstawić wam jej moc i grozę, aby wam pokazać jak potężnym jest guamikuina Hiszpanów, który was bierze pod opiekę swoją. Tą bronią my was od Karaibów zasłonimy i obronimy... Pomyślcie, jakie spustoszenia w ich sze-

regach zrobią te kule, które potrafiły stuletnie drzewa zgruchotać, niby wątłe trawy.

— Już oni więcej na was napaść nie będą! — zawołał Guevara — My im nie damy!

— Bądźcie spokojni! — wołał Escobedo.

— Już noga Karaiba na Hispaniołę nie stąpi! — krzyczeli inni.

Haitianie rzucili się do gaju z blizka oglądając spustoszenia przez armatnie kule zrzadzone. Z podziwem i zgrozą na nie patrzyli, a zrozumiawszy zapewnienia Hiszpanów, że tym strasznym ogniem od Karaibów bronić ich będą, oddali się wielkiej, trochę dziecinnej radości, otoczyli kołem Kolumba siedzącego na powalonym pniu palmy i, kładąc dłonie na głowach, dziękowali mu za obiecaną obronę i opiekę, a Guakanagari mówił:

— Przybycie wasze z nieba na Haiti szczęściem jest dla nas... Lecz ty sam, almirante, powracaj do nas jak najrychlej... obyż ci tylko wielkie wody przychylne były.

Otoczeni gromadką wyspiarzy, podchodzili do starszyny dwaj butiowie, kapłani-śpiewacy. Jeden z nich, bardzo stary, owinięty był w biały płaszcz bawełniany, na który spływały jeszcze bielsze włosy długie, niósł w rękę bęben »maguej« zwany, na piersi jego błyszczał złoty wizerunek potworowego Zemi zawieszony na naszyjniku nabijanym białymi i zielonemi kamykami przezroczystymi. Drugi kapłan tak był umalowany, że dopatrzeć

rysów jego oblicza prawie niepodobna było. Po czarnej barwie włosów i wspaniałej, zgrabnej postawie łatwo można było rozpoznać, że człowiek to w sile wieku i niepospolitej siły, chociaż szedł przygarbiony i atletyczne swe członki nagie krył z widocznym staraniem pod obszernym płaszczem bawełnianym. Towarzyszący im wyspiarze wołali:

— Wielki butio Tikuir... stary Tikuir chce śpiewać gościom, co z Turey przybyli! Guami-kuino Hiszpanów! — zwrócili się do Kolumba — Pozwól, aby on śpiewał, to najstarszy na Haiti butio!

Kiedy Kolumb oświadczył, że rad posłucha starego śpiewaka, obaj butiowie uderzyli w bębny i przy ich głuchym, jednostajnym dźwięku stary śpiewał drżącym głosem, a po jego wyschniętej, poważnej twarzy oznaki głęboko odczutyh wrażeń przelatywały:

— Dawno, już dawno to było. Księżyc niezliczone razy, od tego czasu, urósł i znowu, zmniejszając się, zniknął. Wtedy to było, kiedy przodkowie nasi, uciekając od dzikich Karaibów, po raz pierwszy wylądowali na Haiti, która jest środkiem świata, a wiódł ich wielki kacyk, Wagoniona zwany. Wielki duch rozkazał Wagonionie, aby z jaskini nie wychodził dopóki słońce świeci, bo go nieszczęście spotkać może. Więc, nocami, Wagoniona błąkał się ze sługami po górach i łąkach Haiti... Raz, nad szumiącym potokiem, około

góry, w której czernieje jaskinia święta, skąd słońce i księżyc jeszcze dawniej wyszły, spotkał starego butio, co tu mieszkał przed tem, nim Wagoniony łodzi do Haiti przybiły. Spostrzegł butio kacyka i chciał uciekać, lecz Wagoniona dopędził go i rzekł: »Butio stary nie bój się, nic ci złego nie zrobię, a powiedz mi raczej: jak te góry i łąki wyglądają, gdy je słońce oświeci?... Czy piękne? Bo ja tylko w nocy ryby łowię i, niby umarły, pociemku szukam owoców mamaju«. Butio odwrócił się i smutnym, strasznym głosem odpowiedział: »Już dla mnie te góry i lasy i łąki, wśród których ojcowie moi mieszkali, są ciągle smutne, chociaż zielenią się i kwiatami barwią pod złotem światłem słońca, bo już niema moich siostr i braci... Ty i słudzy twoi, chodząc nocami, wytępiłście ich, samotny już jestem, uszy moje nie słyszą ich głosu, a oczy nie patrzą na drogie ich twarze... Wagoniono, plemię twoje rozmnoży się i na światło słońca wyjdzie, a życie jego szczęśliwe i rozkoszne będzie, potrwa to długo, ale i na was przyjdzie czas... Przez wielkie wody, od strony, skąd słońce przychodzi, przyplyną ludzie biali, wy ich przywiecie jak posłanników nieba, a oni was w niewolę skrepują... Ucichną śpiewy na Haiti wysokiej, jęknie z niedoli Kuiskueja szeroka. Synowie twoi ziemię kopać będą, głowy swe zwieszają, nad rzekami idąc, i w ich łóżyskach, wytężając oczy,

będą szukali przeklętego złota... A złota szukać trzeba w poście i zmartwieniu, od kobiet zdala trzymając się ciągle, a gdy je znajdą w krwawym pocie czoła, hardemu zwycięzcy w holdzie wszystko złożą... Nie pomogą: pokora, dobroć i gościnność, na marne pójdą dziewic uśmiechy... Przybysze zaborą złoto i dziewice... złoto wywiozą a dziewczęta zhańbią...

Umilkł wędrowny butio i obaj z towarzyszem chwilę na bębnach przygrywali. W miarę jak śpiewał, twarz pieśniarza coraz smutniejszą stawała się, do oczu łzy napływały, lecz powstrzymał je wysiłkiem woli, znów śpiewał:

— ...Nie na tem koniec, kacyku z pieczary. Synowie twoi znów do jaskiń zbiegną, lecz i tam ich wytropią źli mieszkańcy nieba, straszne zwierzęta na nich wypuszczą... Krwią rzeki spłyną, jękiem echa stękną!

Tu, młody butio uderzył silnie w bęben, aż ów ponurym dźwiękiem odpowiedział i, podchwytną ostatnie słowa śpiewaka, głosem potężnym, groźby pełnym, wtórował:

— Krwią rzeki spłyną... jękiem echa stękną... Umilkną śpiewy, bo śpiewacy wymrą... Hukom piorunu, co zwycięzcom służy, tylko umarli echem odpowiedzą...

Głos starego brzmiał łzawo i żałośnie, lecz młody śpiewał z dzikim zapałem, jakby pieśń bojową. Hiszpanie bardzo mało zrozumieli, a Haitianie

stali w osłupieniu i niemem przerażeniu pogrążeni. Guakanagari szybko podszedł do butiów i, szepcząc coś do nich, uprowadził do gaju, w miejsce, gdzie gęszcze las podszywały. Tam, cicho, głosem wymówki pełnym rzekł do młodszego:

— Kaonabo, coś zrobił? Wszak to goście moi... i jacy goście... z nieba...

— Z jakiego nieba? — groźnie odparł kacyk Kaonabo, za kapłana-śpiewaka przebrany — To drapieżne ptaki mórz! Co ty myślisz, Guakanagari? Na takich dużych łodziach skrzydlatych można wielkie wody przepłynąć. Wszak Karaimowie bez tych białych skrzydeł jak daleko płyną? Guakanagari, kacyku Marienu, coś zrobił? Coś zrobił? Biada Haiti wysokiej!... Rzeki krwią spłyną, jękiem echa stękną... Pamiętaj o tem!... Pamiętaj!

Mówiąc namiętnie, tonem wyrzutu, Kaonabo wyciągnął pięść w stronę fortecy, dziko błysnął oczami okolonemi szeroką, czarną obwódką i przez zaciśnięte zęby syczał:

— Niech ryczy ich piorun, niech śpiewa po górach i drzewa ogromne gruchoce i wali... Jeszcze jest na Haiti ptak urikanu...

Trącił starego towarzysza i obaj znikli w zaroślach. Guakanagari, powracając do gości szeptał:

— To on drapieżny ptak mórz... ludożerca Karaim... Almirante dobry, mądry i wspaniały syn nieba.

Na zakończenie uczy, przy blasku pochodni,

Kolumb, chcąc wyspiarzom na wszelki wypadek okazać całą potęgę wojenną Hiszpanów i tem zabezpieczyć od napaści małą załogę z trzydziestu dziewięciu ludzi złożoną, którą w fortecy Navidad zostawiał, dał im widowisko w rodzaju turnieju, na którym Hiszpanie mieczami płątali kłody drzewa, szczerbiąc je natomiast na zbrojach swoich, strzelali z rusznic i łuków. Hernando de Guevara cudów siły i zręczności dokazywał.

* * *

W parę dni potem, o świcie, »Nina« podnosiła kotwicę, uwożąc ku Staremu Światu w swych zużytych, podziurawionych przez morskie robaki bokach, niepokrytych nawet pokładem, wieści o Nowym Świecie. Sam Kolumb, pomimo wiary w swe posłannictwo, jasno widział, że los jego odkrycia na wątej podstawie spoczywa i dlatego zapewne tak łatwo zgodził się na pozostawienie części załogi w świeżo zbudowanej fortecy. Liczył, w razie gdyby on z »Niną« zginął, na jakiś traf niespodziany, który pozwoli komukolwiek z nowych kolonistów dostać się kiedyś do Europy, to-też wybrał w tym celu najdzielniejszych ludzi, jakich miał pod ręką, odznaczających się odwagą, przedsiębiorczością lub biegiłością w jakimkolwiek rzemiośle, a zwłaszcza w ciesielce, mając na myśli, że kiedyś okręt zbudują, na którym wieść o jego odkryciu do Europy przyplynie.

Ze smutkiem rozstawali się pozostający z odjeżdżającymi, tyle węzłów pomiędzy nimi zadzierzgnęły wspólne rozpacze i radości, razem przeżyte niebezpieczeństwa i wrażenia tak głębokie, jakich ludzie dotąd rzadko doświadczali. Owi trzydziestu dziewięciu, składający załogę Navidadu, patrzyli na odpływających, jako na straconych prawie, ci zaś myśleli, że porzucają towarzyszy w nieznanych pustkowiach dzikich krain, otoczonych również dzikimi plemionami, których do tychczasowa dobroć może pochodzić z przesądnej trwogi przed mniemanymi synami niebios, a łatwo się zmieni w drapieżność, skoro przekonają się, że Hiszpanie są tylko cudzoziemcami.

A jednak, Guakanagari, którego prosta lecz wrażliwa dusza przeczuwała jakąś niepojętą, tajemniczą dla niego wyższość ubóstwionego Kolumba, rozstając się z nim, wylewał szczere łzy żalu za tak cudownie, a na tak krótko zesłanym mu przyjaciele. Wszyscy Haitianie, dla których ci nadzwyczajni przybysze byli zjawiskiem cudownym i przynosili z sobą odgłosy jakichś nieznanych, czarodziejskich krain, co chyba tylko w niebie znajdować się mogły, z niekłamanym smutkiem patrzyli na ich odjazd, chociaż złych przeczuć oni nie mieli, bo dla nich, Hiszpanie byli czemś tak nadludzkiem, tak potężnym, że igraszką dla nich było przepłynąć wielkie wody, »Nina« — takim

kolosem skrzydlatym, który bezkarnie mógł walczyć z rozwścieczonemi przez »urikan« falami.

Guakanagari zaprowadził Kolumba raz jeszcze do domu swego, tam posadził go na rzeźbionym stołku, zdjął z głowy złotą koronę i włożył ją na skronie przyjaciela, a pięciu podwładnych mu kacyków, zgiętych w głębokim ukłonie, złożyło mu w darze swoje korony¹⁾. Kolumb zawiesił na szyi Guakanagarego naszyjnik ze szklanych pereł, włożył mu na barki swój własny płaszcz z cienkiego sukna, darował parę butów z żółtej skóry kordowańskiej i włożył na palec pierścień srebrny, przedmiot niezmiernej wartości w oczach Haitian, a kacyk, padając przed nim na kolana, zawołał:

— O almirante, tak mię bez miary obdarzasz, a jednak, w tej chwili, zwrócę te skarby, tylko ty sam pozostań z nami, nie puszczaj się na wielkie wody, gdzie losy twoje będą tak niepewne.

Lecz Kolumb objął kacyka, do piersi go przycisnął i mówiąc:

— Powrócę, przyjacielu, bądź pewny że powrócę...

Odszedł na wybrzeże, przeprowadzony przez tłumy Haitian i wsiadł do szalupy czekającej na niego.

Skoro tylko admirał wstąpił na nią, z »Niny«

¹⁾ Złote korony Haitian były raczej ozdobą aniżeli symbolem władzy.

ozwał się wystrzał armatni, rozwinęły się żagle, lekki wiatr je wydał i ostatnia, najmniejsza karawella wyprawy frunęła w morskie przestworza. Guakanagari czas jakiś pędził na łodzi pchanej przez trzydziestu wiosłarzy i wołał:

— Almirante! Niech ci wielkie wody przychylne będą! I wracaj! Wracaj do przyjaciela swego! Żle nam bez ciebie będzie!

Na pełnem morzu silny wiatr pędził »Ninę«. Ramiona haitiańskich wiosłarzy omdlewały, coraz większa przestrzeń dzieliła karawellę od malowanej łodzi, aż nareszcie, »Nina« skryła się za przylądkiem.

Hiszpanie z wieży Navidadu długo powiewali chustkami. Kolumb stał na wyniosłym tyle okrętu i patrzył na nową fortecę, na nowych przyjaciół, aż, straciwszy ich z oczu, zeszedł do kajuty, rozłożył dziennik, który prowadził od dnia odbicia od brzegów Hiszpanji w stylu komentarzy Cezara i w nim zapisał:

»In nomine D. N. Jesu Christi. Spełniwszy z Bożą pomocą rozkaz bardzo chrześcijańskich, bardzo wysokich i bardzo doskonałych, a potężnych monarchów: króla i królowej wszystkich Hiszpanji i wysp morskich, dziś, 4 Stycznia roku pańskiego, w którym obecnie żyjemy, 1493, odbiłem od brzegów nowo odkrytej wyspy, przez krajowców Haiti zwanej, a przezemnie Hiszpanią mianowanej i puściłem się na morze w powrotną podróż, daj Boże szczęśliwą...

XIV.

Kaonabo, ambitny, przedsiębiorczy i roztropny Karaib, ani chwili nie wierzył w niebiańskie pochodzenie Hiszpanów. Słyszając o ich potędze i waleczności, sam zechciał przekonać się o prawdziwości tych wieści i dlatego, zmiarkowawszy, że dla dalszych jego zamiarów, nie wypada mu stanąć przed nimi jako jeden z potężniejszych kacyków wyspy, wołał przyjąć postać wędrownego śpiewaka i pod tem przebraniem przypatrzeć się zarówno samym tym gościom nieproszonym, jako też ich broni i fortecy, którą tak skwapliwie wybudowali, korzystając ze słabości kacyka Marienu. To co ujrzawszy, wypełniło jego serce. A w takim charakterze, jaki posiadał Kaonabo, wszystko, co wniesia trwogę, uczucie, którem on gardził w najwyższym stopniu, budzi wkrótce gniew i nienawiść do tych, co potrafili zachwiać jego zwykłą odwagę. Jego umysł dzikiego polityka trafnie natychmiast pojął, że ci cudzoziemcy, posiadający tak potężne środki

walki, są dla jego zamiarów w najwyższym stopniu groźni, że przed nimi zblednie jego znaczenie, runą ambitne plany, że on z nimi nie potrafi walczyć o wpływy wśród Haitian, on, zniechęcony przez większość Karaib z powszechnie uznanymi za synów nieba, on, ubogi władca złotodajnych gór, w których niema ani okruszyny cennego srebra, ani też tego kruszcu niezmierniej wartości, z którego zrobione są pałające jak błyskawica miecze i zbroje tych obmierzłych przybyszów o czarnych brodach i białej skórze.

Po wielkiej uczcie, co miała miejsce w dzień poświęcenia Navidadu i po odjeździe »Niny«, którego był świadkiem, ukryty w nadbrzeżnych gąszczach, Kaonabo jeszcze przez dni kilkanaście snuł się po okolicach Guariko i Navidadu, pilnie śledząc za ruchami i życiem Hiszpanów, wypytyjąc Haitian, którzy z nimi stosunki mieli, poczem, powracał do stolicy swej Maguany, agitując po drodze pomiędzy kacykami przeciwko tym najeźdźcom, którzy ośmielili się jakiś dziwny, ogromny a tak obronny dom na Haiti wystawić, z czego jasno wygląda ich zamiar stałego osiedlenia się na wyspie. Kaonabo, o ile mógł, zawsze budził w spokojnych i niedoleźnych Haitianach rycerskiego ducha, a że ów, nawet pośród najbardziej pokojowo usposobionych ras, ma swoich zwolenników w osobach zuchwalszych i bardziej przedsiębiorczych jednostek, udawało mu się to do pewnego stopnia,

to też, z biegiem lat, stał się przewodnikiem i ulubieńcem tych żywiołów na Haiti, ich bohaterem i dumą.

Powróciwszy do swej stolicy i zrzuciwszy z siebie przebranie śpiewaka, a przybrawszy zwykły swój rycerski wygląd, wszedł do chaty najulubieńszej ze swoich żon, a powitawszy ją po długim niewidzeniu, zapytany przez nią o wieści o Hiszpanach, które wstrząsnęły całą wyspą, budząc niezmierną, niepomahowaną ciekawość, opowiadał:

— Anakaono, piękna i dzielna kobieto, godna wojownika małżonko, ci ludzie biali potężni są i waleczni, straszną broń ognistą posiadają, bogactwa ich wielkie, nieprzebrane, mnóstwo rzeczy mają dziwnych, niezrozumiałych, groźni oni dla nas, a zwłaszcza dla mnie, ale, szczęściem rozumu im braknie... Zaledwie ich guamikuina, rośliny, okazały starzec, odpłynął, porzucili oni swój dom wysoki i rozpełzli się po wsiach. Słyszałem, że ludzie już szemrać poczynają, skarżyć się na nich. Widziałem, jak zawzięcie bili się pomiędzy sobą i o cóż? O marne złoto, bo gdyby jeszcze o tę broń wspaniała, błyszcząca, a tak ostrą, że wszystko przecina, nawet wtedy, gdy nią słabe ramię włada. W wysokim domu, który wzniesli około Guariko, przy pomocy wuja twego Guakanagarego, za wysoką zagrodą z ostrych kołów zbitą, niewielu ich zostało przy wodzu, którego zwą po swojemu Arana, ale

mają straszne pioruny, z których ogień wyrzuca kamienie, a te łamią najgrubsze, najmocniejsze drzewa, niby urikan, kiedy się rozpęta... Anakaono, ty nie masz pojęcia jaka to straszna broń te pioruny... Słyszałem ich grzmoty, wyspa cała niemi rozbrzmiewała... Powiadam ci, ja, wojownik, którego serce niełatwo trwodze ulega, drżałem, jak mały ptaszek, kiedy chowa się w gąszczu od drapieżnego jastrzębia... Tych ludzi, Anakaono, i ich pioruny wytępić muszę, bo oni całą Haiti zawiadną, a wtedy już ja nic znaczyć nie będę, guamikuiną nigdy nie zostanę i, jak dobrze śpiewał stary Tikui, który im także nie dowierza, zginie Haiti, lub w haniebną niewolę pójdzie.

— A co cię to obchodzi, Kaonabo? — rzekła Anakaona dźwięcznym i miłym głosem, kołyszając się w hamaku. — Skoro ty sam chcesz powoli wszystkich kacyków ich ziem i władzy pozbawić, wszystkich ludzi na Haiti w niewolę obrócić, być jedynym guamikuiną nad Kuiskueją?

Mówiąc, uśmiechała się grubemi, czerwonemi, lecz bardzo zgrabnie wykrojonemi wargami, a z oczu jej strzelały jakieś płomyki szydercze, z których przeglądała niby niechęć tajona.

Kaonabo wyprostował się i dumnie odpowiedział:

— Obchodzi mię to, bo duża, drapieżna ryba, co nieraz ludzi pożera, nie lubi, aby inne ryby z nią razem polowały... Mało to im innych wysp, tym

Hiszpanom, jak sami siebie nazywają... Tu przyplnęli... na moją zdobycz czyhają... Ale zobaczmy.

— Kaonabo, — pytała Anakaona — ludzie mówią, że ci biali są hojni, dobrzy i mądrzy... Czy to prawda?

— Hojni są, — odparł — bo bardzo bogaci... Dobrzy? To nie wojownika cnota, a oni wojownikami są, to im z oczu patrzy... Czy mądrzy? Pytasz... Hm... Wiedzą oni rzeczy nadzwyczajne, o których nam nie śniło się nawet... to prawda... Choćby te ich pioruny i błyszczące miecze... Ale są lekko-myślni, nieostrożni, no, i już przekonałem się, że wodza swego nie słuchają... Anakaono, to ich zgubi, to zrobi, że ja ich zwalczę.

Anakaona podniosła się trochę na hamaku i, przymrużając duże, czarne oczy pół-zalotnie, pół chytrze, rzekła:

— Kaonabo, bądź ostrożny... a jeśli oni naprawdę z nieba tu spłynęli, lub też przylecieli na tych ogromnych, białych skrzydłach, którymi latają ich łodzie, bo żywe są, jak mówią ludzie... Narazisz się wszystkim Zemi i wielkiemu Duchowi, a jeśli ich guamikuina, ten stary, taki dobry i taki mądry, jak o nim wszyscy mówią, powróci... — zniżyła głos i, przenikliwie patrząc na męża mówiła: — powróci z licznymi łodziami skrzydlatymi, a na nich dużo piorunów przywiezie i wielu, wielu

białych ludzi uzbrojonych w płomienistą, jak błyskawica, broń, taką twardą i ostrą?

— Przez wielkie wody przepłynąć można. — odpowiedział Kaonabo powoli i z namysłem. — Przecież oni przepłynęli, ale to ciągle udawać się nie może. Dwa razy przepłynąć trudniej, niż raz, a coś dopiero trzy razy... Stary guamikuina, którego Guakanagari nazywa almirante, już nie powróci. — zamyślił się, a po chwili, z błyskiem silnej woli w oczach zawołał: — A zresztą... niech powraca... już ani wielkiego domu, ani ludzi swoich nie znajdzie!... Jego samego tenże los spotka... ja ich wszystkich będą tępił...

Rozumny, lecz zimno-okrutny uśmiech oświecił jego piękną, surową twarz, pochylił się ku żonie i szeptem prawie rzekł: -

— I źle i dobrze, Anakaono, że oni przyptnęli. Źle, bo przybyło nowe niebezpieczeństwo, nowe trudy, które mię oddalą od celu mego... Dobrze, bo gdzie jest walka i niebezpieczeństwo, tam potrzebny będzie Kaonabo, waleczny Karaib... Anakaono, gdzie jest wojna, tam nie może być bez wodza... jutro wódz bohaterem będzie... a z bohaterów guamikuiny się rodzą... A teraz, jeść mi dawaj, bom głodny... a żywo! — krzyknął rozkazując i legł na miękkim kobiercu z palmowych liści.

Anakaono niechętnie, przeciągając silne, jakby utoczone ze spiżu ramiona brunatne, na których pobrzękiwały bransolety ze złota i muszli, powstała

z hamaku i poszła w kąć chaty przyrządzać jedzenie dla swego męża, a raczej pana... ona, Anakaona, córka kacyków Ksaraguy, gdzie był raj Haiti, wykwintna, mądra Anakaona, poetka Haiti wysokiej, której ten dziki Karaib obiecywał kiedyś, gdy była wolną księżniczką-dziewicą, że służyć jej będzie, władczynię jedyną z niej zrobi, ona, mając setki sług, musi sama, własnoręcznie, dla zaznaczenia władzy jego, jedzenie mu podawać. Z pod długich rzęs czarne, aksamitne źrenice spojrzwały z dziwnym wyrazem na kacyka i poszła piec podpłomyki z kassawy do małego ogniska żarzącego się w kącie wytwornie przybranej chaty, a w rozgrzanem powietrzu południowego skwaru, w ciszy jednostajnie przerywanej ćwierkaniem koników polnych i świerszczy, Kaonabo, strudzony podróżą, drzemał.

Kilka kolibrów o piórkach palących się ogniami rubinów i szmaragdów, burcząc skrzydełkami, spijało słodkie soki z dużych, purpurowych kwiatów powoju, który, oplatając wejście chaty, zarzucał i do wnętrza wiotkie gałązki. Gdzieś, w oddali, szumiał jeden z tych potoków, co wody swe toczył po różnobarwnych głazach i złotodajnych piaskach.

* * *

Prawdę mówił Kaonabo. Hiszpanie wszystko mieli, tylko rozumu im brakło, a raczej rozwagi

hamującej namiętności. Żle się działo w Navidadzie. Woda w rowach wysychała, a do zamulonych nowa nie wpływała. Niepoprawiane, ostrokoły rozchwiewały się i liczne przejścia otwierały się tam, gdzie dostęp powinienby być niemożliwy. Armaty rdzą się pokrywały od wieczornej rosy. Królewską choraągiew, co ze szczytu wieży powiewała, wiatry już szarpać poczynąły, a deszcze i słońce powoli bezbarwną szmatę z niej robiły i przy jej drzewcu, a pod jej cieniem nikt nie stał na warcie i bystrym wzrokiem nie oglądał okolic. Stoki wzgórza zarastały tak wysoką trawą, że liczne zastępy dzikich wojowników mogły, niewidzialne, pod fortecę podpełzać. Załoga otrząsała z siebie nieznośną a potrzebną karność.

Hiszpanie już nie tylko na noc, lecz prawie nigdy do posępnej wieży nie powracali, włócząc się po wsiach, nawet bardzo oddalonych, gdzie, z dniem każdym, coraz zuchwalej i bezczelniej wymagali złota i żywności, nic w zamian nie dając, bo wódz, Diego de Arana, chował w fortecy te wszystkie drobiazgi do handlu zamiennego służące, które mu Kolumb zostawił z poleceniem, aby za nie dostawał złota na rzecz królewskiego skarbu. Nie pomogło, że Guakanagari dał każdemu Hiszpanowi po dwoje dziewcząt, w nadziei, iż to zaspokoi ich erotyczne zachcianki, przeciwnie, rozpoczęły się zaraz kłótnie i bójki, pomiędzy nieokrzesanymi żeglarzami nie umiejącymi panować

nad namiętnościami swemi, skoro na lądzie się znajdowali. Zaczęli traktować zajmowane przez siebie okolice jak kraj podbity i, nieograniczając się grabieżą mienia krajowców, uwodzili ich żony i córki, a nawet gwałtem je porywali uprowadzając w lasy i góry, a tam, codziennie walki z sobą stacjali o względy i posiadanie tych pięknych niewolnic, które miały dla nich jeszcze ten tajemniczy, a tak silny, urok egzotyizmu.

Daremnie Diego de Arana przyzywał podwładnych do porządku w imię poleceń admirała i władzy królewskiej, napróżno tłumaczył, że względy bezpieczeństwa własnego, jeżeli już nie szlachetniejsze pojęcia, powinny ich skłonić przynajmniej do odbywania regularnej i porządnej służby w fortecy, do chronienia się w niej na noc, do zachowania przyjaznych uczuć krajowców, których setki tysięcy otaczają ich w obcym, nieznanym kraju. Odpowiadano mu:

— Co tam krajowcy? To niedołęgi, których każdy z nas, samopas, tysiące rozpędzi... Dość im z rusznicy choćby na wiwat wypalić... wszyscy uciekną. To tchórze skończeni. Niema co robić z nimi ceremonji. Tylko ich kobiety coś warte, ale i te potulne...

Wszystko się rozprzęgało i rozluźniało. Hiszpanie już w niczem nie przypominali, nie tylko wojkowej załogi fortecy, lecz nawet do wolnych a zabiegliwych kolonistów w niczem podobni nie

byli. Zapasy, których admirał zostawił im na kilka miesięcy, zmarnowali i zjedli bardzo rychło, dzieląc się niemi z liczną rzeszą kobiet, któremi otoczeni życie pędzili. Zwłaszcza wino wypili w przyspieszonym tempie, a potem, bardzo za niem tęsknili, nie mogąc przywyknąć ani do pożywienia krajowców, ani też do wyrabianych przez nich napojów przypominających smakiem limonadę lub lekkie piwo.

Nareszcie, po paru miesiącach takiego życia, nadeszło najgorsze, co mogło spotkać to społeczeństwo w zawiązku. Pośród starszyny najprzód niesnaski, a potem, zawiści o władzę wybuchły. Escobedo, Gutierrez i Guevara, niepomi na to, że Aranie już tylko cień władzy pozostał i tego mu pozazdrościli, spiski knować poczęli, buntując załogę przeciw prawowitej władzy, w nadziei, że, skoro Aranę zepchną, ktokolwiek z nich ją obejmie, a każdy myślał, że on tym wybrańcem zostanie. Doszło do tego, że przy Aranie, w fortecy, pozostało tylko dziewięciu ludzi i to uproszonych, obietnicami nagród zjednanych, bo Escobedo, Gutierrez i Guevara, nie zdoławszy zawładnąć fortecą w bitwie, podczas której zginął jeden z Hiszpanów, niejaki Jacomo, postanowili iść w głąb wyspy na poszukiwanie złota, lecz nie dla królewskiego skarbu, a na własną rękę. Ludzie to byli o głowach gorących i lubiący szybko wykonywać swe zamiary.

Napróżno Guakanagari przestrzegał ich, aby

nie opuszczali jego ziem, a zwłaszcza, aby złotodajnych gór Sibao unikali, oni nie wierzyli, przypuszczając, że kacyk zazdrosny jest o złoto. Zjednawszy sobie kilku stronników, którzy, z powodu nieudanego spisku o zawładnięcie Navidadem, musieli głowy swe chronić i zabrawszy z sobą dużo kobiet, ruszyli.

Idąc ścieżkami, które łączyły Marien z Maguaną lub odpoczywając podczas upału południowych godzin, gwarzyli pomiędzy sobą i roili o niezmiernych, bajecznych bogactwach, które zdobędą w górach Sibao, a po nie nawet schylać się sami zmuszeni nie będą, bo trud ten za nich poniosą towarzyszący im Indjanie, prawie siłą przez nich do tej wyprawy zmuszeni, gdyż obawiali się oni słynnego a srogiego kacyka Maguany.

Po kilku dniach podróży, wkroczyli na ziemię Kaonaba i długo na wieści o nim nie czekali. Na krótko przed zachodem słońca, kiedy szli przez lesisty wąwóz i, ufni w mniemane tchórzostwo krajowców, nawet w tem niebezpiecznym miejscu żadnych ostrożności wojennego pochodu nie zachowali, ozwały się nagle w półmroku, co już zaczynał puszczyć ogarniać, ogłuszające wrzaski i z gąszczów posypał się grad strzał i dzirytów, a w chwilę potem, na ranionych już ostrzami rybich ości, rzucili się wojownicy Kaonaba, z nim samym na czele.

Padli Hiszpanie pod ciosami drewnianych ma-

czug i dzid, nie zdoławszy nawet mieczów dobyć. Gdy Gutierrez, Escobedo i inni życiem płacili za swą lekkomyślność, Hernando de Guevara, oszczędzony przez strzały, oparł się o gruby, niezmiernie rozrosły pień drzewa tak, że od tyłu zupełnie był zasłonięty i, dobywszy miecza, bronił się zaciekle, wielkie spustoszenia czyniąc pośród nagich i źle uzbrojonych nieprzyjaciół. Pomimo, iż był w podróży i że we dnie panowały upały, on, przyzwyczajony do wojennych przygód, zachował na sobie niektóre części zbroi, co mu ogromną przewagę dawało wobec ciężkiej wprawdzie, lecz tępej broni krajowców.

Długim, prostym mieczem zakreślał przed sobą krąg migocący błyskawicą stali, a Haitianie, mrużąc oczy, patrzyli na nieznanne zjawisko i wrzaskiem zgrozy witali każdą nową a straszliwą ranę towarzyszący zadana przez czarodziejską, niezwyciężoną broń. Już kilka trupów brunatnych leżało u stóp małego wzgórza, na które Hernando się schronił, wielu rannych uciekało, wyjąc z rozpaczony na widok ogromnych kawałów ciała odwalonych ciężkimi toledańskiej klingi i krwi, co strugami płynęła z tych szeroko rozwartych ran.

Widząc to, Kaonabo skinął ku nacierającym, aby odstąpili i sam, uzbrojony w ciężki miecz drewniany, którego szerokie ostrze nabijane było ostremi zębami rybiemi, do walki stanął, ufny w tę ulubioną broń Karaibów. Miał nadzieję, że zgru-

choce, tą maczugą, cienką klingę błyskawiczną. Po rozkazującym głosie, po wspaniałej postawie i malowidłach okrywających ciało tego nowego przeciwnika poznał Hernando, iż z wodzem ma do czynienia. Zaprzestał wywijać młyńca, korzystając z chwilowej zwłoki w boju i wypoczywał, podczas gdy Kaonabo podchodził ku niemu powoli, przypatrując się pilnie tak nowemu dla siebie zapaśnikowi.

Hernando stał oparty o pień palmy; w czasie uprzedniej walki, duży sombrero hiszpański spadł mu z głowy okrytej teraz tylko falą płowych, złotych włosów, których zwoje spadały na błyszczący błękitnawemi błyskami ryngraf stalowy u szyi zapięty, lekka, drucziana misiurka saraceńska okrywała jego rozrośnięty, silny a gibki tułów. W wyciągniętem przed siebie i wzniesionem ręku trzymał miecz i zasłaniał się nim, a z nad ramienia patrzył dumnie i bystro w groźną, do boju umalowaną twarz przeciwnika, w oczach którego, obok nienawiści, już widniał zachwyt dla tego wspaniałego a nieustraszonego rycerza, który sam jeden, zdala od swoich, gotował się do śmiertelnej walki. Bo zaprawdę, piękny i dziwny widok przedstawiał Hernando, w tej chwili, w godzinie tego pierwszego boju, w nowej, nieznannej, a tak odmiennej krainie, z tak dziwacznie i dziko wyglądającymi wrogami, w górskiej, podzwrotnikowej puszczy, otoczony bujną jej roślinnością o liściach

szerokich, o purpurowych kwiatach olbrzymich i długich ostrzach koleców, iż, w rzeczy samej, mógł wydać się krajowcom snem a nie rzeczywistością, jakimś rycerzem półbogiem, który z nieba tu zleciał. Przez myśl Kaonabie przeleciało, iż może naprawdę to nie jest człowiek z krwi i kości, takim nimbem złotawym płowe włosy głowę jego otaczały, tak nieugięte męstwo z twarzy mu biło, tyle bogactwa lśniło na jego zolbrzymiałej, w chwili boju, postaci.

Lecz nie nadprzyrodzone strachy mogły Karaiba - zdobywcę od walki powstrzymać, do odwrotu zmusić. Podziwiał i szanować zaczynał walczność przeciwnika, ale idąc ku niemu powoli i upatrując gdzie najprzód uderzyć, jak natrzeć, szeptał:

— Och!... Takiego zabić... jakże bardzo pragnę...

Po swojemu wyrażał wszechludzką żądzę: nowy liść wawrzynu wpleść do wieńca zwycięstw, który już jego skronie otaczał.

I nagle, skokiem dzikiego kota runął na przeciwnika, a jego miecz drewniany z ogromnym rozmachem leciał na głowę Hernanda. Ów silnym ruchem pchnął w górę stalową klingę na spotkanie drewnianej broni i stała się rzecz na Haiti dotąd niesłyszana i niewidziana: Ciężki miecz palmowy rozpadł się na dwie części, z których krótsza, marny już tylko trzonek, pozostała w ręku kacyka,

i, w mgnieniu oka, cienka, niewidzialna prawie klinga błysnęła bladym płomykiem, a jej koniec drasnął bezbronne ramię. Cofnął się Kaonabo. Oczy jego, okolone czarną obwódką, złowrogo z ukosa na Hiszpana spojrzwały i głuchym głosem zawołał na swoich:

— Nową maczugę podajcie!... Drugą maczugę!

I znowu natarł. Lecz i tym razem broń jego odepchnięta została nieznacznym ruchem garści szermierza, bez dostrzegalnego, z jego strony, wysiłku, a gdy maczuga w bok odskakiwała, zimna błyskawica stali znowu dotknęła, tym razem, policzka, Kaonaba. Ów, krwią zlany, wściekły, rzucił się jeszcze, a miecz Hernanda, ześlizgując się po twardej drzewie, głęboko wżarł się w udo Karaiba. Kaonabo osłupiał. Na bój mu to jeszcze nie wyglądało, a oto już trzykrotnie ranny, krwią zlany, gdy ani kropla potu nie zwilża jeszcze tak wroga, jak i jego czoła. Zgrzygnął zębami, w tył odskoczył i krzyknął:

— Ta baba Guakanagari jużby mówił, że to syn Tureyu!... Ale zobaczmy... Hej! Wojownicy! Hurtem na niego... bo on płomień, a nie broń ma w ręku!

Runęła na Hernanda nawała, a on znów się otoczył błyskającym kołem. Znów wrzaski, wycia zgrozy i bólu rozległy się w ciszy wieczoru.

Hernando już teraz sił nie szanował, widział, że chwila groźna i szafował niemi, zakreślał

potężnego młyńca, aż powiew od niego wiejący muskał ciemne czoła napastników, płatał, rąbał i straszliwe w skutkach pchnięcia hojnie rozdawał. Przypominała rogata dusza jego bohaterskie boje pod Kordową, u wrót Granady, na berberyjskich wybrzeżach i szalone zuchwalstwem abordaże galer na rozhukanych falach, u skał sycylijskich i pod urokiem tych wspomnień miecz w rękę jego lśnił się, błyskał, wił się, raził ostrzem i sztychem, a zbyt blisko cisnących się ogłuszał straszliwym ciosem rękojeści, co, jak obuch topora, miażdżyła czaszki, wykrzywiła szczęki. Wśród zamieszania, Kaonabo, który w pierwszym szeregu nacierał, znów ranny został, aż nareszcie cofnęli się Haitianie, pomimo iż mężny Karaib do boju ich zagrzewał:

— Nie dawać folgi! Napadać! Zmęczy się! Już pot mu z czoła spływał!

— Syn nieba! — krzyczano w odpowiedzi. — Nie nam z nim walczyć! To syn nieba!

Niektórzy na twarz padali przed Hernandem, hołd mu oddając. Kaonabo, widząc, że wszyscy odstąpili o kilkanaście kroków od Hiszpana, zawołał:

— Łuk mi dajcie i strzały niezatrute! Żywcem chcę dostać... straszego wojownika!

Znowu kilka trupów i wielu ciężko rannych staczało się ze wzgórek. Kaonabo napiął łuk i puścił pierwszą strzałę, lecz ręka, drżąca od wysilenia boju, zawiodła: strzała uwięzła w drzewie nad głową

Hernanda. Ów szyderczo uśmiechnął się. Kacyk skoczył, z wściekłości wiznął i zaczął puszczać strzałę za strzałą, a im większy gniew go ogarniał, tem mniej celnie strzelał. Wprawdzie niejedyn pocisk, wprawnym okiem kierowany, dosięgnął celu, lecz rybie ości łamały się o hartowne a sprężyste ogniwa misiurki, tych zaś, co miały twarzy dosięgnąć, zręcznym, nieznacznym ruchem głowy Hernando unikał. Już dużo strzał wypuścił szalejący z gniewu Karaib, a młody Hiszpan stał ciągle i ledwie cienka struga krwi od nieznacznego draśnięcia po twarzy mu spływała.

Zmęczony, Kaonabo cisnął łuk o ziemię i rozkazał swoim, aby, wszyscy razem, chmurą strzał zasypali niezwyciężonego przeciwnika, a w sercu jego rósł podziw i w cześć dla nadludzkiego rycerza zmieniał się. Jednakże grad pocisków swoje robił. Hernando coraz więcej ran otrzymywał, gdzie ciało nie było okryte zbroją pióra strzał sterczały, a niektóre głęboko uwięzły. Krew coraz obficiej z młodego rycerza płynęła. Różowe jego policzki bładły, pałające oczy mętniały. Podniósł prawą rękę i powoli przeżegnał się, szepcząc:

— Santa Maria... święta dziewico, otocz mię opieką swoją... Boże, przyjm ducha mego...

Widząc ten ruch ust rycerza, Kaonabo pomyślał, że się on poddaje. Kazał zaprzestać strzelania i odwiecznym obyczajem przodków, wzięwszy w rękę powróż, szedł wiązać jeńca. Lecz, gdy

zbliżył się, ów, widząc co go czeka, wznosił miecz i sił ostatkiem potrząsał nim, tak groźnie na przeciwnika patrząc, iż Kaonabo, cofnąwszy się, znowu strzelać rozkazał.

Gdy Maguańczycy wszyscy razem strzały wypuścili i gotowali się znów łuki napinać, silniej tym razem raniony, Hernando zbladł bardzo i tak wymownie spojrział na Kaonaba, tyle pogardy w to spojrzenie przelał, że ów głosem i ręką powstrzymał nową salwę. W tej chwili, osłabiony upływem krwi, Hernando runął na ziemię i przytomność stracił. Wojownicy chcieli się rzucić ku niemu i dobić, lecz Kaonabo groźnym okrzykiem ich wstrzymał, sam podszedł do leżącego i szepnął:

— Wielki... wielki wojownik... Nigdy jeszcze takiego nie widziałem. Cóż, kiedy nie ja go zabiłem. — Kiwał głową i myślał, aż rzekł: — Żle będzie z wyspą, jeśli oni wszyscy tacy... Biada wyspie, na którą tacy napadną. — a zwracając się ku swoim, rozkazał: — Sześciu ludzi zanieście go na noszach do Maguany. Jeśli żyje, to moim jeńcem będzie, a jeśli umarł, to go pogrzebiemy jak wojownika. Wart tego... On mój brat, jak gdyby rodem był z Turukejry... Ranni do domu, a reszta za mną, pod wysoki dom białych ludzi! — a spruwając szyki, mruzczał: — Że ten taki, to przeto rąk nie opuszczę... Naprzód!

XV.

Cicho i nieładno było w Nawidadzie. Mieszkał w nim don Diego de Arana z dziewięciu tylko ludźmi załogi, lecz i na nich nie mógł wymóżyć, aby służbę pełnili. Rozpróżniaczeni, udawali że na warcie stoją, lecz, za nadejściem nocy, najczęściej albo zasypiali, lub też uciekali do Guariko, gdzie ich jeszcze mniej posłuszni towarzysze uctwowali po chatach, napełniając dużą wieś odgłosami swych orgi i bachicznych śpiewów.

Dnia tego, gdy wieczór zapadał, Arana ustawił dwóch żołnierzy na warcie u wrót forteczki, przy zwodzonym moście, a trzeciemu rozkazał wejść na szczyt wieży i stamtąd pilnie śledzić za wszystkim co się w bliskości dzieje. O północy, sam miał zbudzić trzech innych i zmienić wartę. Hiszpanie, mruzcąc, udali się na wyznaczone miejsca, lecz zaledwie dowódca obszedł posterunki i na spoczynek się udał, oni opuścili je i, korzystając z otworów, które sami powyłamywali w ostrokołe wieżę otaczającym, wymknęli się do Guariko.

Uszedłszy parę set kroków, kiedy wchodzili na ścieżkę wijącą się w gęstych zaroślach, dzielących Navidad od wsi, nagle, wszyscy trzej jednocześnie padli na ziemię, schwytani i obaleni niewidzialnymi rękami, które ścisnęły im gardła tak, że nawet krzyknąć nie mogli. W ciszy wieczoru, ozwały się stłumione odgłosy krótkiej walki: sapanie, rżenie, ciche jęki, potem, kilka głuchych uderzeń maczugami i znowu majestatyczny spokój nocy oświetlonej niewyraźnymi blaskami gwiazdzistego nieba bezpodzielnie zapanował... pozorną-to była cisza, bo jednak, wprawne ucho pilnie swój obowiązek spełniającego wartownika dosłyszałoby może jakichś podejrzanych szmerów, oko myśliwca dojrzałoby fałszywego ruchu traw porastających stoki wzgórz, na którym wznosiła się forteca hiszpańska, pomimo iż najmniejszy powiew wiatru nie poruszał ciepłego, miękkiego powietrza podzwrotnikowej nocy wilgocią rosy przepojonego. Szerokim kołem, wokół fortecy, kołysały się wysokie, kłosisiste trawy i pachnące, kwieciste zioła. Koło zwężało się coraz bardziej. Ruch na chwilę ustał, a to, kiedy ozwało się ciche skrzeczenie, niby ze snu zbudzonej, czuwono zielonej papugi.

Kaonabo nasłuchiwał, zachowując wszystkie ostrożności dzięki wojny Karaibów. Nie wiedział z jak słabym i nieopatrznym przeciwnikiem ma do czynienia, a pamiętał o zacieklej obronie Hermanda de Guevary i o strasznych cięciach miecza-

plomienia. Gwiznął, naśladowując głos nocnego śpiewaka, co był ze służki Wagoniony w ptaszka przemieniony. Kilkaset brunatnych cieniów wynurzyło się z traw i do fosy otaczającej fortecę weszło. Cicho, przez błoto w niej gnijące, przepętlili i, jak mary nocne, Maguańczycy wdrapywali się na ostrokół, lub przeciskali się przez szpary pomiędzy rozchwianymi palami ziejące. Rozpętlili się po ciasnym podwórzu. Do wieży, milczkiem, mnóstwo ich wcisnęło się. Śpiących w dolnej izbie sześciu Hiszpanów dzidami zakłóli, a gdy Kaonabo po schodach wszedł na piętro, gdzie spoczywał Arana, ów, zerwawszy się z posłania, pół nagi i rozespany, porwał wprawdzie za miecz, lecz nie mógł w ciasnym miejscu skutecznie się bronić i, zanim zdołał zasłonić się mieczem, padł przekłóty dzidą kacyka, który potężnymi dłońmi zadusił ciężko rannego.

Maguańczycy, splądrowawszy całą wieżę i uniósłszy z niej wszystko, co zabrać mogli, podpalili ją w kilku miejscach, a gdy płomienie buchnęły, oświetlając zatokę i lasy luną dotąd nigdy jeszcze w spokojnej Haiti niewidzianą, Kaonabo powiódł na Guariko swoich wojowników, którzy bieгли, wyjąc bojowym okrzykiem, co go się od wodza nauczyli.

Dobiegając do wsi, rozdzielili się na dwa oddziały, z których każdy poszedł w przeciwną stronę, aby wokół otoczyć stolicę Marienu. Guakanagari, zbudzony krzykiem i wrzawą boju, co już się toczył

po ulicach i wśród gajów otaczających chaty, zaskoczony zniemacka, zebrał garść ludzi i, chcąc bronić Hiszpanów, wierny danej obietnicy Kolumbowi, zaszedł drogę Kaonabowi.

— Słuchaj, Guakanagari! — krzyknął Karaib. — Ja nie przeciw tobie idę, a tylko białych ludzi tępię... Spaliłem ich dom wysoki i wodza zabiłem... Nie broń ich! Wydaj mi tych, którzy Guariko hańbią, a nic ci się nie stanie... Guakanagari, kacyku Marienu, wyniszczyc ich trzeba, bo oni nas wszystkich powrozami skrepują.

— Kaonabo, — rzekł z żalem w głosie Guakanagari — obiecałem dobremu i wspaniałemu guamikuinie o białych włosach, że żywić będę sługi jego i bronić wysokiego domu, a tymczasem... patrz coś zrobił.

I wskazał ręką na płonący Navidad, gdzie teraz, pożar w całej pełni gorzał.

— Dobrze zrobiłem. — rzekł Kaonabo. — Niech ginie to gniazdo przybłędów!

— To goście nie przybędą! Goście, którzy nam mądrość, bogactwo i szczęście przynoszą... Słuchaj, Kaonabo, wiesz, że ja boju nie lubię... nie zmuszaj mię do niego. Zaniechaj białych, którzy w mojej stolicy mieszkają i niech pokój między nami będzie. Ty masz niewielu wojowników, a ja licznych zebrać mogę.

— Nie boję się twoich wojowników. — dumnie odpowiedział Karaib. — Powiadasz, że mądrość

i szczęście nam od białych przyjdą... a przecie masz już próbki tej mądrości i tego szczęścia: rabunek, bijatyki, gwałty i kłótnie. Oni rychło twoje żony hańbić będą, jak hańbią żony i córki podwładnych twoich. Oni cię z domu twojego wyrzucą... Zobaczysz, małoduszny kacyku!

— Bo białowłosego almirante niema... Ale on powróci. On mi to obiecał, a wtedy, będzie spokój i porządek; nauczy nas tego, co w jego kraju niebieskim ludzie umieją... On nas od Karaibów obroni...

— Guakanagari, co mówisz? Pomyśl. Wąż od drapieżnych ptaków obroni... to chyba po to, by sam śmiertelnie ukąsił.

— To nieprawda! — wołał Guakanagari, rozdrażniony, że jego bóstwo do węża porównano. — To ty jesteś wąż, co w nocy podle zabija uspio-nych!

Kaonabo cierpliwy nie był. Gniew gorącym warem do głowy mu uderzył, dumnie wyprostował się, pióropusz, niby czub ptasi, zjeżył się na jego głowie i krzyknął gwałtownie:

— A ty jesteś gnuśna gęś łatwowierna... albo...

— Kaonabo, nie powiadaj rzeczy głupich... Milcz raczej...

— Albo zdrajca! — krzyczał dalej Karaib. — Ty chcesz całą wyspę sprzedać tym napastnikom! A ze mną takiś zuchwały, bo na swoich śmieciach stoisz!

— A tak! Na swoich... bo nocami nie włóczę się po to, aby kraść mienie śpiących, a ich samych zabijać... jak ty to robisz!

— Czekaj! — wołał Kaonabo, pieniać się z gniewu. — Jutro Marien moim będzie!

— Jeśli żyw stąd wyjdiesz, niemy psie karaibski!

— Broń się, niedołączna babo! — wrzasnął napastnik i rzucił się na krewniaka.

W pierwszych już złozeniach, ciężki, tępy miecz Kaonaba powalił przeciwnika, raniąc go boleśnie w nogę. Wojownicy z Guariko, którzy coraz liczniej nadbiegali na odgłos kłótni, a potem walki, co się zaraz zawiązała gdy wodzowie bój rozpoczęli, podchwycili swego kacyka i, zasłaniając go od Kaonaba, unieśli i skryli się z nim w lasach. Tymczasem, już pożar ogarniał Guariko, gdzie bez miłosierdzia mordowano Hiszpanów i broniących ich krajowców. Chaty, z palików drewnianych sklecone, nakryte suchymi liśćmi palmowemi, płonęły z przerażającą szybkością tak, iż wkrótce, Guariko jak sfalowane morze ognia wyglądało. Wrzaski gniewu, odgłosy boju, wołania rozpacz i jęki ranionych wypełniły piękną dolinę lesistemi wzgórzami otoczoną. Ku zatoce, po której dotąd pływały łodzie, wożąc śpiewające dziewczęta kwiatami uwieńczone, biegli przerażeni mieszkańcy Guariko, chroniąc się na łodzie i pragnąc ratować bezbronnych, niespodzianie zaskoczonych Hiszpa-

nów. Niewaleczni Marienczycy, pozbawieni wodza w dodatku, wszędzie pierzchali przed wyćwiczonymi do boju, przez Kaonaba, Maguańczykami.

Kilku Hiszpanów, ocaliwszy się z rzezi, co we wsi miała miejsce, uchodziło ku morzu, wskoczyli oni do łodzi i, odbiwszy pośpiesznie od brzegu, odpływali, lecz kilkunastu Karaibów z przybocznej gwardji Kaonaba, dostrzegłszy ich, rzuciło się wpław za nimi, a dopadłszy łodzi, z niezmierną walecznością, pomimo, że Hiszpanie razili ich wiosłami, a niektórzy — i mieczami, które w ucieczce unieść ze sobą zdołali, wdarli się do niej i tam, wymordowali nienawistnych białych.

Kaonabo, widząc że w Guariko już nic więcej do czynienia nie ma, strąbił swoich wojowników karaibską konchą i powiódł ich z powrotem do Navidadu, aby dokończyć dzieła zniszczenia. Wojący kacyka-polityka, jedyne go na Haiti, który, instynktem wiedziony, trafił na jedynie możebny sposób wybawienia wyspy od groźnych najeźdźców, składali niedopalone belki na stopy, podniecając ogień, sklepienie rozrzućili, ostrokoły przewrócili i spalili, fosę zasypali, trupy Hiszpanów obok fortecy zakopali i, dopiero zrównawszy z ziemią tę pierwszą osadę ludów Europy w Nowym Świecie, odeszli z powrotem do Maguany.

Poranek zaświtał nad zgłiszczami i pustką. Guakanagari, ranny, uszedł w lasy. Mieszkańcy spalonego do tła Guariko rozbiegli się po okoli-

cznych wsiach. Z trzydziestu dziewięciu ludzi, pozostawionych przez Kolumba w Navidadzie, żywym pozostał tylko jeden Hernando de Guevara, a i on okryty ranami, śmiertelnie osłabiony upływem krwi.

Kaonabo, idąc sprężystym krokiem dzikiego wojownika przez bujne puszcze wyspy, którą chciał dla siebie zdobyć i bronił jej waleczniej, niż to robili rodowici jej synowie, dumnie mówił do podwładnych:

— Tak zrobię i temu almirante, jak go nazywa Guakanagari zdrajca... Niech tylko ośmieli się powrócić. Zapomną oni drogi, co do Haiti wiesz... Haiti, to moja wyspa!

* * *

Powróciwszy do Maguany, Kaonabo zastał jeńca swojego, Hernanda, nie tylko żywym, lecz nawet z ran już prawie wygojonym, wówczas, gdy te, które on w boju z nim otrzymał, źle opatrzone, w ciepłym i wilgotnym klimacie Haiti, w trudach pochodu i wojny, jątrzyły się i mocno mu dolegały. Dało mu to do myślenia. Wszak Karaibowie umieli ostrza swoich strzał zatruci, powziął więc podejrzenie, że miecz Hiszpana był także zatruty. Zaniepokoiło go to, nie dlatego, aby obawiał się śmierci, gdyż zanadto był rycerzem na to, lecz z powodu, że plany jego nie były jeszcze urzeczywistnione. Wyspą jeszcze nie zawładnął, ani

dla siebie, ani też dla dynastji swojej, bo z Ana-kaony, pochodzącej z rodu kacyków, miał tylko córkę, trzynastoletnią Higuenamotę i dotąd daremnie oczekiwał syna. W razie więc śmierci jego, rządy nad Maguaną, według obyczajów na Haiti panujących, przeszłyby w ręce męża Higuenamoty, albo wróciłyby do olbrzyma Kotabanamy, w osobie dawnego jego lennika, zrzuconego z tronu Guaory. W najlepszym więc razie, krew jego, przez kobiety, utrzymałaby się w książęcej godności a nie w panowaniu nad całą wyspą, lecz tylko przy szczupłym dziedzictwie jednej Maguany.

Czuł w sobie, że tylko on potrafi siłą i przebiegłością zjednoczyć pod jedno berło udzielne księstwa wyspy, a gorąco pragnął dzieła tego dokonać i móż synowi, a nie zięciowi, tak wspa-niałe dziedzictwo przekazać. W braku jednak syna, postanowił, dla zabezpieczenia przynajmniej częściowo ambitnych zamiarów swoich, wynaleźć dzielnego, po myśli swojej, młodego wojownika i, wy-czekawszy zupełnej dojrzałości Higuenamoty, wydać ją za niego. Daremnie jednak rozglądał się po rodzinach kacyków haitiańskich, synowie których, rozpieszczeni łatwym życiem na żyznej ziemi i w cudownym klimacie, zniewieściali wśród stale panującego pokoju na Haiti, gdzie nawet myśliwstwo nie przedstawiało żadnego pola do rozwinięcia dzielności i męstwa, gdyż wcale drapieżnych zwierząt nie było, czas trawili na miłostkach, tańcach

i śpiewach, wyżej ceniąc to życie bez trosk, nad wszelkie chęci wywyższenia się, które bardzo słaby, albo i żadnego oddźwięku w ich umysłach nie miały.

Nieznający trwogi Kaonabo drżał więc na myśl, że miecz Hernanda zatruty jest i o powolną śmierć go przyprawi, a z nim razem umrze ukochane jego marzenie, wielkie dzieło, któremu całe życie poświęcił.

Mieszkańcy Maguany z radością i pokorą przyjęli powracającego ze zwycięskiej wyprawy kacyka. Wielka uczta napełniła gaje stolicy dźwiękiem bębnow i śpiewami. Anakaona, niesiona w ozdobnej lektyce, uwieńczona kwiatami, spotkała męża i pana daleko przed opłotkami wsi i śpiewała przez siebie ułożone uroczyste areyta, lecz gdy według zwyczaju, wyliczała ilość zabitych przez niego wrogów, głos jej drżał litością i jakąś dziwną tęsknotą, bo Anakaona, gdy przyniesiono do Maguany rannego Hernanda, ujrzała nareszcie jednego z tych nadzwyczajnych cudzoziemców, o których słysząc od kilku miesięcy cudowne wieści, śniła o nich, a w bujnej swej wyobraźni poetki zdobiła ich całą wyższością duchową, przeczuwaną przez jej wrażliwą, wykwintną duszę.

Hernando de Guevara, leżący na noszach, ogromny, w połyskliwą jak skóra węża zbroję odziany, ze zwieszającymi się zwojami płowych włosów, a taki bladej, z takim pałającym ogniem gorączki

w dużych oczach o rozszerzonych źrenicach, wydał się jej naprawdę jakimś zjawiskiem, z innych światów przybyszem.

Niezmierna ciekawość, zachwyt i prawie cześć dla niego zmieniały się kolejno w jej umyśle, tak usposobionym do przyjęcia wszelkiej wiedzy, a tak mało wiedzącym. Wojownicy, co go przynieśli, cuda opowiadali o jego nadludzkiem męstwie, o straszliwej sile, którą, jak mówili, poraził setki ich towarzyszy. Poranieni przez niego rozeszli się po swoich wioskach i to samo opowiadali. Wokoło rycerza o złotych włosach już rosła legenda. A gdy Hernando, wskutek troskliwej opieki Anakaony i jej młodziutkiej, lecz już dojrzewającej, pod płomieniem słońcem, córki, Higuenamoty, począł rychło do zdrowia powracać i, widząc u swego łoża te śliczne perły Haiti, uczuł, że w jego chłodnej duszy zdobywcy budzi się trubadur, który, nieraz, pomiędzy bitwą na lądzie a morskim bojem, układał tęskne seguedillas pięknym Kastyljankom, Andaluzijkom, a nawet, machnąwszy ręką na religijne przesady, i przepięknym Maurytankom także; wtedy, zaczął witać swe opiekunki z wytworną grzecznością kastylskiego caballera czystej sangre azul, opowiadać im o cudach Europy, o życiu barwnem, ruchliwym, pełnem bohaterstwa i miłości, wielkich czynów wojennych i poezji szczytnej, a mówił to wszystko w mało jeszcze sobie znanej mowie Haitian, szukając wyrazów i wymawiając je z mięk-

kim, szepleniącym akcentem. Wówczas, topniały serca młodej matki i ślicznej córki, które znały tylko szczęśliwe lecz jednostajne życie swej wyspy.

Nie zdołał jeszcze Kaonabo z wyprawy powrócić, kiedy, pewnego wieczoru, gdy obie siedziały przy hamaku, w którym leżał osłabiony jeszcze Hernando i, przygrywając na mandolinie, co ją zwykł zawsze mieć przy sobie, śpiewał im melodyjną a tkliwą, bohatersko-miłosną romanzę, one spojrzały na siebie dziwnie, z czarnych, jak aksamit mieniących się oczu, trysnęły palące iskry zazdrości, a jasno-brunatne lica przybladły pod tchnieniem potężnej namiętności, podczas gdy śpiewak z innego świata, lecz te same wszechludzkie uczucia opiewający, wodził zuchwałemi, rozkochanemi oczyma po nagich, pięknych słuchaczkach, sam nie wiedząc, czy je zatrzymać na złotym kwiecie Ksaraguy, czy też na pączku obiecującym jeszcze rozkoszniejszy od tamtego kwiat.

Wypocząwszy po trudach wojennej wyprawy i upojeniach owacyjnej uczt, Kaonabo wszedł do chaty, gdzie mieszkał jeniec, usiadł na niskim stołku i do leżącego na matach z palmowych liści utkanych, po dłuższej chwili milczenia, w czasie której przyrządził sobie zwitek tytoniowych liści, rzekł:

— Nie wszyscy biali ludzie są takimi, jak ty, wojownikami. Widocznie i pomiędzy wami są różni. Wszystkich zabiłem... sam jeden swego plemienia zostałeś na Haiti...

Mówiąc, zapalał żarzącym węglem, z tlejącego ogniska wziętym, zwitek liści tytoniu i nozdrzami wciągał wonny dym, od którego Hernando krztusił się, a z ukosa śledził za wyrazem jego twarzy. Widząc jednak, że ów niedokładnie rozumie, mimiką uzupełniał swe opowiadanie:

— Ani jeden żyw nie został... — tłumaczył, robiąc gesty naśladujące cięcia po szyi i kłócia w piersi, poczem, oczami przewracał i schylał głowę, udając konanie zabitego. — I to dobrze... tak zrobię z każdym białym, co na Haiti wyląduje. Tenże los i waszego almirante czeka, jeśliby powrócił.

Hernando, widząc ukośne spojrzenia groźnego kacyka, zmiarkował, że on bada wrażenia, jakie ta wieść na nim robi, i chociaż przeraziła go ona tak, iż zadygotał wewnątrz, udawał obojętność. Patrzył dumnie na Kaonaba, nie pokazując po sobie tego co odczuwa. Kaonabo długo milczał, rozkoszując dymem tytoniu, aż znowu odezwał się:

— Namyślam się co z tobą zrobić... rozumiesz? — i gestami tłumaczył słowa. — Czy uśmiercić ciebie, za czem przemawiałoby zuchwałstwo waszego najazdu na moją wyspę, czy też rozkazać ci abyś wiosłował na mojej łodzi, lub w moim ogrodzie jukę uprawiał, z korzeni, której kobiety kassawę mi przyrządzają — i znowu patrzył z podełba na jeńca, wchłaniając dym przez nozdrza.

— Co wolisz? — po chwili spytał. — Czy zgi-

nać w męczarniach, jak niezłomny wojownik, który niewoli poddać się nie chce, czy też wioskować na moich łodziach?

Hernando, siłąc się na wyszukanie odpowiednich wyrazów haitiańskich, odpowiedział wyniośle:

— W moim kraju, skoro wojownik w moc swoją dostanie walecznego przeciwnika, to go ani zabija, ani też do upadających postug nie zmusza.

— A cóż z nim robi?

— Skoro zabić go w boju nie potrafił, a sam nie uległ także, dzięki swej sile i waleczności, to uznaje w nim równego sobie rycerza i, zawarłszy z nim pokój, lub też zawieszenie broni, puszcza go wolno... Tyś mię nie zmógł, panie złotego domu, ani też ja ciebie, chociaż ranami okryliśmy jeden drugiego. Jeżeli zatem masz duszę rycerską, musisz mię wolno puścić, a jeśli nie chcesz mojej przyjaźni, to się raz jeszcze spróbujemy.

Chociaż Hernando braki mowy dopełniał wymowną mimiką, Kaonabo zrozumiał i rzekł:

— Widzę, że serce dzielnego wojownika wszędzie jest takie same. Oto masz dowód, rycerzu tak waleczny i silny, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem...

Klasnął w dłonie i od wchodzącego sługi wziął naszyjnik z małych, białych kamyków zrobiony, a zbliżając się do Hernanda, zarzucił mu go na szyję.

— Daję ci naszyjnik pokoju i przyjaźni, bo

mieczem ognistym władasz. Więcej ci dać nie mogę, chyba bym imię swoje z tobą zamienił, ale tego nie zrobię, aż cię lepiej poznam, bo nie wiem, czy serce w tobie również dumne i wywyższenia chciwe, jak waleczne. Za to, żem ci dał naszyjnik pokoju, powiedz mi, czy twój miecz, co świeci jak błyskawica, kiedy nad wielką wodą łyśka, nie jest zatruty, bo rany, coś mi nim zadał, goić się nie chcą?

Uśmiechnął się Hernando, odpowiadając:

— Hiszpański rycerz na tak marne i zbrojeckie sztuki nie puszcza się... U nas tylko Maurowie, i to nie wszyscy, zatrują ostrza swoich szyletów i jataganów. Nawet Maur szlachetny brzydzi się tem... robią to najczęściej kobiety szukające pomsty na niewiernych kochankach... Rany swoje, wielki kacyku, powierz złotemu kwiatu Ksaraguy... Jej to lekka ręka moje wygoiła. To też, wielką przyjaźń jej ślubowałem i usługi rycerskie... A w pierwszym boju, — mówił poważnie — który staczać będę, do pancerza przypnę jej barwy, kwiat, który ona dać mi raczy i za jej cześć i na jej chwałę walczyć będę.

Kaonabo, uradowany, że miecz nie był zatruty, słuchał uważnie słów hiszpańskiego rycerza i bystrym umysłem pojąć je starał się. Patrząc na poważną, uroczystą prawie twarz Hernanda, gdy wypowiadał rycerską cześć dla pani swych myśli, częścią przeczuł jej znaczenie, lecz myślał,

że w tem tkwi jakieś pojęcie religijne cudzoziemca. Podobało mu się to bardzo, odczuł w tem coś wzniosłego i, chcąc okazać swe zadowolenie, zrobił zwitek tytoniu i podał go jeńcowi razem z tlejącą drzazgą.

Hernando, pomimo, iż wstręt ucuwał do tego wdychania dymu, pomyślał, że to może jakiś obrzęd pół religijny, nawpół pokojowy i przyjął zwitek, starając się naśladować kacyka, na co ów patrzył z nietajoną przyjemnością, a gdy Hiszpan krztusić się i kaszleć zaczął, a oczy łzami mu zapłynęły, nawet uśmiech zawitał na jego poważną, zwykle prawie groźną twarz. Długie milczenie zapanało w rozgrzanem powietrzu chaty, której dach, prażony prostopadłemi promieniami południowego słońca, żarem do wnętrza buchał, aż Kaonabo znów się odezwał:

— Słuchaj, wielki wojowniku. Skoro ci dałem naszyjnik pokoju, już każdy z nas do drugiego nie mieczem, nie dzidą i strzałą przemawiać będzie, lecz słowami przyjaźni i ufności. Sam jeden już tylko z pomiędzy swoich na mojej wyspie zostałeś i odjechać z niej nie możesz do swego kraju, który leży za wielkimi wodami, bo ja nie wierzę temu, co Guakanagari mówi, że z nieba zlecieliście na białych, dużych skrzydłach. Widziałem, kiedy przed białowłosym kacykiem waszym śpiewałem, że łodzie wasze są z drzewa, a nie z kości, mięsa i piór, jak ptaki, co żywe są. Choć rycerz wielki,

sam jeden będąc, tyś mi nie straszny. Słuchaj... dotąd nie mam syna z Anakaony, kacyków córki. Jeśli do czasu, kiedy deszcze dwa razy do nas powrócą, od strony dokąd słońce ucieka, syn mi się z niej nie urodzi, a ty mi powiesz, jako wojownik, że spełnisz mą wolę, to ja ci oddam Anakaony córkę, Higuenamotę i po mnie kacykiem zostaniesz... całej wyspy, jeśli uda mi się nią załwadać, Maguany tylko — w przeciwnym razie. Lecz jeśli do tego dojdzie, w braku narodzin syna, to, kiedy później, będziesz mię konającego dusił, musisz wówczas powiedzieć wojownika słowo, że póty spokoju mieć nie będziesz, dopóki chytrością, lub mieczem - płomieniem nie podbijesz całej Haiti wysokiej... bo to rzecz, której ja pragnę koniecznie... koniecznie.

Powstał z siedzenia, rzucił o ziemię niedopalony zwitek tytoniu, a z twarzy jego biła namiętna, niepohamowana żądza spełnienia marzeń i celu życia. W oczach Hernanda, gdy patrzył na swego dobroczyńcę, coś zamigotało, jakby wdzięczność zmieszana ze zdziwieniem, lecz chwilę tylko to trwało, bo wkrótce, twarz jego już miała swój zwykły wyraz: dumnej pewności siebie, połączonej z pewnem szyderstwem dla otoczenia.

Kaonabo, stojąc przed Hernandem, mówił dalej powoli i wyraźnie, aby być zrozumianym:

— Ja chcę jeszcze jednej rzeczy. Jeśli masz dwa miecze takie, jak ten, którym mnie poraniłeś,

to chcę abyś mi jeden darował... Mógłbym sam wziąć całą broń twoją i ten śliczny bębenek, na którym grasz tak dźwięcznie przed kobietami, ale dałem ci naszyjnik przyjaźni... Czy masz dwa takie miecze? Czy dasz mi jeden?

— Mam — odpowiedział Guevara — i dam.

— Dużo takich mieczów na białych zdobyłem tam, w Guariko, i w wysokim domu, ale chcę mieć taki, którym ty wojowałeś... bo daleko tamtym do ciebie...

— Zaraz ci dam miecz, wielki kacyku, — zawołał Hernando, rad z pełnej naiwnego zachwyty pochwały. Powstał i z pod wiszącego u ściany płaszcza wziął duży, prosty miecz obosieczny, wsunięty w ozdobną, skórą obciągniętą i srebrnymi blachami rzeźbionymi obitą pochwę i dał go Kaonabowi. Ów, z religijnym prawie szacunkiem, przyjął skarb bezcenny i rzekł:

— To dobrze... to bardzo dobrze. Przyjaźń moja jeszcze większa urośnie, jeśli mię nauczysz władać nim tak, jak sam to robisz. Czy nauczysz? A w głosie jego prawie prośba drżała.

— Nauczę... — rzekł Guevara jakimś dziwnym, niby sennym głosem.

— I wojowników moich, karaibskich jeńców... i brata mojego Manikaoteksa nauczysz także?

— Nauczę... — głuchym głosem niewyraźnie odpowiedział Hiszpan.

I nagle, zachwiał się, zbladł strasznie i upadł

na posłanie z palmowych liści. Kaonabo rzucił się ku niemu zdumiony, lecz po chwili, uśmiechnął się i, wychodząc z chaty, a spuszcżając bawełnianą kotarę malowaną, co wejście zasłaniała, mruknął:

— To nic... To tabago.

Hernando, wypaliwszy pierwsze cygaro, którego dotknęły usta Europejczyka, upił się niem i zasnął twardym snem.

XVI.

»Nina« źle płynęła. Zaraz po opuszczeniu zatoki, nad którą widniały świeżo wzniesione ściany Navidadu, kiedy skierowano ją na wschód, wzdłuż brzegów Haiti, napotkano wiatr północno-wschodni. Gdyby użaglenie karawelli było dobre, mogłaby ona, chwytając ukośnie wiatr w żagle i kładąc się na prawy bok, płynąć chyżo, lecz maszty jej i żagle, pośpiesznie zmienione z łańskich, podczas postoju u wysp Kanaryjskich, kiedy flotyla ruszała w nadzwyczajną swą podróż, źle działały, nie dając się ustawić ze ścisłością potrzebną w tak złożonej maszynerji, jaką jest użaglenie statku. To też, »Nina«, po krótkiej a bezskutecznej walce z przeciwnym prawie wiatrem, zmuszona została zawinąć do zatoki zasłoniętej od wschodu przez daleko w morze wychodzący przylądek, który, z daleka, miał kształt wieży połączonej z lądem wązkim pasmem skał.

Zasepiło się oblicze Kolumba. Takie-to żagle

i taki statek, nawpół już spróchniały w ciepłych wodach zwrotnika, miały zanieść wielką wieść do Starego Świata o Nowym i to, przez olbrzymie przestworza i bezdenne głębie jeszcze tak bardzo mało znanego oceanu. Zrozumiał, że śpieszyć należy zanim te wątle deski jeszcze jako tako kupy się trzymają, to też, po dwóch dniach, skoro tylko powiał pomyślniejszy nieco wiatr, admirał okrążył przylądek do wieży podobny, który Monte-Christi nazwał, i tam znowu spotkał wschodni powiew.

Podczas gdy walczyła z nim uporczywie »Nina«, z bocianiego gniazda masztu odezwał się wartownik, że widzi »Pintę« w oddali. Wystrzelono z armaty, wywieszono na maszcie sygnały i wkrótce, Kolumb, uradowany, wyraźnie widział, że »Pinta«, pokryta żaglami, mając wiatr w tył, szybko zbliża się. Nie mogąc jednak dać rady wzmagającemu się w sile wschodniemu powiewowi, kazał nawrócić do zatoki za przylądkiem, gdzie już tyle cennego czasu stracił.

Niedługo potem i »Pinta« zawinęła, zarzucając kotwicę obok »Niny«, a Marcin Pinzon, z dużym uśmiechem wymuszonym na ogorzalej, grubej i do uśmiechów nienawykłej twarzy, wszedł do małej kajuty tylnej na »Ninie«, w której, od czasu rozbicia się »S-ta Marji«, mieszkał Kolumb. Tu, pod niskim pułapem, siedząc na prostych, drewnianych ławach do podłogi i ścian okrętu umocowanych, spotkali się ci dwaj współnicy naj-

większego w dziejach ludzkości przedsięwzięcia żeglarskiego.

Nie byli-to już dawni koledzy, pełni zapału dla wielkiego dzieła odkrycia tajemnicy oceanu, kiedy tysiące niebezpieczeństw i, jak zdawało się, niemożliwości stało pomiędzy ich niezłomną wolą, a celem. Dziś, powodzenie stanęło pomiędzy nimi, a dla Pinzona miało ono postać złota i sławy. Wprawdzie i Kolumb na te dwa kuszące mirażę obojętny nie był, lecz w jego podniosłej duszy, obok nich, stał czarujący obraz wielkiej usługi oddanej ludzkości, rozproszenia mroków, które, dla niej, nawet jej własny dom, przez nią zamieszkaną ziemię czyniły nieznaną, obcą, ciasną.

— Witam was, admirale. — rzekł Pinzon z jakimś fałszywym zgrzytem w swym zwykle szczerym, grubym głosie żeglarza. — Rad jestem, żeśmy się spotkali. Niepogoda i wzburzone morze oddzieliły mię od was... Wszak wiecie, że tylny maszt »Pinty« ledwie się trzyma... a ster, od kiedy go, zaraz po odbiciu z Palos, Gomez Rascon i Christoval Quintero, właściciele »Pinty«, zepsuli, już ciągle, a nawet coraz bardziej niedomaga, pomimo, żeśmy go przy Gomerze poprawili... Hm!... Wiecie przecież? Żeglarz robi co może, ale nie zawsze jego wola górą...

— Tak, tak, — odparł Kolumb, kryjąc swą niechęć i podejrzenia — dla żeglarza szczególnie, fortuna kołem się toczy. Musimy jednak koniecznie

trzymać się kupy. Zbyt cenny ładunek wieziemy, aby nań nadto było dwóch nędznych karawel.

Pinzon podejrzliwie, z podeńbą, spojrział na Kolumba. Zdało mu się, iż on przytyk robi do znacznych ilości złota, które na »Pincie« leżą, a które on zebrał z pomocą handlu, lub rabunku, podczas gdy Kolumb budował fortecę, i zamierzał ukryć je, tak przed Kolumbem, jako też przed królewskim skarbem.

— O jakim to ładunku mówicie? — spytał, przenikliwie patrząc w oczy Kolumbowi. — Chyba na »Ninie« co macie, bo mnie nawet żywności brak.

Kolumb uśmiechnął się pobłaźliwie, odpowiadając:

— Mam wprawdzie trochę złota otrzymanego w darze od kacyków, lub wymienionego u krajowców za paciorki i brzękadła, lecz ja nie o tym ładunku mówię. Jeśli nam nie sądzono dopłynąć do Europy, to może jeszcze stulecia miną, zanim ludzie poznają, że Wschód łączy się z Zachodem, zwłaszcza, iż nasz przykład odstraszy wielu... Pinzonie, my niesiem wielką nowinę... doniosłą w skutkach wieść. Ty, lub ja, jeśli już nie obaj razem, zawieźć ją musimy i dla tego, pomocą jeden drugiemu być powinniśmy.

Pinzon, mający zamiar dostać ile się da złota, a potem, korzystając z tego, że »Pinta«, lepiej użaglona i zbudowana, prędszy chód od »Niny« miała,

wyprzedzić Kolumba i przed nim zanieść wieść o odkryciach do dworu hiszpańskiego, dlatego tylko nadczekiwał na Kolumba i z nim się połączył, że chciał go wy badać o powrotną drogę, gdyż w tem nie był siebie dość pewny. Kiedy więc usłyszał, że Kolumb o wzajemnej pomocy mówi, postanowił z tego wziąć powód do wywiadów i rzekł:

— Tak, tak, admirale, teraz gdy »S-ta Maria« zginęła, musimy koniecznie pomagać sobie wzajem i dlatego też, nieraz trwoga mię przejmuje na myśl, że jeślibyście broń Boże zginęli, to czy ja potrafię »Pintę« doprowadzić do Hiszpanji, a jednak, wówczas, cała nadzieja już tylko na niejby spoczywała. — westchnął przesadnie i znacząco.

Wyraz wewnętrznej walki po twarzy Kolumba przeleciał. On zeznawał słuszność słów Pinzona, lecz mu już nie dowierzał, czuł fałszywą nutę w głosie jego i nie chciał mu dawać wszystkich wskazówek, jakie zebrał, dzięki obszerniejszej swej wiedzy i przyrodzonemu darowi obserwacji zjawisk przyrody, co mu pozwalało z wyglądu nieba i morza, ze stanu powietrza, z lotu ptaków i zachowania się ryb wnioskować o drodze, którą obrać należy, a także i o bliskości lub oddaleniu lądu. Udając zatem zdziwienie, rzekł:

— Jakto? Nie potraficie? Przecież żeglowaliśmy razem, znacie dokładnie odległość dzielącą zachodnie brzegi Europy od wschodnich Azji... Wiecie

na jakiej szerokości płynęliśmy. Dokładne pojęcie macie o tem dziwnem zjawisku uchylania się magnesowej igły od północy i o tem, pod którym stopniem długości ono ukazuje się... Tyleż wiecie, co i ja sam.

Pinzon, stary żeglarz zasobniejszy w odwagę niż w wiedzę, nie lubił jednak nikomu ustąpić pierwszeństwa w zawodzie swoim, nawet przed sobą samym nie chciał przyznać Kolumbowi wyższości w nim nad sobą, lecz, co do żeglugi po tak mało znanym oceanie, czuł swoją wobec niego bezsilność.

— Hm... hm. — burknął. — Wiem?... Pewnie, że wiem, ale jednakowoż... co dwie głowy, to nie jedna, a nigdy nadto ostrożności nie zachowamy, wioząc taki ładunek jak ten, o którym mówiliście... Admirale! A jeśli »Nina« z wami zatonie, a ja nie potrafię »Pinty« odprowadzić i także przez to zginę... Hę? Co wtedy? I kto temu winien będzie? Co stanie się z tą załogą, co ją zostawiliście na Hiszpanioli pod dowództwem Arany?

Lecz Kolumb, który zawsze od sterników i pomocników swoich ukrywał prawdziwe spostrzeżenia własne, raz, aby nie zastraszać ich wielkością już przebytych obszarów przestrzeni, a powtóre, w celu nie wtajemniczenia nikogo w znajomość drogi wiodącej do jego odkryć, gdyż przeczuwał, że obiecane bogactwa i łaszczyty dopóty udziałem jego będą, dopóki on sam jeden pozostanie panem tej ta-

jemnicy, a więc nieodzownie potrzebnym, odpowiedział:

— Niczego was nauczyć nie mogę, czegobyście sami nie wiedzieli.

— No, to ja wam przyznam się, — próbował jeszcze Pinzon -- choć ciężko to przychodzi staremu żeglarzowi, iż tu, na tym przeklętym oceanie, takiż mądry jestem, jak i mój chłopiec okrętowy... Jeśli mię nie nauczycie, za nic nie ręczę.

Teraz, Kolumb już był pewny zdrady Pinzona i wyraźnie widział, że ów chce go podejść, wybadać, a potem, wyprzedzić i sam jeden zebrać plon z pracy całego życia jego, więc, z trudem hamując oburzenie, rzekł zimno:

— To płyńcie ze mną i niech was wiatr i fale już więcej odemnie nie odpędzają... co zresztą, jest waszym obowiązkiem.

Pinzon zmiarkował, że Kolumb przeniknął jego zamiary i niczego nauczyć go nie chce; tembardziej w hardem a zawistnem jego sercu rozgorzała niechęć ku współzawodnikowi, o którym mniemał, że jego własne zasługi przywłaszcza sobie. Nie mógł zapomnieć, że jeszcze tak niedawno, ten człowiek zebrał kawałka chleba u wrót klasztoru de Rabida, a u niego pomocy w wielkiem przedsięwzięciu, dziś zaś, musi go nazywać admirałem i ulegać mu nie tylko z prawa lecz i mocą jego wiedzy, jego wyższości nad nim, Pinzonem, dotąd jednym z pierwszych żeglarzy andaluzyjskiego wy-

brzeża. Powstał, a gburowato zapytawszy o rozkazy względem dalszej żeglugi, wsiadł do szalupy i odpłynął na »Pintę«.

Rozstali się w nieufności i gniewie, bo stanęły pomiędzy nimi: zdrażniona miłość własna, żądza sławy i bogactw, a choćby ta chwała i te skarby miały marnie zginąć i nie dostać się nikomu, oni, żadną miarą, dzielić się sprawiedliwie niemi nie chcieli, pomimo, iż każdemu z nich jego część należała się.

Wieczorem 9 stycznia wiatr zmienił się nagle i oba okręty ruszyły w dalszą podróż. Płynąc wzdłuż północnych brzegów Haiti, Kolumb nazywał napotykaną zatoki, przylądki i rzeki, zawinął na wschodnim krańcu wyspy do szerokiej i głęboko w łód wrzynającej się odnogi morskiej, o której myślał czas jakiś, że jest ona cieśniną dzielącą dwie wyspy, lecz potem, przekonawszy się, że omylił się, nazwał ją zatoką de las Flechas, a to z powodu, że na jej brzegu spotkał krajowców wyglądających dziko i wojowniczo, którzy strzałami powitali majtków lądujących dla nabrania słodkiej wody i drzewa na podróż. Tam, Hiszpanie ranili kilku wyspiarzy, po raz pierwszy przelewając krew mieszkańców Nowego Świata, co nie przeszkodziło, nazajutrz, miejscowemu kacykowi przybyć śmiało na wybrzeże, skąd popłynął na »Ninę« i dał Kolumbowi naszyjnik pokoju. Kacykiem tym był lennik Kotabanamy, Mayonabeks, wódz Siguejczyków,

plemienia wojowniczych górali zamieszkujących tę stronę wyspy.

Zawiąawszy po pierwszej utarcze przyjazne stosunki z krajowcami, gdyż ci zeznawali swą winę, iż pierwsi niegościnnie podróżnych przyjęli i namówiwszy czterech młodych Siguejczyków do towarzyszenia mu, Kolumb wybierał się w dalszą podróż, w zamiarze odkrycia jeszcze nowych wysp, z pomocą tych czterech przewodników, a zwłaszcza wysp zamieszkanych przez Karaibów, których bardzo był ciekawy poznać, bo słyszał o nich, czy zdało mu się tak zrozumieć ze słów Siguejczyków, że kobiety ich mieszkają wszystkie na jednej wyspie Mantinino zwanej, do której mężczyźni tylko raz do roku przyplływają dla odwiedzenia małżonek swoich, dzieci zaś, z tych luźnych związków pochodzące, dzielą się pomiędzy ojców i matki, w ten sposób, że chłopcy, podrosłszy, idą za ojcami, a dziewczęta pozostają na Mantinino, aby z nich rekrutowały się przyszłe matki karaibskiej rasy. O czemś podobnem, jako istniejącem jakoby na wyspach znajdujących się przy wschodnich brzegach Azji, pisał Wenecjanin Marco Polo, a Kolumb chciwy był wszystkiego, co zdawało się potwierdzać, że on do tych właśnie brzegów trafił, było to bowiem jego celem i w przekonaniu, iż tego dokonał, trwał do końca życia.

Kiedy okręty już miały opuszczać zatokę de las Flechas, później przezwaną de la Samana, a że-

glarze staczali ku szalupom ostatnie beczki z wodą słodką, pod osobistym dozorem Kolumba, który nigdy z oka nie spuszczał żadnego szczegółu dotyczącego bezpieczeństwa statków, jako też potrzeb załogi, na wybrzeże przybyła gromada krajowców, a na ich czele starzec mający pomimo swej nagości wygląd poważny i pełen godności. Otaczający go towarzysze, zamiast okazywać zwykłą wyspiarzom ciekawość przy zetknięciu się z cudownymi przybyszami, smutnie głowy zwieszali, a niektórzy nawet płakali. Starzec, wsparty na ramieniu młodego chłopaka, któremu dziwnie śmiało i bystro z oczu patrzyło, zbliżył się do Kolumba, którego wygląd okazały i strój wskazywały mu jako wodza i rzekł:

— Wodzu białych ludzi. Mówię tak, bo nie wierzę, abyś był ich guamikuiną, ani też temu, abyście z nieba tutaj zlecieli, a myślę, że jesteście mieszkańcami jakichś bardzo od nas oddalonych wysp, których guamikuina nie narażałby się własną osobą na niebezpieczeństwa wielkich wód... Wodzu białych ludzi, już jestem bardzo stary, znam podania o białych ludziach, które u nas butiowie niekiedy śpiewają, pieśni zachowane jeszcze z tych czasów, kiedy, jakoby, ziemie nasze większe były i ciągnęły się hen, daleko, w stronę skąd słońce przychodzi, a graniczyły z krajami przez białych ludzi zamieszkanymi... Pieśni te mówią, że wielkie wody zalały nasze ogromne krainy, a praojcowie

nasi na szczyty gór chronić się musieli i ci, co te pieśni znają, zawsze tęsknią za krajami, skąd słońce wychodzi. Ja także do nich przez całe życie wdychałem, aż oto, na starość, doznałem takiego szczęścia, iż ujrzałem ludzi stamtąd pochodzących. Jestem kacykiem pomiędzy swoimi, a pomimo to postanowiłem ich opuścić i, oto z tym wnukiem, — wskazał na chłopca — który chce mi towarzyszyć, puścić się z tobą na wielkie wody, aby oczy moje przed śmiercią zobaczyły te cudne kraje, skąd przybywasz, o których nasze bardzo stare pieśni śpiewają... Wodzu, czy też kacyku, pozwól mi z sobą płynąć, abym twojemu guamikuinie pokłon złożył. Wodzu, zabierz mię na łódź skrzydlatą, bo wielka ciekawość pali moje serce i wielka żądza poznania tego, o czem praojcowie moi w bardzo starych pieśniach śpiewali.

Gdy przetłumaczono Kolumbowi przemowę staro kacyka, spojrział on na niego przyjaznym okiem, współczucia pełnym. Wszakże ten dziki, nagi starzec był jego bratem z ducha, wszak oni obaj pałali żądzą poznania tego, co nieznanne, zbadania rzeczy, o których mówiły dawne podania, obaj gotowi byli resztę dni swoich poświęcić, aby tę wiedzę zdobyć.

Kiedy te myśli snuły się po głowie jego, młody wnuk kacyka schylił się przed nim nisko, położył obie dłonie na czarnych zwojach włosów ozdobio-

nych pękiem barwnych piór papuzich, a potem, wyprostowując się, rzekł:

— I ja, wielki wodzu, chcę widzieć stolicę waszego guamikuiny. Od kiedy uszu moich doszły wieści o białych ludziach i łodziach skrzydlatych, już oczy moje nie znają snu, a myśli moje lecą tam, daleko, w te kraje, skąd słońce przychodzi co rana... Zabierz mię, kacyku, na te białe skrzydła, — wskazał ręką na stojące opodal okręty, gdzie rozwijano żagle do drogi — bo inaczej, ja już nigdy spokoju mieć nie będę, skoro wiem, że naprawdę są tam te dziwne, cudne kraje, gdzie ludzie wszystko, wszystko wiedzą... Wodzu! Ja tak bardzo chcę także wiedzieć... wszystko wiedzieć!

W głosie jego brzmiała gorąca, wszystko zwyciężyć gotowa chęć poznania tego, czego nazwać nawet nie umiał.

Wtem, w gromadce wyspiarzy wybuchnął płacz, narzekania i wymówki ozwały się. Krewni i podwładni kacyka rzucili się ku niemu, prosząc, aby ich nie opuszczał, niektórzy do nóg mu padali, kobiety głośno zawodziły, lecz starzec stał niewzruszony i patrzył, jakby zaczarowany widokiem okrętów, nie mogąc od nich oczu oderwać, a z twarzy jego wyraźnie widniało, że całą duszą rwie się do dalekich światów nieznanych. Kolumb jednak nie chciał tej strapionej rodziny ojca pozbawiać, rzekł więc do starca:

— Kacyku, przeprawa przez wielkie wody uciążliwa jest nad wyraz, stary jesteś i łatwo zdarzyć się może, iż nie dopłyniesz do krajów, które ujrzeć tak pragniesz. Zostawaj tu, gdzie ci życie spłynęło szczęśliwie, gdzie potrafiłeś zjednać miłość i szacunek rodaków, a niech cię pociesza myśl, że zdaleka wszystko wygląda wspanialej, niż zblizka, bo rzeczywistość nigdy nie może sprostać marzeniu. Zadowol się tem, że wnuka mi powierzysz. On młody, zobaczy, nauczy się wiele... chociaż — dodał, uśmiechając się — nie wszystkiego, jak mu się to wydaje i zdoła powrócić, a wtedy, tobie opowie o tych cudach, a braci swych nauczy pożytecznych rzeczy... On niech jedzie, lecz ty zostawaj.

Skoro jeden z wyspiarzy z Guanahani, rozumiejący już trochę hiszpańską mowę, przetłumaczył słowa Kolumba, młodzieniec, wyrwawszy się z objęć matki i siostr, pędem rzucił się ku jednej z łodzi, co w tej chwili, odbijała od brzegu, wskoczył w nią, dopędzając ją wpław i, schwyciwszy wiosło, sam pomagał aby co rychlej od brzegu oddalała się.

Zapewne rzeczywistość, jak to Kolumb przewidywał, nie dorównała rojeniom dzikiego chłopaka, którego duszę trawiła taka ciekawość wiedzy, musiał on, nieraz, w zaułkach miast hiszpańskich tęsknić do rodzinnych puszczy podzwrotnikowych.

Wyspa Boriken, przez Kolumba potem, w drugiej podróży jego, Porto-Rico nazwana, majaczyła już na widnokręgu, kiedy wstał wiatr pomyślny do drogi ku Hiszpanji. Majtkowie znowu szemrać poczęli na to, że admirał nowe odkrycia robić pragnie, zamiast powracać do ojczyzny. Kolumbowi na myśli stanęły: brak wierności Pinzona i załóg, zły stan obu okrętów, znaczne oddalenie do przebycia i, pomimo wielkiego zapału i ciekawości do dalszych odkryć, wydał rozkaz skierowania okrętów w stronę Hiszpanji.

XVII.

Zima z 1492 roku na 1493 była tak burzliwa na Atlantyku, że najstarsi mieszkańcy Iberyjskiego półwyspu podobnej nie pamiętali. »Nina« i »Pinta« bezustannie miotane były przez olbrzymie fale. Nietylko dzień każdy i wszystkie noce, lecz każda chwila groziła zagładą zniszczonym, małym karawellom pozbawionym pokładu. Żeglarze walczyli z niezmierną odwagą i wytrwałością, lecz, w rzeczy samej, szczęśliwe doprowadzenie statków do portu w taką pogodę i po takim morzu zdawało się być przedsięwzięciem nad siły ludzkie. 10-go lutego po raz ostatni Kolumb, Pinzon i sternicy zebrali się aby oznaczyć na mapie miejsce, w którym znajdują się. Podczas narady okazało się, że wszyscy, oprócz Kolumba, przypuszczają, iż są o sto pięćdziesiąt mil ¹⁾ bliżej od Hiszpanji, ani-

¹⁾ Mila wynosząca dwudziestą część jednego stopnia szerokości geograficznej.

żeli naprawdę byli i na szerokości Madery, wówczas gdy admirał sądził, że płyną ku Azorskim wyspom. Nie starał się jednak Kolumb błędów tych sprostować, nie chciał prawdy im odkryć.

W parę dni po tej naradzie wszczęła się tak gwałtowna burza, niebezpieczeństwo było tak blizkie i groźne, iż żeglarze na »Ninie«, wyczerpawszy wszystkie środki ratunku i wszystkie siły swoje, poczęli modlić się i śluby robić. Włożono do kapelusza tyle ziarn fasoli ilu ludzi było, jedno z tych ziarn naznaczono krzyżem i postanowiono, że kto je wyciągnie odbędzie pielgrzymkę do S-ta Maria de Guadelupe i ofiaruje woskową świecę pięciofuntową. Kolumb pierwszy ciągnął i los go wyznaczył. Że jednak straszliwy ryk burzy nie ustawał ani na chwilę i »Nina« to kładła się bokiem na fali, to znów, wyrzucona w górę, chwiała się na spienionych czubach bałwanów, jakby wahała się z której strony ma runąć w wyrty wokół niej przepaść, a olbrzymie wały wody co chwila zawisały nad głowami podróżnych, żeglarze jeszcze kilka razy losy ciągnęli i Kolumb znów został wyznaczony na nową pielgrzymkę. Wtedy, modlitwy załogi, szemrania przezywać zaczęły, mówiono, iż on-to wyraźnie jest największym grzesznikiem, który pychą obraził Boga i ma karze uledz, wciągając w jej grzę i ich, niewinnych.

Jeszcze raz ślubowali wszyscy, że jeśli oca-

leją, to przy pierwszej napotkanej kaplicy poświęconej Najświętszej Pannie pójdą do niej boso, odziani tylko w koszule, aby dziękować za cudowne ocalenie. Wieczór był, kiedy ów ślub zrobiono, a noc, która po nim nastąpiła, była gorsza niż wszystkie poprzednie, okropności i grozy pełna, żywioty rozszoły się, jak gdyby koniec świata zbliżał się. Kolumb, w obawie o »Pintę«, kazał wywiesić na maszcie »Niny« pochodnię, aby służyła Pinzonowi za drogowskaz i pomogła mu trzymać się w bliskości, poczem, wszedł do kajuty i pisał list do królewskiej pary:

— »...Giniemy... najsilniejsza wiara zachwiać się musi, kiedy patrzę na grozę położenia naszego. Złe losy zniósłbym z większem poddaniem się woli bożej, gdyby szło tylko o moją osobę, bo życie Stwórcy zawdzięczam i nieraz już o krok jeden od śmierci byłem. Lecz źródłem wielkiego bólu i niezmiernych męczarni moich jest myśl, że otrzymawszy wiarę i wytrwałość, potrzebne do tego przedsięwzięcia i dokonawszy go zwycięsko, a będąc już w możności przekonania tych, którzy mi przeczyli i dania Waszym Królewskim Mościom, razem z wielką sławą, nowych i obszernych posiadłości, mogę być w tem powstrzymany przez śmierć z woli Boga. Niedola moja mniejszą byłaby także, gdybym nie miał towarzyszy, którzy, będąc przezemnie wciągnięci w tę podróż, dzisiaj, przeklinają i dzień jej rozpoczęcia i postuszeń-

stwo moim rozkazom a przedstawieniom, kiedy powstrzymałem ich od zamiaru powrotu z półdrogi, który-to, oni niejednokrotnie objawiali. A smutek mój jeszcze podwaja się na myśl, że moi dwaj synowie, których pozostawiłem w Kordowie, w szkole, są bez opiekunów i przyjaciół, w obcym kraju i pozbawieni wszelkiego dowodu, coby świadczył o zasługach ich ojca i zjednałby im opiekę Waszych Królewskich Mości. Skoro tylko przychodzi mi na myśl, że jednak Bóg zapewne nie zechce pozostawić niedokończonem dzieła tak chlubnego dla Kościoła Jego i spełnionem wbrew tylu przeszkodom i trudom, zaraz myśl tę usuwa przypuszczenie, że zapewne grzechy moje zasłużyły na tę karę, abym był pozbawiony sławy, co miała na tym świecie w udziale mi przypaść...»

Napisawszy ten list, Kolumb postanowił, ze względu na okoliczności, przystąpić natychmiast do ostatecznego czynu żeglarzy. Spisał na pergaminie krótką opowieść o podróży swojej, o ziemiach, które odkrył i na rzecz korony kastylskiej w posiadanie objął, a także o drodze do nich wiodącej, zwinął pergamin w zwój, opieczętował i napisał na nim przeznaczenie do rąk króla i królowej, a zarazem obietnicę tysiąca dukatów nagrody dla tego, który, znalazłszy to pismo, odda je według przeznaczenia z nienaruszonymi pieczęciami. Pismo to zawiął w napojone smołą płótno,

i, umieściwszy je w dużym waku wosku, zamknął w beczce, którą natychmiast w morze wrzucił.

Dla większej pewności, na wypadek gdyby ta przesyłka nigdy znaleziona nie została, sporządził drugą, zupełnie do pierwszej podobną i umieścił ją na górnym pokładzie z tyłu okrętu, tak, aby w chwili, kiedy on tonąć będzie, beczka spłynąć mogła.

Nieco uspokojony temi środkami mającemi zabezpieczyć jego odkrycia od zupełnego zapomnienia, admirał pilnie, przez noc całą, przewodził walką z rozwścieczonemi żywiołami, a gdy ponury brzask poranku burzy morskiej zaświtał, on przeglądał z trwożnym niepokojem widnokrąg, w nadziei, że ujrzy w oddali żagle »Pinty« i jej nadłamaną, nieco pochyloną tylną maszt. Daremnie jednak wyteżał spracowane swe oczy żeglarza, od bezsenności i słonych bryzgów morskiej wody zaczerwienione, widział tylko nieskończone, czarno-zielone, ogromne fale upstrzone u szczytów białą pianą załamujących się grzebieni, nad którymi nisko, prawie ich dotykając, leciały chyżo zwały ciemno szarych, rudawych, do dymów olbrzymiego pożaru podobnych chmur.

Wicher dął ciągle z niezmierną siłą od południowej strony. »Pinty« nigdzie nie było. Powoli jednak, szare oczy Kolumba jakby błyskiem radości świecić począły, poważne i smutne oblicze rozjaśniało się promykiem nadziei... ujrzał wazkie

pasemko błękitniącego nieba na zachodzie. Doświadczony żeglarz poznał po tem, że rychło wiatr zmieni się i powieje pomyślnie dla niego — z zachodu. Tak się też i stało. Pomimo bardzo jeszcze wzburzonego morza, »Nina«, mając wiatr w tył, chyżo płynęła w pożądanym, wschodnim kierunku, aż o świcie 15 lutego, majtek Rui Garcia z bocianiego gniazda ziemię oznajmił. Radość wielka zapanowała wśród załogi, która teraz, witała Stary Świat z większym bodaj zapalem, niż to robiła, tak niedawno, na widok Nowego. Nawet sternicy łudzili się nadzieją, że widzą skały Cintra około Lisbony. Mniej pochopni do wierzenia w to, w co wierzyć im się chciało, przypuszczali, że to Madera, sam tylko Kolumb pewny był, iż zbliża się do jednej z wysp Azorskich.

Lecz burza z nową siłą rozszalała, zupełnie, jak gdyby jakiś duch wód, zazdrosny o tajemnicę oceanu, chciał wiozących o niej wieści pogrążyć w jego bezdnach. Całe dwie doby jeszcze, fale rzucały »Nina«, niby marnym szczątkiem pozostałym po rozbitym okręcie, wiatr kładł ją na boku tak, że reje swe końce maczały w pianie bałwanów. Daremnie Kolumb starał się schwytać każdą chwilkę zacisza, aby mózż zawinąć do jakiej zatoki, przy którejkolwiek z kilku wysp, co majaczyły wśród strug deszczu, chaosu fal, zwalów chmur i kłębow mgły. Raz nawet, zarzucono

już kotwicę, lecz liny pękły i dopiero 18 lutego, nad ranem, udało się wejść do zatoki, a posłana na zwiady łódź przywiozła wiadomość, że to jest wyspa S-ta Marja, ostatnia z Azorskich ku południowi.

Zdumienie ogarnęło mieszkańców wyspy na widok tej wątej karawelli stojącej na kotwicy. Zdawało im się niemożliwym, aby ona mogła ocaleć wśród tak strasznej burzy, a jednak wyspiarze Azorów znają się z burzami morskimi. Ciekawość i zdziwienie wzmogły się ogromnie, kiedy dowiedziano się od kilku ludzi z załogi, którzy przybili do brzegu, aby wywiedzieć się o bezpiecznym porcie, do którego »Nina« zawiąńczy mogła, że byli oni hen, za oceanem, w jakimś bardzo oddalonym, dziwnym kraju. Zatrzymano nawet trzech ludzi z szalupy, aby od nich zasięgnąć dokładniejszych wiadomości.

Przed wieczorem, kilku krajowców wołało ku »Ninie«, żądając łodzi, a gdy ją im posłano, przywieźli trochę żywności od rządcy wyspy, Juana de Castaneda, który przysyła pozdrowienie i powinszowania Kolumbowi, a prosi o pozwolenie odwiedzenia go, obiecując, że nazajutrz, sam osobiście odwiedzie zatrzymanych trzech majtków i dostarczy znaczniejszych zapasów świeżej żywności.

Nazajutrz, Kolumb, dowiedziawszy się, że opo-
dał na brzegu wznosi się kaplica poświęcona Najświętszej Pannie, przypomniał załodze ślub uczy-

miony w groźnej chwili. Posłańcy Castanedy, powróciwszy na ląd, posłali do kaplicy księdza, a Kolumb, podzieliwszy załogę na dwie kompanje, które kolejno miały pielgrzymkę odbyć, posłał jedną na ląd, sam zaś z drugą czekał na okręcie, aż tamci powrócą.

Przyjęto zbiedzonych żeglarzy daleko gorzej, aniżeli na Haiti, pomimo, iż Portugalczycy uważali siebie za cywilizowany naród, a Haitianie byli jakoby dzicy. Zaledwie Hiszpanie, bosy i w koszule tylko odziani, uklękli przed małą kapliczką i rozpoczęli dziękczynne modły, kiedy mnóstwo krajowców konno i pieszo otoczyło ich ze wszech stron, a gubernator uwięzić ich rozkazał. Że fali-
stość gruntu zakrywała kaplicę od »Niny«, Kolumb nic nie wiedział o tem, co się tam dzieje, lecz kiedy południe zbliżało się, a pielgrzymi nie powracali aby dać możność pozostałym na okręcie ślubu także dopełnić, admirał zaniepokoił się i podnosząc kotwicę, popłynął ku miejscu, skąd mógł widzieć kaplicę.

Stąd spostrzegł gromadę kilkunastu jeźdźców, którzy, zsiadłszy z koni, weszli do szalupy czekającej u brzegu na modlących się i płynęli ku »Ninie«. Kolumbowi wówczas stanęły na myśli przeszkody, jakie Portugalczycy próbowali mu stawić w początku podróży, nieufność go ogarnęła, uzbroił swych ludzi i kazał im mieć się na baczności. Castaneda, zbliżywszy się do »Niny«,

zażądał od Kolumba, aby mu dał słowo, że go nic złego na niej nie spotka, lecz, pomimo otrzymanej obietnicy, wahał się na nią wstąpić. Wówczas, Kolumb przekonał się, że ludzie jego są uwięzieni, a podejrzenia słuszne i, oburzony, w ostrych słowach wyrzucał gubernatorowi jego postępowanie, oświadczając, że ujmę on czyni nie tylko hiszpańskiemu królowi, którego on, Kolumb, jest admirałem i wysokim urzędnikiem, lecz także i panu swojemu, portugalskiemu królowi. Castaneda odpowiedział, że wie co robi i spełnia otrzymane rozkazy, poczem, wrócił na ląd. Tymczasem, pogoda znowu psuć się zaczęła, tak dalece, że »Nina« musiała uchodzić w pełne morze z niezbyt zaciszego portu.

Przez dwie doby znowu wielkie niebezpieczeństwa groziły i dopiero 22 lutego Kolumb mógł powrócić do portu S-ta Marji, gdzie, wkrótce, ujrzał nadpływających kilku ludzi. Okazało się, iż są to posłańcy Castanedy: dwóch księży i notariusz, którzy zapewniwszy się uprzednio, iż nic im nie grozi, weszli na »Ninę« z żądaniem, aby im Kolumb przedstawił patenty królewskie, jeśli je posiada, a po zbadaniu papierów, które ich zadowolily, oświadczyli, że gubernator robi dla admirała hiszpańskiego króla wszystko, co będzie w mocy jego. Jakoż, nazajutrz rano odesłano szalupę, a w niej — uwięzioną część załogi »Niny«.

Po paru dniach daremnych usiłowań aby nabrać wody i drzewa, tak silnie fala morska od brzegów odbijała, Kolumb, widząc, że wiatr wstał pomyślny, puścił się w dalszą drogę do Hiszpanji. Pogoda jednak nie długo trwała. Według obliczeń Kolumba był on o sto dwadzieścia mil od przyładka Ś-go Wincentego, kiedy nowa, gwałtowna burza zaskoczyła skołatana »Ninę«. Okazała się ona jedną z najstraszliwszych nawałnic, którym wielki żeglarz był zmuszony czoło stawić w tej tak utrudnionej, powrotnej podróży. W ciągu dni kilku, Kolumb, niestrudzenie czuwający nad bezpieczeństwem okrętu, widział bezustannie wiszącą nad nim zagładę, a patrząc na ponury widok spiętrzonych, pieniających bałwanów, które zdawały się całą przestrzeń świata wypełniać, tak, w oddali, zlewały się z mętnem, chmurami sfalowanym niebem, myślał z tęsknotą o czarujących morzach zachodu, z których powracał, o ich przezroczytych wodach odbijających głęboki lazur nieba, lub okazałe gwiazdozbiory południa, których białe gwiazdy przegładają się w spokojnych, lasami otoczonych zatokach.

Któregoś dnia, nagłe uderzenie wściekłego wichru poszarpało wszystkie żagle, maszty, trzeszcząc, gięły się. Zguba nieuchronna zdawała się tuż... tuż. W tej groźnej chwili, Hiszpanie znowu odwołali się do mocy niebieskich. Postanowiono odbyć pielgrzymkę, bosą, do S-ta Maria de la

Cueva, w mieście Huelva i los znowu padł na Kolumba, co pograżyło załogę w głębokie zdumienie. Jedni tłumaczyli to na złe, inni, przeciwnie, na dobre.

Jednakże, niektóre wskazówki przemawiały za bliskością lądu, lecz teraz, w takim chaosie żywiołów przyrody, ta ziemia, której jak zbawienia wyglądali żeglarze, groźną i przerażającą im była. Nikt nie wiedział gdzie się »Nina« znajduje, gdzie szukać portu, a widmo przybrzeżnych skał stało przed oczami każdego, jako okropna, śmierć i zagładę niosąca mara. Noc zapadała ciemna i posepna, a w jej nieprzeniknionych mrokach taił się ten łód tak upragniony, a zarazem tak groźny. Kolumb starał się kierować okręt w stronę pełnego morza, lecz »Nina«, pozbawiona żagli, przeciekająca jak rzeszoto, z trudnością steru słuchała. Żeglarze oczami utkwionymi na wschód wyglądali brzasku ostatniego dnia życia.

Czarne chmury powoli, niezmiernie powoli szareć zaczynały, jakby rzedły, wązka, zielonawo-błada smuga zamajaczyła od wschodu, lecz znowu znikła pod zwałami chmur... potem ukazała się szersza, wyraźniejsza. Światło, z wielkim trudem, walczyło z nocą, a wicher zdawał się mrokom z pomocą stawać, wznosił się jeszcze, karawella drżała, jęczała, skrzypiąc rozluźnionymi stawami... Ot... jeszcze chwila i rozleca się te spróchniałe deski, od których geniusz i odwaga

ludzi tyle wymagały. Jednakże, błada smuga wschodu potężnieje, rośnie, już pół nieboskłonu ogarnia, a tam, gdzie ma ukazać się słońce, robi się ona z szarej — zieloną, potem bieleje i na jej tle, we mgłach drobnego deszczu, zarysowuje się ciemna sylwetka lądu...

— Skała Cintra... Cintra przy ujściu Tagu! — zawołali żeglarze, co ją sto razy widzieli.

Jeszcze kilka godzin niezmiernych trudów, ostacnych wysileń w naprężeniu wszystkich sił ciała i ducha, aż nareszcie, »Nina«, niby dzielny szermierz ranami okryty, od dymów prochu zczerniał, obdarty w bojach i ciężkich pochodach, zawinęła do portu, podobna do widma okrętu, lecz dumnie wydymając w burzliwym wietrze chlubne łachmany swych żagli i naprzeciw Rastello kotwicę zarzuciła ku powszechnemu zdumieniu mieszkańców, którzy, od rana patrząc na te rozpaczliwe zapasy garstki śmiałków z gniewnym, jak nigdy, oceanem, modlili się o ratunek dla ginących, bo inaczej przyjąć im z pomocą nie mogli, w owych czasach bowiem, ludzie sami sobie najczęściej tylko w ten sposób pomagali, a cóż dopiero bliźnim.

Kolumb natychmiast wysłał posłańca do hispańskich monarchów z wieścią o dokonanych odkryciach i pisał do króla portugalskiego, prosząc, aby mu wolno było do Lizbony zawinąć, gdyż ze względu na pogłoskę, która rozleciała się po wy-

brzeżach Portugalji, o bajecznych bogactwach przez »Ninę« przywiezionych, bał się stać na kotwicy przy takim miasteczku jak Rastello, którego mieszkańcy byli ubodzy a niespokojnego ducha.

Lecz nie od rybaków i majtków z Rastello groziło Kolumbowi najgorsze na portugalskiej ziemi niebezpieczeństwo. Kiedy został wezwany do Valparaiso, gdzie wówczas bawił król Jan II, zawistni dworacy, którzy, wtedy, gdy Kolumb usługi swe ofiarowywał Portugalji, wyśmiali jego marzycielskie zamiary, teraz, widząc jego zwyciężki powrót, przekonawszy się ile złota przywiózł, jacy dziwni ludzie, z nieznanych krain za brani, towarzyszą mu, bojąc się, aby zawładnięcie tak bogatemi i obszernemi krajami nie wzmogło ogromnie potęgi Hiszpanji i nie dało jej przewagi nad Portugalją, już i bez tego mniejszą i słabszą, namawiali króla, aby, korzystając z jego przymusowego pobytu w Portugalji, kazał go zabić. Dowodzili oni, że łatwo upozorować taki postępek zuchwalstwem tego awanturnika, który ośmielił się ubliżyć królowi i całemu krajowi swoim nieznośnym samochwalstwem, bryzgając wszystkim w oczy tą nadzwyczajną chwałą, jaką się okrył, mądrością swoją i bogactwami, które dla Kastylji zdobył.

Lecz król Jan miał zbyt szlachetny charakter, aby mógł usłuchać tak nikczemnej rady, wolał pójść za zdaniem tych, którzy dowodzili konie-

czności natychmiastowego wystawienia i uzbrojenia silnej floty i posłania jej dla zajęcia odkrytych, lecz jeszcze nie zakolonizowanych przez Kolumba ziem. Król Jan uważał już wtedy, że fakt dokonany jest najlepszym dowodem słuszności wszelkich praw, a odwołanie się do siły zbrojnej, nawet najniesprawiedliwsze z nich ostatecznie utwierdza.

Przyjął Kolumba grzecznie i odpowiednio tak do zasług jego, jako-też i do wysokiego stanowiska, które zajmował, pozwolił mu siedzieć w swej obecności, co było przywilejem osób jedynie z krwi królewskiej pochodzących i w rozmowie z nim, w której nie mógł jednak ukryć żalu i pewnej zawiści, wysłuchawszy z niezmierną ciekawością sprawozdania z podróży i odkryć, oświadczył, że przypuszcza, iż odkrycia Kolumba wkraczają w jego prawa nabyte przez traktat w 1479 roku z Hiszpanją zawarty, a także, iż zapewnia mu wolny powrót do Hiszpanji, czy drogą lądową, czy też morską, do jego woli. Wszystko to jednak nie przeszkodziło królowi zająć się pośpiesznem przygotowaniem wielkiej wyprawy pod dowództwem dom Franciszka de Almeida, jednego ze znakomitszych żeglarzy portugalskich.

Musił jeszcze Kolumb, powracając do »Niny«, zajechać po drodze do klasztoru San Antonio w Villa Franca, gdzie bawiła królowa portugalska,

aby ona z własnych jego ust usłyszała te dziwy i cuda, o których wieść lotem ptaka już po całym kraju rozlatywała się. Słuchała królowa z gorącą ciekawością, a damy jej dworu uszom swoim wierzyć nie chciały i nie dziw... uszy niewieście, w owym czasie, najwięcej słyszały sere-nad, seguidillas, romanzów, pokutując potem za te światowe rozrywki w nudach klasztorów, gdzie obijały się o nie jednostajne dźwięki litanji i ani treść tamtych, wesołych, ani też tych drugich, uroczystych, żadną miarą nie mogła pięknym główek wykształcić i do pojęcia kosmograficznych zagadnień przygotować.

Kolumb wsiadł znowu na sławną po wszystkie czasy »Ninę«, która jednak pociągała skrzydłem, niby zraniony i zdrożony gołąb podróżny i od-płynął na niej do Hiszpanji.

XVIII.

15-go marca 1493 roku, w Palos bito we wszystkie dzwony, zamykano sklepy, ludzie porzucali zajęcia, kto żyw biegł na wybrzeże, gdyż niesłychane, cudowne zdarzenie, pamiętne w dzie-jach świata, nawiedziło nieznaną, małą miescinę tulącą się, jak dotąd myślano, na ostatnim już krańcu ziemi, nad brzegiem oceanu niezmierzo-nego, niezgłębionego, za którym nic już niema; bo dnia tego, w cichym tym porcie, żałobą okry-tym po odbiciu »S-ta Marji«, »Pinty« i »Niny«, o południu, zarzuciła kotwicę jedna z tych kara-wel, dawno opłakana, do zaświatowego już cienia podobna »Nina«, a z niej wyszli ojcowie, bracia i mężowie, wychudli, zczerniali, łachmanami okryci, lecz cudem niepojętym żywi.

— A więc można przepłynąć ten tajemniczy ocean... — myśleli ludzie, biegnąc ku wybrzeżu — Można zwalczyć i jego olbrzymie fale i jego stra-szne potwory, wichry i wiry i ten chaos, co mu gdzieś, tam, za granice służy?...

Biegły tłumy, popychając się i krzycząc, napół przytomne od radości, ciekawości, od mnóstwa uczuć, które potężnie wstrząsały tą zbiorową duszą... biegły ku temu okrętowi, co jak widmo powrócił, skąd jeszcze nikt nie wracał..

Aż oto idzie Kolumb, wielki Kolumb, otoczony przez znaczniejszych mieszkańców miasta, pod ramiona go wiodą, a twarze wszystkie pałają zapalem, uniesieniem bez granic.

— Niech żyje don Christoval Colon, el almirante! — wrzasnęły tłumy — Niech żyje największy żeglarz świata!

— Niech żyje najslawniejszy żeglarz wszystkich stuleci, i tych, co przeszły i tych które będą! — wołał przeor klasztoru de Rabida, Juan Perez z twarzą promieniejącą, prawie nieprzytomny z radości.

Wśród zgietku, wrzawy i tłoku nastąpiła chwila ciszy, jak to czasem bywa, a głos jakiś ozwał się:

— Gdzie są ci, co mu takie przeszkody stawili? Ci, co go przeklinali?

— Kto przeklinał? — ryknął tłum — Kto wstręty czynił?... Tego nie było, jako żywo! Nikt nie przeszkadzał!... Kto to mówi? Tu go dawajcie!..

Człowiek, co miał dobrą pamięć, ledwie z życiem uszedł.

Rybacy, żeglarze, mieszkańcy Palos, cały ten lud nadbrzeżny, co żył na morzu i z morza, krzy-

czał, huczał, śmiał się i szalał, ogarniał go zapal nigdy dotąd niebywały i stąd, z nad brzegów zgwałconego przez geniusz człowieka oceanu, poleciał po całej Hiszpanji... Ba! Po świecie całym leciał dreszcz ciekawości palącej, niemożonej, sen z powiek spędzającej, taki dreszcz, jaki dziś wstrząsnąłby ludzkością, gdyby nadleciały po przez międzyświatowe przestrzenie wieści z którejś planety, lub z płynących w zawrotnych głębinach wszechświata gwiazdozbiorów, jakby z nich spadły namacalne, zmysłom dostępne okazy życia, które tam, w bezmiarach nieskończoności, wre nieznaną na ziemi siłą, przybiera bajeczne kształty promieniejące jakimś innym pięknem.

Dreszcz ten do głębi wstrząsnął podstawami życia ludów Europy, zbudził je z ciężkiej, widziadłami ponuremi nawiedzanej, średniowiecznej drzemki. Gnębieni pracownicy wiedzy odetchnęli pełniejszą piersią. Pomponius Laetus, broniący w Rzymie swoich poglądów filozoficznych, łzami radości zapłakał... Świat otwierał się szerszy, wspanialszy, dla myśli bardziej zrozumiałej; świeciła jutrzienka prawdziwszych poglądów. W niewiele lat potem, papież Leon X całe noce spędzał na czytaniu siostrze swej i kardynałom »Oceanica« Anghiery. Gorączka złota ogarnęła ludy... żądza jeszcze niebywałych przygód, w tym nowo odkrytym świecie cudownym i fantastycznym, paliła umysły rycerskością nasiąkłe.

Wieczorem, kiedy słońce uciekało, aby oświetlić tam, za oceanem, pierwsze kroki europejskiej, jakoby jedynej prawdziwej cywilizacji a dzwony jeszcze radośnie biły na wieżach kościołów w Palos, do portu zawinęła »Pinta« nosząca także na sobie bohaterskie ślady wielkiej podróży, w której wytrwała również dzielnie jak i »Nina«. Lecz dowódca jej, Marcin Alonzo Pinzon, nie wytrzymał, on zaćmił zalety śmiałego serca zawiścią, chciwością, a nareszcie zdradą.

Owej nocy groźnej, na Atlantyku, kiedy Kolumb stracił ją z oczu, »Pinta«, z powodu słabego tylnego masztu, nie mogła oprzeć się sile wichru, co dał z południa i musiała przed nim ku północy uciekać. Po wielu niebezpieczeństwach, dopłynęła do Bajonny, w głębi Biskajskiej zatoki. Stąd, Pinzon, przypuszczając, że »Nina« zatoneła, posłał list do królewskiej pary, w którym przyswoił sobie zrobione odkrycia i prosił o pozwolenie stawienia się u dworu, aby mógł osobiście przedstawić dotyczące ich szczegóły, a skoro tylko pogoda złagodniała, podniósł kotwicę, aby płynąć do Palos, gdzie spodziewał się świetnego przyjęcia, lecz zawiązując do portu, ujrzał stojącą tam na kotwicy »Ninę« i usłyszał odgłosy owacji dla Kolumba zgotowanej.

Wtedy stary Pinzon, dzielając zapewne zdanie Juliusza Cezara, który wolał być pierwszym w mieście, aniżeli drugim w Rzymie, zmartwił

się bardzo. Pod osłoną nocy wsiadł do łodzi i, wylądowawszy, skrył się u krewnych, a serce jego zalewało się goryczą na widok tryumfów dawnego towarzysza niebywałego w dziejach świata przedsięwzięcia, później wodza, a teraz już znieprawionego współzawodnika. Kiedy zaś, po wyjeździe Kolumba do Sewilli, wstąpił nareszcie do własnego domu i wkrótce potem, otrzymał odpowiedź królewską, w której go surowo gromiono za jego postępek i wstrętą zawiść, rogata dusza starego żeglarza nie zniosła tego ciosu. Gryzł się jeszcze czas jakiś, a cierpienia ducha pogorszyły nadwątlone przez trudy podróży zdrowie tak dalece, że wkrótce potem umarł.

Dla chwały ludzkiego ducha wielka szkoda, że ten śmiały człowiek, który prostym, zdrowym rozsądkiem zawodowego żeglarza pojął wsparte na wiedzy wywody Kolumba, odrzucone przez ciemnotę owego wieku, jako czcze i nieprawomyślne nawet marzenie, a tak skutecznie przyczynił się do znakomitego czynu, później zaćmił swoje zasługi, ulegając złym namiętnościom duszy ludzkiej: chciwości, zawiści i chęci przyswojenia sobie cudzych zasług.

* * *

Teraz, dla Kolumba nastał szereg dni takich, jak gdyby nie były one częścią rzeczywistego

życia jego, lecz raczej strofą zasłyszana z którejsz z tych baśni Wschodu, co je opowiadały, jeszcze tak niedawno przedtem, piękne niewolnice kalifom w Alhambrze Granadzkiej, lub Aldzaferji Saragosskiej.

Odpczawszy po trudach podróży u przyjaciela swego, przeora, w klasztorze de Rabida, a potem, w Sewilli, ruszył Kolumb do Barcelony, gdzie dwór królewski przebywał wówczas, dokonawszy uprzednio niektórych przygotowań do drugiej podróży, na wyraźne żądanie króla i królowej listami wyrażone.

Więści o nim, jego podróży i odkryciach rozleciały się już po całej Hiszpanji, powiększone, ozdobione, do bajecznej cudowności doprowadzone przez miliony ust i wyobraźni. Podróż jego przez hiszpańskie kraje i miasta była jednym tryumfalnym pochodem. Tłumy wieśniaków zalegały drogi, spotykając go niezmiernymi okrzykami zapału. W miastach, ulice i place roiły się od mieszkańców, z balkonów sypały się kwiaty, wszędzie muzyka i pochwalne śpiewy towarzyszyły pochodowi jego. Na przybyszów z Nowego Świata, tak zwanych Indjan, patrzono jak na mieszkańców innej planety, ptaki, rośliny, a zwłaszcza złote ozdoby wzbudzały podziw, lecz i pożądlivość zarazem. Na ich widok, ludzie ściskali się, całowali, wieszując sobie wzajem tych bogactw, które już rychło posypią się na Hiszpanję,

jak złoty deszcz bajeczny. Niezmiernie powoli posuwał się Kolumb naprzód, tak go te tłumy, owacje, przemowy i przyjęcia w podróży zatrzymywały.

W połowie kwietnia, zbliżał się do Barcelony, kiedy ujrzał wyjeżdżający mu na spotkanie liczny i świetny orszak konny złożony z hidalgów, dworaków i rycerzy noszących najpierwsze w Hiszpanji nazwiska, z których wiele było chwałą okrytych w bojach z Maurami. Za nimi cisnął się nieprzeznaczony tłum ludu. W jednej chwili, urządzono tryumfalny pochód. Przodem szło sześciu Indjan umalowanych według ich obyczaju, z barwnymi pióropuszcami we włosach i obwieszonych złotymi ozdobami. Za nimi niesiono mnóstwo żywych papug i innych ptaków, a także wypchane zwierzęta nieznanne; potem, szedł długi szereg sług niosących na aksamitnych poduszkach rozłożone złote korony kacyków z Haiti i Kuby, ich naramienniki i naszyjniki z tegoż kruszczu wykute i próbki złotego piasku, lub bryłki rodzimego złota.

W ślad za temi zdobyczami, z tajemniczycych krain przywiezionemi, jechał Kolumb na białym rumaku andaluzyjskim, wspaniale odziany w szkarłatny płaszcz i takiż kaftan, a za nim, na ognistych biegunach, zdobytych na Maurach, harcowali rycerze Kastylii i Aragonu. Tuż, obok admirała, lecz nieco w tyle, jechał urzędnik dworu, wioząc tarczę, na której, wymalowany, widniał

herb przez królewską parę Kolumbowi i potomstwu jego nadany. Przedstawiał on zamek, lwa i grono wysp otoczonych wodą, a wkoło wiły się dwa wiersze dewizy: »A Castilla y a Leon, Nuevo Mundo dio Colon«¹⁾.

A napotykanie po drodze tłumy, rozstępując się przed uroczystym i nadzwyczajnym orszakiem, zamiast wiwatów powtarzały z niezmiernym zapalem ową dewizę i dźwięczały w powietrzu wiosennem dziwne słowa:

— A Castilla y a Leon, Nuevo Mundo dio Colon!

Jechał tak Kolumb, niby tryumfujący wódz rzymskich legionów do Rzymu wjeżdżający, a wspaniała jego postawa i czcigodny wygląd wzbudzały powszechny podziw i nawet zdumienie, bo wyobrażano go sobie jako młodzieńca pełnego sił i ognia, a ujrzano człowieka, przedwcześnie zestarzałego wśród walk i trudów niezwykłego życia, o srebrnych włosach i białej brodzie.

W olbrzymiej, a niezmiernie bogato przybranej komnacie, unyślnie otwierającej swoje arkady na spojrzenia tłumów, pod baldachimem ze złotogłowi, siedzieli król i królowa z księciem Janem, następcą tronu, otoczeni licznem gronem tych, którzy byli sławni, wielcy, mądrzy i bogaci w Kastylii, Walencji, Leonie, w Aragonie i Andaluzji.

¹⁾ Królestwom Kastylii i Leonu Nowy Świat dał Kolumb.

Purpura kardynałów i fiolety biskupów pstrzyły ciemno szmelcowane zbroje, a nagłe błyski złotem wyciskanych pancerzy, co zapalały się pod jaskrawymi promieniami kwietniowego słońca, rzucały wesołe blaski na posępne kaptury czarno-białe, lub bure, znakomitych mnichów. Wonne, wiosenne powiewy, świeże a upajające, leciały od błękitnych fal Śródziemnego morza i wpadały do tej sali, gdzie tyle chwały, wielkości, mądrości i przepychu zgromadzonych było.

Hiszpanja, upojona niesłychanem powodzeniem, zasiadała na szczycie wiekowego rozwoju swojego, na który każdy naród kolejno wstępuje, a skąd już tylko jedna droga wiedzie, przez stopnie upadku, w dół, ku starości, zgrzybiałości i nareszcie do metamorfozy śmierci.

Kiedy Kolumb wchodził na salę, wyniosłym wzrostem górując nad towarzyszącymi mu rycerzami, a powagą oblicza przypominając rzymskiego senatora, król i królowa powstali z tronów i kilka kroków postąpili na spotkanie człowieka, który myślą, czynem i zasługą dorównał najdosłojniejszym. Kolumb szedł ku nim, otoczony szmerem podziwu, a dusza jego do głębi wzruszona była poczuciem oddanych usług, widokiem wdzięczności narodu, który tu, w tej chwili, całą ludzkość przedstawiał. On raczej odczuwał, niż widział, te oznaki zachwytu i czci, bo patrzył wewnątrz siebie, w duszę swoją i widział tam ogrom pracy, upokorzeń, wy-

trwałości, odwagi i poświęcenia siebie samego dla wielkiego celu, dla wzniosłej idei, im przypisując obecne zaszczyty. Hardym Kolumb nie był, on co tak niedawno patrzył na majestat przyrody i korzył się przed ogromem Boga, teraz, ugiął kolano przed majestatem korony i chciał ręce królewskie ucałować, lecz Ferdynand i Izabella cofnęli się przed tym hołdem takiego człowieka, a uznając go, w głębi swych dusz, za wyższego nad siebie, z klęczek go podnieśli i obok tronu posadzili, co było niezwykłym zaszczytem przy tym dworze tak dumnym, drażliwym i etykietałnym.

Ferdynand, wychodząc ze zwykłej sobie zimnej równowagi, wzruszonym, tym razem, głosem rzekł:

— Dobroczyńco Hiszpanji, nasz admirale oceanu! Witaj i bądź pozdrowiony, ty, co tak wielkie dary nam przynosisz.

Królowa, podnosząc swe wielkie, modre oczy, w których paliła się iskra zapалу, szukała niemi na twarzy przyjaciela śladów przebytych cierpień i trudów, a po chwili, miłym, łagodnym głosem rzekła:

— Witaj nam, don Christoval, który powracasz stamtąd, gdzie nikt jeszcze nie był, jakbyś wracał z za świata, bośmy cię byli już oplakali, kiedy tak długo ciebie nie było... Więcej niż królewskie dary ludzkości składasz...

A wzruszenie łzami zaszklilo szafirowe oczy.

Uroczyste milczenie zapanowało w pysznej komnacie. Przerwał je król:

— Admirale, opowiedz nam, proszę, o tem coś odkrył, coś widział?

Kolumb mówił:

— Tylko pokrótce wspomnieć mogę o tem wszystkim, aby zbytnio nie utrudzać Waszych Królewskich Mości i tego świetnego zgromadzenia. Szczegóły będę miał zaszczyt przedstawić w dzienniku, który pisałem w godzinach od snu odebranych. Posłuszny rozkazowi Waszych Królewskich Mości, dotarłem do wschodnich krain Azji, płynąc jednak ciągle na zachód. Wszystko mię skłania do przypuszczenia, że odkryłem archipelag wysp około Cipango leżący, a to, co tam widziałem i znalazłem utwierdza mię w tem przekonaniu, bo i łagodny, uroczy klimat i przezroczystość wód morskich, które omywają te błogosławione brzegi, a także bogactwa tak w złocie, jak i w podziwu godnej roślinności, wszystko to zgadza się z opisem Marco Pola. Ludzie tam są nadzy wprawdzie, lecz łagodni, ufni i gościnni, a dzikimi ich nazwać nie można, bo serca ich dostępne są dla litości i przyjaźni, czego miałem dowody owej nocy nieszczęsnej, kiedy »S-ta Marja« w piaskach przybrzeżnych ugrzęzła. Gdyby Wasze Królewskie Mości mogły wówczas ujrzeć te łzy, co zabłyśły w oczach kacyka Guakanagarego i ten ruch serdeczny, którym

mi podał swoją koronę złotą, aby mię pocieszyć, mogły usłyszeć te słowa szczerością dyszące, którymi do mnie przemówił, ofiarowując mi wszystko co posiada, to pewnieby Wasze Królewskie Mości postanowiły, że rodzicielskie serca dla tych nowych poddanych swoich mieć będą..

— I będziemy! — razem ozwali się król i królowa — Tak nam Boże dopomóż!

Kolumb mówił dalej:

— Najlepsze pojęcie dać mogą przedmioty przezemnie przywiezione, daleko dokładniejsze aniżeli to, któreby powstało z nieudolnych słów moich. Niech Wasze Królewskie Mości raczą rozkazać, aby przyprowadzono wyspiarzy i przyniesiono ich wyroby, a także złoto, okazy ptaków, zwierząt i roślin.

Król skinął na dworzan, a Kolumb mówił:

— Słowami już tylko mogę opowiedzieć o prześlicznym widoku tych wysp uroczych, których piękności nawet słowa poety i pędzel malarza oddać nie potrafią. Błękitne zatoki otoczone palmami, bananami, drzewami mahoni i tysiącem innych gatunków o liściach olbrzymich, niby zielone wachlarze, lub ostrza dzid ogromnych, o kwiatach różnobarwnych mieniących się purpurą, szafirem i złotem, a rozlewających w ciepłym a jednak rzeźwym powietrzu cudowne wonie, do których żadne w naszych klimatach porównane być nie mogą; rzeki o kryształowych wodach, przez które przegląda złoty piasek ich dna, a w nim toczą się bryłki

szlachetnego kruszcu; noce wspaniałe, przepojone jakimś mleczno-białym półbrzaskiem rozlanym po głębokim granacie nieba usianego nieznanymi gwiazdozbiorami o wielkich, białych gwiazdach, których odbicie drży w lekkiej fali marszczącej powierzchnię głębokich zatok usianych setkami łodzi, na których piękni wyspiarze, pływając, śpiewają melodyjne areyta swoje, a odpowiadają im z wonnych, cichych gajów chóry dziewcząt, o jasnobrunatnej cerze, uwieńczonych kwiatami. Wszystko to widzieć trzeba, aby pojąć ten czar, który tam wieje z każdego zakątka tak dolin, jak gór i przyłądków o dziwnych, a malowniczych kształtach. W zimie tam byłem, a jednak, podczas gdy tu, na wybrzeżach Hiszpanji i Portugalji, jak mi mówiono w Rastello i w Palos, wichry ryczały bezustannie, dmuchając zinnem i wzbudzając aż do wściekłości wody oceanu, tam, wiosna panowała, wszystko zieleniało i rosło, wszystko kwitło i owocowało tak, że na tem samym drzewie wisały pączki, kwiaty, zawiązki i dojrzałe owoce, w gajach, nocami, słowiki, od naszych odmienne, śpiewem echa budziły. Już widać, że tam wieczna wiosna panuje, czego zdaje się także dowodzić zwyczaj krajowców, którzy prawie żadnej odzieży nie znają, chociaż mają tkaniny z konopi i włókien nieznanego nam krzewu. Tam ciągle jest pogoda podobna do tej, co tu, w Katalonji, w kwitniu panuje..

Podziw rósł wokoło Kolumba w miarę jak mówił, a gdy wprowadzono Indjan, którzy gorącą, niezmierną ciekawość budzili, gdy usłyszano ich dziwną mowę, kiedy odpowiadali admirałowi na jego pytania i ujrzano papugi, kolibry, guana, pasy z barwnych kamyków i kostek, broń drewnianą rybiemi zębami nabijaną, łuki Sigaujczyków, a zwłaszcza naszyjniki i korony złote, bryłki tego kruszcu i złotodajny piasek, wówczas zdumienie granic nie miało, rozsadziło ramy etykiety dworskiej, w sali zamęt i gwar powstał, opatrywano Indjan, zachwycono się ich wyrobami, ważono na dłoniach ciężkie blachy i korony złote, każdy swe zdanie wypowiadał, spierając się z drugimi, a wszystkie oczy błyszczały ogromną ciekawością granic nie znającą.

Kiedy na znak króla, mistrz ceremonji przywołał zgromadzenie do porządku, bardzo łagodnymi słowami ze względu na tak wyjątkowe okoliczności, Kolumb zawołał:

— To wszystko, Wasze Królewskie Mości, jest tylko marną próbką tego, co do odkrycia pozostaje! Tam, nieco dalej, za temi cudnymi wyspami leżą lądy olbrzymie, państwa ogromne, bogate i ludne, które mam nadzieję odkryć i wieść o nich i władanie nad nimi złożyć u ich nóg monarszych, a Wasze Królewskie Mości zaskarbią łaski przed tronem Najwyższego, bo dusze miljonów ludzkich istot raczą otworzyć na światło wiary

Chrystusowej jedynie prawdziwej, jedynie pożytecznej! A zebrawszy skarby nieprzebrane z kopalni złota i z handlu w tych krajach bogatych, Wasze Królewskie Mości ruszą krucjatą na Palestynę i odbiorą z rąk niewiernych grób Zbawiciela, ja zaś, niegodne narzędzie w Bożem ręku, z cząstki tych skarbów mnie przypadającej, do tej krucjaty przyczynię się za lat siedem, wystawiając cztery tysiące jazdy i pięćdziesiąt tysięcy piechoty, a po upływie nowych lat pięciu, drugie tyle wystawię... tak mi Boże dopomóż!

Oblicze królowej zapalę tchnęło dla tej wielkiej idei, co tyłu duszami wstrząsała od wieków, do tego przedsięwzięcia, które zdawało się niepodobnem do spełnienia, tyle razy na niczem spełzało. Zachwytyt owładnął wszystkimi, na kolana padli, a chór królewskiej kaplicy zaintonował wspaniały, melodyjny »Te Deum laudamus« i cały ten tłum wykwintny a strojny gorąco mu wtórował z parą królewską i Kolumbem na czele.

Król i królowa wprost oszołomieni byli tem niebywałem wydarzeniem, tym olbrzymim rozrostem państwa, wobec którego bladły dotychczasowe powodzenia, nawet zdobycie Granady zupełnie było zaćmione.

W taki-to sposób, uroczysty i godny, umiała jeszcze wówczas Hiszpanja uczcić czyn wielki nie tylko w jej historii, lecz i w dziejach świata.

XIX.

Lecą!... Lecą skrzydlate łodzie! Wracają synowie nieba!...

Pół trwoźnie, nawpół radośnie pędziła, z ust do ust, ta wieść po cichych zatokach Haiti, po jej przylądkach zielonych i echem toczyła się w głębokich, wązkich dolinach i skalistych złomach gór Sibao, gdzie kacyk Kaonabo drgnął, kiedy do uszu jego doleciała ona. Drgnął, bo przeczuł boje niebywałe, lecz nie był to dreszcz trwogi, on lubił boje.

Ciche życie sielskie na spokojnej, bogatej wyspie nudziło karaibskiego korsarza i gdyby nie obszerne, ambitne plany, z którymi się nosił, onby Haiti dawno porzucił, opuściłby żony, zrzuciłby koronę kacyka, a powrócił do zuchwałych wypraw, do włóczęgi po morzach na dużych łodziach, pod skwarem słońca zwrotników, do walk z wichrami i olbrzymią falą. Teraz, otwierały się przed nim widoki groźniejszych zapasów z ryerczami zaku-

tymi w żelazne kaftany, których drewniany miecz nie przesiecze, a najostrzejsza ość u dzidy nie przebodzie, ze strasznym piorunem białych ludzi, co druzgocze drzewa, a ryczy niemniej potężnie od tego, który z chmur wypada. Waleczny Karaib marzył o tych bojach, które staczać będzie z tak nadzwyczajnymi przeciwnikami i rozkoszna niepewność wyniku tej walki, tak droga miłośnikom silnych wrażeń, wstrząsała sercem jego.

— Takich zwalczyć... takich zabić... Jakże bardzo pragnę...

Szeptął sam do siebie, idąc w stronę środkowego placu stolicy swojej, gdzie Hernando de Guevara, od kiedy był nawpół jeńcem, pół-przyjacielem a przyszłym zięciem i następcą Kaonaba, oddawał się zwykłemu zajęciu swemu, ucząc szermierki i wojskowych zwrotów przyboczną straż kacyka złożoną w części z karaibskich jeńców.

Maguańczycy i Karaibowie przyzwyczajeni do ciężkich mieczów z palmowego drzewa wyciosanych, któremi siekli z rozmachem mającym wynagrodzić ich tępość, nie mogli zrozumieć, a tem bardziej przyswoić sobie wszystkich subtelności szermierki na stalowe miecze, w której ręka i wola muszą ciągle panować nad każdym ich ruchem, gdzie zahartowane ostrze zadawała się cięciem z garści, a nie z ramienia, zadając, pomimo to, straszne rany i, z szybkością myśli, po cięciu lub

sztychu, powraca do obrony i zakrywa szermierza, niby murem stalowym.

Hernando pozwolił kilku zapaśnikom z hiszpańskimi lub haitiańskimi mieczami w rękach nastawać na siebie, a wszystkie ich usiłowania rozbiły się o to migocące jak błyskawica koło, którem go otaczał stalowy miecz obosieczny.

Zbliżywszy się, Kaonabo z zachwytem patrzył na ten obraz walki, a kiedy wyspiarze, znużeni lub zniechęceni daremną pracą, jeden po drugim ustępowali, on, z pogardliwym ruchem ramion, odezwał się do nich:

— Gdyby Hernando zechciał, to wszystkichby was wysiekił i wykłócił i słuszenieby zrobił, bo za niedołęstwo wasze niczego innego wamci nie jesteście.

Kaonabo, chociaż daleko mu jeszcze było do tego, aby dorównał Guevarze, znacznie więcej niż jego wojownicy z nauk Hiszpana skorzystał. Schwycił miecz i stanął naprzeciw niego, dzielnie stawiając czoło znakomitemu szermierzowi. Bawił się z nim Hernando czas jakiś, lecz sam już znużony, postanowił walkę zakończyć. Ruchem nagłym wplątał swe żelazo w klingę przeciwnika, szarpnął silnie a nie spodzianie i miecz Kaonaba, furcząc, wyleciał w powietrze i o kilkanaście kroków upadł. Kacyk westchnął ciężko, otarł pot z czoła i rzekł posępnie:

— Jeszcze nie... Już ja tobie nigdy chyba nie dorównam. Powiedz mi prawdę, Hernando, czy

innym Hiszpanom mogę ja skutecznie czoło stać? Czy też wszyscy tak walczą, jak ty?

— Uspokój się, kacyku. — odpowiedział Hernando, dumnie uśmiechając się. — Pośród hidalgów i caballeros bardzo mało jest takich, co mi sprostać mogą, a z pomiędzy podłej czerni — żaden. Już teraz, groźny z ciebie zapaśnik, a przy pracy i cierpliwości znakomitym się staniesz, bo masz oko bystre i rękę pewną, a brak ci tylko powściągliwości. Zawsze ci to mówię: ręka i oko wiele warte, ale zwycięża zimna a zawzięta dusza... Ty w boju zanadto się rozpalasz.

— Staram się hamować, ale dawne nałogi górze biorą. To dobrze jednak, iż mówisz, że mogę już z Hiszpanami walczyć, bo wiesz, Hernando? Przyleciały skrzydlate łodzie... Dużo ich, bardzo dużo i kołyszają się w zatoce u brzegu, gdzie dawniej stało Guariko i wysoki dom Arany, którego zabiłem... Zaczną się boje, jakich Haiti jeszcze nie widziało.

Guevara na tę wieść aż skoczył. Po spokojnych jego rysach, nad którymi zwykle panował, teraz, tysiące wrażeń przeleciało. Czarne oczy żółtymi błyskami zapaliły się, chwilę spoczęły na poważnie patrzących źrenicach kacyka i, chcąc skryć głębokie wzruszenie, pobiegły na boki, nadając jego pięknej twarzy wyraz nieszczery, przykry. Szermujący pomiędzy sobą wojownicy, zasłyszawszy słowa Kaonaba, stanęli jak wryci. Karaibom

oczy zaświeciły zapałem i uciechą. Haitianie trwożnie spoglądali wokoło, jakby oczekując, że lada chwila rykną nadewszystko straszne pioruny ogniaste, któremi biali władają. Hernando mruczał po hiszpańsku:

— Kolumb potrafił dopłynąć do Hiszpanji i powraca z wielką siłą... Żegnaj królestwo Haiti... korono guamikuiny...

Kaonabo rozumiał już trochę hiszpańską mowę, usłyszał ostatnie słowa Hernanda, wziął go na stronę i cicho rzekł:

— Będiesz guamikuiną... po mnie... Jeśli możesz mi ich zwalczyć. Zrobimy im tak, jak tamtym zrobiłem... tylko dajmy im czas pokłócić się. — a widząc na twarzy Hernanda walkę sprzeczných uczuć, dodał. — Przecież ja walczyłem z Karaibami, aby dostać od Kotabanamy Maguane, to ty możesz walczyć z Hiszpanami, żeby zdobyć całą Haiti... Hernando, z takimi jak oni przyjemnie walczyć, to uie gnuśne gęsi... Oo, takich zabić, na takich łupy zdobyć, ja bardzo chcę... Wkrótce ruszę po wyspie, kacyków przeciw białym poruszyć, budzić w nich zapał do boju.

Guevara znał i oceniał bezświadomą rycerskość Kaonaba, również jak ów, poznał jego chciwy władzy charakter, jego zdobywcze popędy i, ze względu na zamiary swoje, ceniał je, a także i dlatego, że w swym umyśle niewykształconego, chociaż zdolnego i ambitnego człowieka brał je za

jedno z wyższością ducha. Znając waleczność Guevary, a nie zdając sobie sprawy z niezwalczonej dla Haitian cywilizacyjnej potęgi Hiszpanów, ani chwili nie wątpił o tem, że Hernando, mając tak świetne na wyspie, u jego boku, widoki, będzie walczył z rodakami uporczywie, jak on sam nieraz odpierał najazdy swych braci Karaibów, liczył też bardzo na niego w nadziei, że on potrafi własną ich bronią zwalczać Hiszpanów. Zupełnie z tej strony spokojny, zwłaszcza podsłuchawszy wykrzyknik Guevary: żegnaj korono guamikuiny, jak tylko dowiedział się, że Kolumb, wylądowawszy na wschód od Guariko, buduje na północnym brzegu wyspy nowe miasto, natychmiast ruszył w podróż. Celem jej było budzić ducha wyspiarzy, korzystając z nieufności, jaką ku sobie wzbudzili Hiszpanie złem postępowaniem załogi Navidadu.

Przez kilka miesięcy trwania swojej niewoli w Maguanie, Guevara zdołał zupełnie zawojować serca Anakaony i córki jej Higuenamoty. Najemny żołdak i korsarz żądny wywyższenia, jakimibądź środkami, młody hidalgo podupadłego rodu przyzwyczajony w swem życiu pełnem wszelkich przygód do folgowania wszystkim namiętnościom bez względu na głos serca i sumienia, gdyż świętością i bożyszczem dla niego były tylko najgorsze cechy rycerskości: drapieżność, dzika waleczność i pozorne uwielbienie kobiet, Guevara skorzystał z powszechnie pomiędzy Haitiankami panującej

pochopności do zalotów i miłostek, z uwielbienia żony i córki Kaonaba dla jego egzotycznej piękności, a także dla wyższości syna niepojętej, nieziemskiej cywilizacji i stał się kochankiem obu.

Matka i córka, jakkolwiek w początkach uczuwały względem siebie zazdrość, przyzwyczajone jednak do wielożeństwa dozwolonego przez odwieczny obyczaj i dość powszechnie stosowanego w życiu krajowców, a w rodzinach kacyków — zawsze, zgodziły się na ten podział kochanka, rade nawet, że każda z nich ma rywalkę tak bliską sobie, zamiast jakiejś obcej kobiety, któraby groźniejszą być mogła. Dla ukrycia jednak prawdy przed kacykiem, musiały się zgodzić z tem, że ów dał ulubieńcowi dwoje dziewcząt, które sam z pośród najpiękniejszych wybrał.

Anakaona, pochodząca z rasy skłonnej do marzenia, poetka, przeczuwająca wrażliwą duszą jakieś wyższości i wzloty ducha, których na rodzinnej wyspie nie było, kochała w Guevarze tę wyższość dziecięcia cywilizacji daleko więcej, aniżeli jego samego, lecz Higuenamota, chociaż nieco wykształcona przez matkę, wzięła po ojcu niepoahamowane namiętności Karaibów i trochę dzikości, co ją robiło mniej skłonną do marzycielskich uniesień matki, to-też kochała Hernanda pierwszą gorącą miłością zaledwie rozkwitającej córki tych płomiennych klimatów. Jego uroda, tak różna od piękności haitiańskich i karaibskich młodzieńców,

w zachwyt ją wprawiała. Uwielbiała jego cerę tak białą z bladym różowym rumieńcem, a kryjąc się od matki, wabiła go nieraz w trudno dostępne skały rodzinnych swych gór i tam, leżąc przy nim na miękkiej murawie wonnemi kwiatami usianej, nad przepaścistym urwiskiem, zasłonięta szerokimi liśćmi karłowatych palm, godzinami całemi gładziła jego złote włosy, nie tając przed kochankiem swych wrzących uczuć.

Guevara wolał ten rodzaj miłości, pochlebiała mu ona znacznie więcej, niż zachwyty Anakaony, w których odczuwał mniej uwielbienia dla siebie, jak dla świata, który on dla niej przedstawiał. Nie zrywał z nią jednak, bo Anakaona, w pełnym rozkwicie wdzięków, prześliczna była, lecz dla rozwązłego korsarza piękna, rozkochana a trochę dzika córka Karaiba była stosowniejszą kochanką.

Leżąc obok Hernanda, nad urwiskiem, w głębi którego po łożysku usianem błyskami złotych blaszek szemrał potok o przezroczystych wodach, Higuenamota chłodziła jego czoło wachlarzem z papuzich piór i mówiła:

— Hernando, mój piękny Hernando... ja boję się...

— Czego, mój ptaszku gajów gór Sibao? — spytał Hernando.

— Białowłosy kacyk przypląnął. Na skrzydlatych łodziach dużo Hiszpanów przybyło, a może

i Hiszpanek... Ty za niemi zatęskniłeś pewnie... Hernando, ja boję się stracić ciebie.

— Mnie tu tak dobrze, Higuenamota, że wcale nie pokażę się admirałowi, niech myśli, iż zabito mię razem z tamtymi.

Radość zabłysła w czarnych, nieco skośnych oczach dziewczyny, poprawiła brunatną rączką wieńiec kwiatów, co zdobił jej główkę i, patrząc załotnie w oczy kochanka, rzekła:

— To dobrze... dobrze... Niech almirante myśli, że ty mu już tylko echem odpowiesz, gdy ciebie zawoła... — lecz nagle, smutek powlekl uśmiechniętą przed chwilą twarzyczkę śniadą i, związując głowę, rzekła: — Hernando tobie tu dobrze, bo ty kochasz złoty kwiat Ksaraguy... Oo, ja nie umiem tak śpiewać areyta, jak Anakaona i nigdy nie nauczę się.

Hernando pogładził jej czarne, lśniące, w granatową barwę wpadające włosy, w oczach jego zawitało coś niby wyraz tkliwości:

— Podnieś główkę, barwny ptaszku Maguany i słuchaj co powiem: Ja tylko ciebie kocham, ciebie jedną i zawsze tak będzie... ja tylko udaję, że kocham Anakaonę. Ona żona kacyka, twego ojca, którego jeńcem jestem, gdybym ją obraził, oczerniłaby mię przed nim i męki a może i śmierć on-by mi zadał... Rozumiesz?

— Rozumiem. Ale ona tego nie robi. Anakaona dobra... gdyby dobrą nie była, to nie uprze-

dziłaby mnie, że matką twego syna zostanę, zanim księżyc pięć razy zniknie i znów urośnie... Sama nie domyśliłabym się tego...

Hernando zachmurzył się, a kiedy Higuenamota, wiedziona instynktem kochającej kobiety, tuliła się do niego, robiąc mu to święte wobec majestatu przyrody zeznanie, on odtrącił ją i, powsta jąc, rzekł:

— Bardzo to pięknie... ale co powie Kaonabo? Chociaż nosi się on z zamiarem dania mi ciebie za żonę, lecz to tam, kiedyś, w przyszłości i wówczas, gdy sam zechce, no, i za żonę, a nie za kochankę, którą wzięłem bez pozwolenia jego. — zmarszczył brwi i mrucał. — Hm... źle. Wścieknie się kacyk... No, i nie pojedynkiem skończyć się to może.

Cicho, jakby zawstydzona, Higuenamota szepnęła:

— Kaonabo nie będzie wiedział, skoro nikt mu nie powie...

— Dziecko jesteś... — niecierpliwil się Guevara — Jakże może nie wiedzieć? Gdyby mu nawet nikt nie powiedział, to za jaki miesiąc, wystarczy mu spojrzeć na ciebie... Z waszemi obyczajami, tobie nic nie grozi, ale mnie?

Hidalgo-korsarz, zaskoczony tym wypadkiem, nie mógł na razie jasno rozejrzeć się w jego móżebnych skutkach, a zwłaszcza, iż żadną miarą nie zdołał wyobrazić siebie jako ojca rodziny. Zasepił

się i odszedł po ścieżce wiszącej nad przepaścią, a idąc, rozmyślał:

Przyszłość jaką mu gotowały wytępienie załogi Navidadu i rozmyślanie się Kaonaba w jego rycerskich zaletach, teraz, wobec powrotu Kolumba na czele znacznych sił, rozwiewała się i zupełnej zmianie ulegała. Znał już na tyle niedołęzne usposobienie Haitian, iż przypuszczał, że nie pomogą setki tysięcy ich wojowników otaczające tę garść Hiszpanów, która znowu wylądowała, wiedział, że wyspiarze nie potrafią zebrać się w wielkie wojsko pod dowództwem jednego naczelnika, a bezładne kupy nagich i niewalecznych krajowców Hiszpanie rozbijają i wytępią, jedno po drugim. Przecież Kolumb, pomimo swej łagodności, niechybnie zechce pomścić klęskę Navidadu, zatem wojna nieunikniona i horoskopy jej dla Haitian wogóle, a dla Kaonaba w szczególności, wcale nieświatne. Przytem, chociaż przez pewien czas uśmiechała mu się myśl królowania nad tą dużą, piękną wyspą, nieraz, ogarniała go tęsknota za cywilizacją, za jej rozkoszami i za bezustanną walką, co wre w jej łonie, pomiędzy każdym i wszystkimi; widmo bezbrzeżnej nudy i przesytu czasami stawało przed wyobraźnią jego, bo i w rzeczy samej, jakiemże będzie to życie jego dalsze, skoro marzenia Kaonaba spełnią się i on, Guevara, po długim panowaniu młodego jeszcze teścia, z kolei rządy obejmie. Spłyń mu ono wprawdzie wśród uroków piastowania

patryarchalnej władzy kacyka kacyków, wśród powszechnego posłuszeństwa, lecz jakże jednostajnie... Każdy dzień będzie do wczorajszego podobny. Ciągłe te same śpiewy, tańce, uczy, też prace łatwe i wiecznie spokój, niczem niezmacony spokój. Mógłby on zająć się ucywilizowaniem swych poddanych, nauczaniem ich wiary chrześcijańskiej i wielu pożytecznych zdobyczy europejskiej kultury... Uśmiechnął się na tę myśl. On, Hernado de Guevara, żołnierz, korsarz, trubadur, a często wprost rabuś bez czci i wiary, awanturnik, którego z ojczyzny wyгнаły tysiączne krwawe burdy, on, którego imię ze zgrozą powtarzali najsroźsi piraci Śródziemnego morza, miałby zostać nauczycielem i misjonarzem naiwnych, nagich mieszkańców tej wyspy zgubionej gdzieś, na krańcach świata. Tak mu się to wydało nieprawdopodobnym i śmieszkiem, że roześmiał się głośno i, schodząc w dół po karkołomnej ścieżce, rzekł sam do siebie:

— Buty szyć? Płaszcz kroić? Litanje śpiewać miałby uczyć Hernado de Guevara? A tobym się ubawił! Przez całe życie kochać ładne, ale dzikie i głupiutkie Indjanki i śpiewać im mdłe areyta?... Ślicznie dziękuję. Nie... nie! Złota nazbierać na tych wyspach, dużo złota i powracać z niem do Europy. Tegom tu przyplłynął, tak też i zrobić muszę. Kolumb sam pewnie tego pragnie, bo mu kruczata w głowie. Po mnie to się nie pokaże, abym miał tak marnie używać zdobytego złota...

znajdę ja inne dla niego pomieszczenie, ale tymczasem, już widać po wszystkim, że z Kolumbem mam trzymać teraz, a nie z Kaonabem... Szkoda mi rzucać tę małą Higuenamotę, dla której czuję coś dziwnego, coś, czego dotąd dla żadnej kobiety nie uczuwałem... Czasami, zdaje mi się, że mógłbym z nią całe życie spędzić w tych pachnących lasach, pod dachem z liści palmowych... chwilami, coś mi szeptem, że to właśnie szczęście: patrzeć na to śliczne dziewczę, w jej oczy, z których tryska bezgraniczna miłość dla mnie, słuchać jej zachwyty dla syna nieba, pół-boga niepojętego, którego ona na klęczkach wielbi... Ale to głupie marzenia... Otrząść się z nich muszę... Dość już mam tej dzikiej sielanki. Do Kolumba! Do admirała! A z nim na nowe podboje, na poszukiwanie złota... Dużo go tu w tych górach, ale go sam jeden nie dostanę, a Kaonabo zazdrosny o nie...

XX.

Gdy Kolumb wyruszył w drugą swą podróż, flota płynąca pod jego dowództwem, złożona z trzech większych okrętów i czternastu karawel, a niosąca około tysiąca pięciuset ludzi, po kilkotygodniowej żegludze, przybiła do karaibskiej wyspy, do Turukejry, którą Kolumb nazwał Guadelupą.

Hiszpanie zwiedzili zarówno wybrzeża tej wyspy, jak i jej wnętrze, przyczem, omal nie stracili kilku ludzi, którzy zabłądzili w dziewiczych lasach i ocaleni zostali jedynie dzięki temu, że wszyscy wyspiarze wyruszyli na wyprawę wojenną, a na wyspie pozostały tylko kobiety, które, nastraszone niezwykłym wyglądem gości, pomimo swej waleczności, uciekały od nich.

Od Guadelupy, Kolumb płynął ku północy, zwiedzając liczne karaibskie wyspy, gdzie krajowcy przyjmowali Hiszpanów niegościnnie, broniąc im wstępu na swoje brzegi. Kilku Karaibów uwięziono

podczas utarczek, a także kilkanaście kobiet, rodem z wyspy Boriken, później nazwanej Porto Rico, schroniło się na okręty, prosząc, aby je ratowano od niewoli karaibskiej.

Pilno było Kolumbowi do Navidadu, przypuszczał bowiem, że koloniści potrzebują zapasów żywności, nie zdoławszy jeszcze przywyknąć do pożywienia krajowców, a także ciekawy był ujrzeć wyniki tej pierwszej próby kolonizacyjnej w Nowym Świecie i przekonać się, czy udało się Aranie i jego podwładnym zebrać tyle złota, jak się tego spodziewał, przekonał się bowiem, podczas pobytu w Hiszpanji, jak wszystkim, nie wyłączając króla Ferdynanda, idzie o natychmiastowe zyski z odkrycia pod postacią tego kruszcu. Jedną chyba tylko królowa Izabella wyżej stawiała zdobycze moralnej natury, mianowicie nadzieję nawrócenia na chrześcijaństwo krajowców. Ubolewał Kolumb nad tą powszechną chciwością, która stawała na przeszkodzie do dalszych, obszerniejszych i donioślejszych odkryć, lecz musiał się z nią liczyć, pomimo, iż jeszcze nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo ona zacięży na losach tak jego własnych, jak i towarzyszy jego, a także i ziem, które odkrywał.

Korzystając zatem z pomyślnego wiatru, płynął Kolumb pośpiesznie ku Hiszpanioli, a dotarwszy do zatoki Samana, puścił się wzdłuż północnych brzegów wyspy. Około przylądka Monte-Christi, ludzie,

poślani w szalupie do brzegu po słodką wodę, przywieźli z powrotem groźną wieść, że znaleźli dwa trupy niepogrzebane, z których jeden nosił ślady zarostu na twarzy, pomimo, iż był w stanie zupełnego rozkładu. Musiał to być zatem trup Hiszpana, gdyż Indjanie pozbawieni byli zarostu. Niepokój oświadnął Kolumbem, a gdy nazajutrz, w innym miejscu, znaleziono znowu kilka trupów, wygląd których już żadnej wątpliwości zostawić nie mógł, trwoga o los załogi Navidadu ogarnęła go.

22-go listopada 1493-go roku, późnym wieczorem, kiedy było już zupełnie ciemno, flota przypłynęła do zatoki, nad którą wznosiła się forteczka. Wywieszono na masztach latarnie. Kilkakrotnie wystrzelono z armat, daremnie oczekując odpowiedzi, gdyż tylko echo, odbite od gór, potoczyło się po uspionej wyspie. Złe przecucia obsiadły załogę floty. Kolumb już był prawie pewny, że jakaś kłeska spotkała jego kolonję.

O brzasku dnia, okręty zbliżyły się do brzegu, wysłano łodzie, lecz ten kraj, tak ludny i wesoły przed kilku miesiącami, był teraz zupełnie pusty. W miejscu, gdzie wznosiło się Guariko, stolica Guakanagarego, zgliszcza już porastały bujną trawą, z Navidadu pozostała tylko kupa kamieni i niedopalonych belek. Nigdzie Hiszpanie nie mogli spotkać żadnego krajowca, a widząc kryjących się za drzewami i w zaroślach, gonili za nimi, lecz ani

jednego doścignąć nie potrafili. Kolumb osobiście zwiedził ruiny fortu, rozkazał w wielu miejscach kopać ziemię, w nadziei, że trafi na zakopane złoto, odjeżdżając bowiem, polecił Aranie i Escobedowi, aby, w razie nagłego niebezpieczeństwa, w ten sposób ukryli zdobyte już skarby. Złota jednak nie znaleziono nigdzie, natomiast odkopano kilka trupów, których już jednak rozpoznać nie zdołano, a w jednej z okolicznych wiosek, opuszczonej przez mieszkańców na widok nadchodzących Hiszpanów, znaleziono kilka przedmiotów europejskiego pochodzenia, pomiędzy innymi była, w jednej z chat, bogata maurytańska suknia zrabowana przez Hiszpanów podczas zdobycia Granady.

Gdy Kolumb, pogrążony w smutku i niepewności co czynić, siedział na pokładzie swego admirańskiego statku, »Marigalante«, dwaj Indjanie podpłynęli do okrętu i oznajmiwszy, że pragną widzieć admirała, dopiero gdy go zobaczyli, ośmielili się wejść na pokład. Jeden z nich oświadczył, że jest krewnym Guakanagarego i natychmiast opowiedział smutne dzieje Navidadu i Guarico, kładąc nacisk na zniszczenie tego ostatniego, a także na ciężką ranę, jaką otrzymał Guakanagari od okrutnego Kaonaba, broniąc swoich przyjaciół, białych synów nieba, w końcu zaś powiedział, że Guakanagari prosi admirała, aby raczył go odwiedzić w jednej z sąsiednich wiosek, gdzie teraz mieszka, nie mogąc jeszcze z ran zupełnie wyleczyć się.

Kolumb niezmiernie uradowany tem, że poseł kacyka rozproszył podejrzenia jego co do postępowania Guakanagarego, dla którego ciągle żywił bardzo przyjazne uczucia, zaraz nazajutrz, udał się w odwiedziiny do niego. Zastał go leżącym w hamaku, otoczonego kobietami. Kiedy Kolumb wszedł do chaty na czele licznego orszaku hidalgów bogato odzianych w zbroje, lub malownicze hiszpańskie stroje, Guakanagari powitał go serdecznie, patrząc nań z uwielbieniem pochodzącem zarówno z przyjaźni, jak i z poczucia wielkiej wyższości jego.

— To dobrze... dobrze, żeś powrócił do nas, almirante. — mówił. — Żle nam tu było bez ciebie. Nieszczęścia wielkie wyspę nawiedziły. Wojownicy twoi, wodza pozbawieni, zaczęli źle postępować, krzywdzili ludzi, a gdy, niepomni rozkazów twoich, opuścili moje ziemie i do gór Sibao poszli, dziki Karaib, Kaonabo, wymordował ich, a potem napadł na wysoki dom, spalił go i rozrzucił, Aranę zabił, a także wszystkich Hiszpanów, którzy przy nim pozostali. Zebrałem swoich wojowników, chcąc przynajmniej resztę białych ratować, ale nie nam z Karaibami wojować. Kaonabo mnie samego ciężko zranił tak, że dotąd ból w nodze bardzo mi dokucza, spalił do tła Guariko, a wojownicy jego moich ludzi pozabijali, lub pokaleczyli... Niech wejdą — zwrócił się do służby — wojownicy, którzy noszą blizny od strzał i mieczów karaibskich.

A gdy weszło kilkunastu Haitian, rozkazał im pokazać blizny pozostałe po ranach otrzymanych w bitwie pod Guariko.

— Widzisz, almirante, — usprawiedliwiał się — to nie są rany od waszych strasznych, błyszczących mieczów, u tylko od maczug nabijanych rybiami żębami. Widzisz, że moi wojownicy nie przeciwko twoim walczyli, lecz przeciwnie, w ich obronie stawali. A zgliszcza Guariko możesz sam oglądać. Co ten Karaib okrutny zrobił z mojej pięknej stolicy? — i lzy zaszkliły się w jego łagodnych, dużych oczach. — Robiłem co mogłem, wielki almirante... Znosiłem cierpliwie niesłuszne wymagania i złe uczynki twoich wojowników... Dałem każdemu z nich po dwoje pięknych dziewcząt i często dary im posyłałem, a kiedy oni, nie bacząc na to, porywali kobiety i zdierali z mężczyzn złote ozdoby, ja starałem się hamować niezadowolone poddanych moich, tłumacząc im, że skończy się to, skoro ty powrócisz. Przyjaźni, którą ci obiecałem, dochowałem, nie mam nic do wyrzucenia sobie, teraz, kiedy patrzę w twe okazałe oblicze, kiedy przyplynałeś, aby sądzić uczynki nasze.., Almirante, winowajcami tych nieszczęść są wojownicy twoi, którzy już teraz chodzą nocami po lasach, jedząc owoce mameyu i echem odpowiadają wołaniom żywych, a także dziki Karaib, Kaonabo, kacyk Maguany, który nie może zapomnieć swych dawnych obyczajów. Ty na mnie patrz

zawsze tem samym przyjaznem spojrzeniem, jakim patrzyłeś wtedy, kiedyś ci złotą koronę swoją oddał, aby cię pocieszyć po stracie twojej dużej, skrzydlatej łodzi, bo Guakanagari, kacyk Marienu, dochował przyjaźni wielkiemu kacykowi białych ludzi.

Wychylając się z hamaku, skłaniał nisko głowę przed Kolumbem i kładł na niej obie dłonie, a w twarzy jego była taka szczerłość i w wyrazie oczu tyle prawdy, że pierzchły reszty podejrzeń admirała, zbliżył się on do kacyka i uściśnął go z prawdziwym uczuciem przyjaźni.

— Guakanagari, — rzekł — wierzę zupełnie słowom twoim i chociaż bardzo boleję nad losem wojowników moich, w tej chwili jednak, troska o twoje zdrowie najbardziej mnie zaprzęta. Pozwól, aby oto tu obecny wielki lekarz opatrzył twoje rany, on z pewnością ulgę ci przyniesie. — wskazał na jednego z towarzyszących mu Hiszpanów, który był chirurgiem floty.

— Dobrze, niech wielki lekarz białych zobaczy mą nogę, którą strzaskał miecz Kaonaba.

Kiedy chirurg zbliżał się do hamaku kacyka, z nim razem podszedł jeden z kilkunastu księży, którzy towarzyszyli wyprawie, benedyktyn, ojciec Boyle, człowiek podejrzliwy i mściwy, chcąc na własne oczy przekonać się o istnieniu blizny i o jej wyglądzie, czy pochodzi ona od indyjskiej broni, czy też od hiszpańskiej. Chirurg ostrożnie odkrył

bawełnianą tkaninę okrywającą nogi rannego i we wskazanem miejscu nie znalazł żadnych zewnętrznych oznak, pomimo to, kiedy zaczął dotknięciem badać stan kości, Guakanagari nie mógł powstrzymać oznak doświadczanego a znacznego bólu.

— Komedje... — burknął ojciec Boyle, niedowierzająco spoglądając to na nogę, to w oczy kacyka. — Tak on był ranny, jak i ja. Admirale, — zwrócił się do Kolumba — grzeszycie zbytnią pobłażliwością dla tych pogan... Chodźcież i zobaczcie sami, czy jest choćby najmniejszy ślad rany.

— Że niema oznak zewnętrznych, — ozwał się chirurg, to jeszcze nie wyklucza możebności ukrytych obrażeń w kości lub ścięgnach.

— Słyszycie ojcze? — zwrócił się Kolumb ku zakonnikowi z wymówką w spojrzeniu. — Wyrzucacie mi zbytnią ufność, a ja was zapytam, co lepsze: czy nadmierna pobłażliwość, czy też przesadna podejrzliwość, tembardziej, iż tu idzie przede wszystkim o sprawiedliwość?

Gwałtownego charakteru zakonnik, co już niejednokrotnie zadzierał z Kolumbem, którego władzę z trudnością znosił, poczerwieniał z gniewu i, najeżając gęste, szpakowate brwi, zawołał niecierpliwie:

— A ja wam mówię, że nie kto inny, jak ten poganin naszych Hiszpanów wymordował i, Boże odpuść, w ich liczbie kilku hidalgów prawdziwej błękitnej krwi... Nie bronię ja i tego Karaiba, ka-

cyka złotodajnych gór, bo oni obaj zapewne na wspólkę działali... Wy, admirale, mnie, duchownemu, grzechów moich nie wytykajcie, bo nie wy mię spowiadać będziecie, a o! lepiej baczcie, abyście powolnością swoją nie narazili chrześcijan, poddanych Ich Królewskich Mości na taki sam los, jaki spotkał załogę Navidadu.

Guakanagari, chociaż bardzo mało rozumiał z toczącej się rozmowy, pilnie patrząc na twarze prowadzących ją, zaczynał zdawać sobie sprawę z ich uczuć. Po odmiennym stroju zakonnika, po jego śmiałym tonie, gdy do admirała przemawiał, zmiarkował, że ów musi być czarownikiem, lub kapłanem, co dla niego równoznaczne było, a biorąc przykład z wpływu, jaki haitiańscy butiowie mieli na bieg spraw wyspy, zadrżał o swój los, gdyby mnichowi udało się przekonać potężnego admirała, którego gniewu obawiał się na równi z bożym, tak dalece przedstawiał on dla niego jakąś nadprzyrodzoną istotę. Bronił się więc, jak mógł:

— Butio białych ludzi nie wierzy szczerym słowom moim. Butio żałuje swoich ludzi pobitych przez Kaonaba i mścić się chce na niewinnym ich przyjacielu, jakim ja byłem, ale wielki almirante nie przychyli ucha ku mściwym słowom butia, bo on wie, że nie godzi się nadużywać tej znacznej potęgi, jaką mu dał Wielki Duch. Nasi ojcowie mówili, że po śmierci, człowiek ma do wyboru dwie podróże: jedną do krain, gdzie wielkie

szczęście panuje, w ciągłym weselu i ucztach, jeśli za życia był dobry dla tych, którzy mu nic złego nie robili, a drugą do ciemnych jaskiń, gdzie chłód panuje i radości żadnych niema, jeżeli zło czynił tym, którzy go wielbili i kochali...

Tu, Guakanagari podniósł się nieco w hamaku, twarz jego przybrała wyraz uroczysty, który zastąpił malującą się uprzednio na niej twogę i dalej mówił:

— Jeśli zatem wy, Hiszpanie, spodziewacie się śmierci, o czym ja nie wiem, to widok waszej własnej potęgi nie powinien was upajać, jak dym z tabago ulatujący, i psuć wasze dobre myśli, bo po śmierci, ta druga, smutna podróż może was czekać, a jeżeli nieśmiertelnymi czujecie się, to ciężko wam będzie żyć wiecznie, wiedząc jak nieśluszenie skrzywdziliście swego przyjaciela, który za was walczył i krwią a także i mieniem swoim od wrogów was zasłaniał.

Z twarzy kacyka, gdy to mówił, jaśniała taka łagodna powaga, jego wyraziste oczy patrzyły taką otwartością i odwagą zaczerpniętą ze spokoju sumienia, że kiedy słowa jego przetłumaczył jeden z krajowców Guanahani, który w Hiszpanji chrzest przyjął i, pod nazwiskiem Diego Colon, towarzyszył powtórej podróży, Kolumb wzruszonym głosem rzekł:

— Guakanagari, mój zacny przyjacielu, mówił tak, jak gdyby dusza twoja już przejrzała na swia-

to prawdziwej wiary. Wierzę ci... wierzę, że sumienie twoje czyste i prawdę mówisz, bo kłamstwo na takie słowa zdobyć się nie potrafi, ani też patrzeć tak, jak twoje oczy uczciwie patrzą.

Ojciec Boyle, słysząc to, zzymnął się i, mruknąwszy:

— Warto rzucać perły przed świnię...

Wyszedł z chaty kacyka i przeprowadzony przez kilku Hiszpanów, pomiędzy którymi był jego przyjaciel, również źle dla Kolumba usposobiony, niejaki Bernal Diaz de Pisa, odszedł do brzegu ku oczekującym tam łodziom.

Guakanagari kazał przynieść dary dla admirała przeznaczone i ofiarował mu osiemset ziarn bardzo na Haiti cenionego kamienia, siba zwanego, sto ziarn złota, takąż koronę i trzy tykwy napełnione złotym piaskiem, a w zamian otrzymał wielką ilość szklanych pereł i paciorek, nożów, szpilek, igieł, dzwonek, lusterek i nadewszystko przez Haitian cenionych ozdób miedzianych. Guakanagari nie posiadał się z radości, dziękował admirałowi i nawet czuł się upokorzonym, bo sądził, że ów o wiele prześcignął go w hojności.

Po uczcie, gdy wieczór zbliżał się, Kolumb namówił kacyka, aby mu towarzyszył do okrętu. Obu niesiono w lektykach, aż do łodzi, a podpływając do stojącej na kotwicach floty, Guakanagari ze zdumieniem ujrzał siedemnaście skrzydlatych łodzi, z których trzy były tak duże i wysokie,

o jakich dotąd pojęcia nie miał, nie przypuszczając, że takie zgoła istnieć mogą. Zdziwieniu kacyka i zachwytom jego, z przerażeniem prawie zmieszonym, końca nie było na widok tych cudów, które ujrzał na okrętach. Zwłaszcza zwierzęta niezmierną ciekawość w nim zbudziły. Na Haiti zadnych większych zwierząt, tak dzikich, jak i swoich nie było, stanowiły one zatem dla wyspiarzy zupełną nowość, szczególnie konie podziw wzbudzały. Sądząc po ich wzroście i sile, brali je oni za drapieżne jakieś, niezmiernie niebezpieczne stworzenia, a widząc ich zupełne posłuszeństwo woli Hiszpanów, tembardziej nabierali przekonania, że ci są istotami nadziemskiego pochodzenia.

Kiedy Guakanagari, opatrzwszy także woły, krowy, owce, świnie i domowe ptactwo przez Hiszpanów przywiezione dla rozmnożenia ich na wyspie, znalazł się przed uwięzionymi Karaibami, zadrzał na widok tych odwiecznych wrogów swego szczepu i zawołał:

— Almirante, zaprawdę potędze twojej nikt oprzeć się nie zdoła, skoro ośmieliłeś się napaść na nich, w ich własnem gnieździe, na ich wyspach i potrafiłeś zwyciężyć ich, pozabijać i nawet w niewolę uprowadzić... Wielki jesteś!... Wielki i straszni są wojownicy twoi... niezwycześni i trwogi niezający...

A twarze towarzyszących mu Haitian przerażenie i wielki szacunek wyrażały, dzielali oni

zupełnie zdanie swego kacyka. Z kolei, pokazano Guakanagaremu uwolnione z karaibskiej niewoli kobiety, rodem z Boriken, pomiędzy którymi była jedna wyróżniająca się wielką pięknnością i wyrazem jakiejś wyższości w obliczu, postawie i ruchach. Hiszpanie przewali ją Katalina i bardzo się nią zachwycali. Guakanagari podszedł do niej i łagodnie a smutno rzekł:

— Biedne wy jesteście... Z jednej niewoli trafiłyście w drugą. Lecz ty jesteś tak piękna, że muszę o was pomyśleć...

Urwał, widząc, że Hiszpanie starają się zrozumieć, co on mówi, lecz spostrzegłszy, iż tłumacz Diego Colon odszedł, zbliżył się znowu do kobiet i dłuższy czas rozmawiał z nimi, zwłaszcza z Kataliną. Rozmowę tę przerwał Kolumb, zapraszając kacyka na wieczerzę, a prowadząc go ku tyłowi okrętu, do dużej kajuty za jadalnię służącej, pytał:

— Po łatwości, z jaką rozmawiałeś z temi kobietami rodem z Boriken, widzę, że mowa wasza jednaka, czy i na innych wyspach też sama panuje?

— W rzadkich wypadkach, kiedy spotykamy się z mieszkańcami innych wysp, zawsze się rozumiemy nawzajem, oprócz niektórych wyrazów odmiennych, lub inaczej wymówionych... I nic w tem dziwnego, bo Haiti to środek świata i z niej wyszli wszyscy ludzie.

Uśmiechnął się Kolumb na to oświadczenie,

lecz uszanował wierzenia swego przyjaciela i nie starał się zachwiać niemi, a wprowadziwszy kacyka do jadalni, zaprosił go na honorowe miejsce i częstował ulubionemi przez Haitian miodem, słodyczami i winem, starając się okazać mu swą ufność i nawzajem obudzić w nim dawne uczucia uwielbienia i przyjaźni.

Dziwny widok przedstawiała bogato przybrana jadalnia admirałskiego okrętu »Marigalante« rzeźbienie oświecona wielką ilością woskowych świec, z suto zastawionym stołem, wokoło którego zasiadali Hiszpanie odziani w aksamity i jedwabie, a pośród nich kilku nagich kacyków ze złotemi koronami na głowach, z pióropuszcami we włosach, a powagą na pięknych obliczach. Jedli oni powoli, a ruchy ich były wykwintne i mowa grzeczna, ozdobna.

— Guakanagari, mój przyjacielu, — mówił Kolumb — mam zamiar na stałe osiedlić się tu, obok ciebie, na tych pięknych brzegach i odjeżdżać już będę tylko na krótko, w celu zwiedzania sąsiednich wysp i znalezienia stałego lądu. Czy rad mię przyjmiesz za sąsiada?

Gdy tłumacz przełożył mu słowa admirała, po wyrazistej twarzy kacyka jakiś cień przeleciał, obrzucił zgromadzenie dziwnym wzrokiem, lecz wkrótce, kiedy oczy jego spoczęły na obliczu Kolumba, miały już one wyraz szczerości, pomyślał chwilę i odpowiedział:

— Ciebie, almirante, zawsze rad widzę i szczęściem dla mnie będzie sąsiedztwo twoje, ale...

Tu, wzrok jego pobiegł, trwożny, nieufny, w stronę, gdzie siedział ojciec Boyle.

— ...Ale, — ciągnął dalej — boję się, że kraj tu niezdrowy będzie dla was, Hiszpanów. Moczary tu są, kraj niski, wilgotny, gdy przyjdą upały, mgły z nich podnoszą się, szkodliwe nawet dla nas Haitian, a cóż dla was nieprzyzwyczajonych. Przytem, wy potrzebujecie kamieni do budowy waszych wysokich domów, a tu o kamienie trudno.

Kiedy Guanahańczyk tłumaczył słowa kacyka, ksiądz Boyle podejrzliwym, prawie zagniewanym wzrokiem nań patrzył. Nie wytrzymał i mruknął:

— A co? A co? Widzicie? Już mu nie w smak nasze sąsiedztwo...

Kilku Hiszpanów potakiwało mnichowi. Szeptano:

— Wykręca się... Ho hoo! Nieczyste widać ma sumienie... Krew Arany i Escobeda na jego brunatnych łapach widnieje... To on Guevarę zamordował...

A wejrzenia, oblicza i ruchy zdradzały uczucia mówiących. Guakanagari znał imiona wszystkich dawnych mieszkańców Navidadu. Powtarzane nazwiska Arany, Escobeda i Guevary dały mu do myślenia, iż podejrzania znowu się budzą. Chwila trwogi nań nasza, bo czuł się tu, na okręcie, w zupełnej mocy tych ludzi, rodacy których niczyjej miłości na Haiti nie zaskarbili. Trwoga złym jest

doradcą, nie zwykła budzić szlachetnych uczuć. Guakanagari przypomniał brutalne, niegodziwe postępkę mieszkańców zburzonej fortecy, którzy nawet jego powagi naczelnego kacyka kraju nie uszanowali; wspomnienia te nieufnością i wstrętem serce jego napełniły. Pogardliwym wejrzeniem obrzucił biesiadników.

Kolumb, słysząc nieostrożne słowa podwładnych swoich i widząc grę twarzy gościa, ufny w jego niezajomość hiszpańskiej mowy, rzekł do nich:

— Złe robicie, panowie. Nasz gość nie winien rzezi Hiszpanów i szczerze nam przyjazny jest, lecz zważcie, że ufność i przyjaźń to czułe na chłód kwiaty, ciągle podejrzenia zwarzyć je mogą... Więcej wam powiem, widzę niestety, że już zmrażać je zaczynają, a gdy raz zwiędną, więcej nie ożyją. Jeżeli nie dla sprawiedliwości, to niech was przynajmniej względy na bezpieczeństwo własne i na zyski powstrzymają... Przecież nas tu garstka pośród całego morza krajowców... Jakże my w tych górach złota szukać będziemy, jeśli za każdym pniem, za każdą skałą wróg zawzięty czyhać na nas będzie?

Oblicze Kolumba, z poważnego, surowe stało się i mówił głosem, w którym gniew naczelnika czuć było:

— Niech dla was nauką i przestrogą będzie los załogi Nawidadu. Ani się opatrzyście, jak i nas wszystkich to samo spotka. Nasi rodacy sami winni,

własnymi zbrodniami grób sobie wykopali. Wypiarze Hispanioli są cierpliwi, łagodni i bezbronni, lecz pamiętajcie, że i robak nadeptany broni się:

— My się ich nie boimy. — burknął Bernal de Pisa.

— Admirale! — zawołał Boyle. — Ja wam powiadam, że ten poganin przewrotny jest! Udaje ranionego, wam pochlebia ustami, a z oczu wilk mu wygląda, gdy na nas patrzy. Co tu długo gadać! Jest teraz w mocy naszej, zakuć go w kajdany, sądzić za mord Hiszpanów i przykładnie ukarać, aby odpadła ochota tym poganom krew katolicką przelewać!

Kolumb, przyzwyczajony do wielkiego poszanowania dla duchownych, nie śmiał zupełnie otwarcie sprzeciwiać się temu pierwszemu apostołowi Nowego Świata, lecz nie chciał także dopuścić krzywdy Guakanagarego, tak z powodu swej prawdziwej dla niego przyjaźni, jak i dla rozumnej polityki, której trzymać się pragnął względem krajowców, rzekł więc pojednawczo:

— Guakanagari nam nie ucieknie, jeśli nie dacie mu poznać, iż go podejrzewacie i mścić się na nim chcecie. Przecież ktokolwiek żyw musiał pozostać z pośród załogi Nawidadu i tylko, ukryty gdzieś w lasach, albo o nas jeszcze nie wie, lub też dostać się do nas nie może. W końcu jednak odszukamy niedobitków i dowiemy się całej prawdy. Wtedy, jeżeli ten kacyk winien, surowo go ukarzę,

lecz tymczasem, rozsądek i dbałość o własne bezpieczeństwo, a także sprawiedliwość, nakazują nam zachowanie cierpliwości i ostrożności.

Stronnicy ojca Boyle i Bernala de Pisa nie byli liczni. Większość oficerów i hidalgów pociągnęła za Kolumbem, lecz Guakanagari odgadł, o co toczył się ów spór w jego obecności i delikatny kwiat ufności, jak mówił admirał, zwiądnął w jego duszy. Kolumb, chcąc zatrzeć niemiłe wrażenia gościa, których odbłask przelatywał po jego obliczu, poszedł do swej sypialni i, wyniósłszy stamtąd na srebrnym łańcuszku wiszący obrazek Matki Boskiej, chciał mu go zawiesić na szyi, lecz Guakanagari, pomimo wielkiego zamiłowania do ozdób wszelkich, wzbraniał się usilnie od przyjęcia tego daru, bo, zmiarkowawszy po szacunku, jakim go otaczali Hiszpanie, że jest on przedmiotem ich religijnej czci, obawiał się go i wstręt do niego uczuwał, myśląc, iż Zemi takich niedobrych ludzi, jakimi byli Hiszpanie, może mu przynieść tylko nieszczęście. Broniąc się od tego daru, mówił:

— Almirante, jużes mię tak obdarował, że ponad zasługi i godność moją. Tego już przyjąć nie mogę, bo i nie mam czem ci się wywdzięczyc... Proszę, niech ten twój Zemi pozostanie u ciebie, skoro ci szczęście przynosi... nie chcę pozbawiać ciebie opieki jego.

Wstał z siedzenia i odchodził od Kolumba idącego za nim, aby mu łańcuszek na szyi zawie-

sić. Wielkie oburzenie ogarnęło obecnych, gdyż ojciec Boyle wołał:

— Widzicie? Zatwardziały poganin jaki!... Nawracaj tu takich! Tu można własną głową takie apostolstwo okupić... Obrazka Najświętszej Panny odmawia i admirał dowodzi, że on niewinien?

Hiszpanie pokrzykiwać zaczęli, w miecze trząskać. Przeraziło to kacyka tak, iż zmiękł i dał sobie zawiesić obrazek na szyi. Poczem, chociaż ucichło w jadalni, już Guakanagari nie mógł przyjść zupełnie do uprzedniego spokoju. Kręcił się na siedzeniu, odmawiał jedzenia a nawet i wina. Wkrótce, pożegnał Kolumba i, nie przyjmując okrętowej szalupy, odjechał własną łodzią, która nań oczekiwała u boku »Marigalante«.

XXI.

Nazajutrz, Kolumb, wczesnym bardzo rankiem, przechadzał się po pokładzie, zachwycony widokiem, co stał się przed nim, łagodnym, pachnącem powietrzem, którym z rozkoszą oddychał i nadzwyczajną przezroczystością wód zatoki. Myślał o założeniu prawdziwej kolonii, miasta, na tych brzegach tak mało jeszcze znanego, a tak pięknego świata. Zeznawał prawdę słów Guakanagarego, które taką burzę wczoraj podniosły, że ta miejscowość jest bagnista, a więc niezdrowa, zwłaszcza w lecie i postanowił szukać wyższych brzegów i dogodniejszego portu. Przechodząc około drabiny z lin, umocowanej od połowy wysokości masztu do boku okrętu, spostrzegł jakiś błyszczący przedmiot wysoko na niej zawieszony. Wspiął się po szczeblach splecionych z powrozów i dostał obrazek, który wilją ofiarował kacykowi.

Kolumb, pomimo obszernego rozumu, był

wszakże dziecięciem swego wieku i nie mógł oswobodzić się od przywiązywania wielkiej wagi do zewnętrznych oznak nabożeństwa. Nie miał on w duszy ani obludy, jaką niejednen z wielkich ówczesnego świata pokrywał zupełną częstokroć niewiarę, ani też wyłączości i ciemnoty innych, widzących religję jedynie w formułkach i obrzędach, lecz, obok szerszych, prawdziwie chrześcijańskich uczuć, żywił jednak dla materialnych symbolów cześć przechodzącą w pewien rodzaj zabobonu.

Narazie, zmartwił się i oburzył tą mniemaną pogardą okazaną przez kacyka względem świętego przedmiotu, lecz wkrótce, przyszło mu na myśl, że świętym on dla niego nie jest i być nie może. Przypomniał słowa wczoraj przez niego powiedziane »nie chcę ciebie pozbawiać tego Zemi, skoro on ci szczęście przynosi«... A więc, ów obrazek on miał za jedno z potwornemi uosobieniami Zemów, bożków, rodzaj pomniejszych opiekuńczych duchów, które, grubo wyrobione ze złota, kości lub drzewa, Haitianie nosili zawieszane na piersi, które jedni drugim darowywali, lub nawzajem od siebie, niekiedy, sławniejsze odkradali. Porównanie to bluźnierczem wydało się Kolumbowi, lecz po chwili, nadleciała myśl, że przecież on ten obrazek darowywał kacykowi, niby pierwszego lepszego Zemi... Zapewne... wielka pomiędzy obrazkiem i Zemi różnica... a jednak.

I przestał uczuwać żal do Guakanagarego, bo inny, bardziej uzasadniony i nie do dzikiego kacyka uczuwany, serce mu ścisnął: on wiedział jak luźne są pojęcia religijne Haitian. Każdy Zemi dla nich dobry, a zwłaszcza taki, który pochodzi od białych ludzi, synów nieba, potężnych czarodziejów. Guakanagari, szczególnie, powinien był wysoko cenić taki dar z rąk ubóstwianego admirała... Dlaczego odrzucił go? ...Dlaczego? Bo pogardził bogiem rabusiów, złodziei, pijaków i rozpustników, jakimi okazali się Hiszpanie, jako pierwsi osadnicy Nowego Świata w Navidadzie pozostawieni. Czyny ich zachwiały uwielbieniem, ufnością, ubóstwieniem, jakie wyspiarze mieli w pierwszych chwilach znajomości dla nadzwyczajnych przybyszów, może nietylko zachwiały, ale zniszczyły je zupełnie, utrudniając na zawsze apostołstwo chrześcijaństwa, które on na czele stawiał w szeregu celów, do jakich tak wytrwale i od tak dawna dążył. A zatem, odtąd, zamiast spotykać ludność przyjaźnie usposobioną, któraby za szczęście sobie miała przyjęcie prawdziwej wiary od wymarzonych synów nieba, zamiast działać łagodnością, rozumem, cywilizacyjną wyższością, Hiszpanie będą mieczem torowali drogę krzyżowi i jeszcze raz, jak już tak często bywało, świętej doktrynie jej własni apostołowie kłam zadadzą... nauka miłości i przebaczenia, odrywająca dusze od nędz doczesnych, a unosząca je w krainy wiecznego światła, złana

krwią i łzami, przyjdzie do tych nowych ludów nie jak błogosławieństwo, lecz jako klęska... A on, w ciągu tych uroczych dni powodzenia, tak pięknie roił, że z różczką oliwną w ręku do tych ludów pójdzie, niosąc im w darze dobrodziejstwa wiary, cywilizacji, wiedzy, dóbr wszelkich...

I chodząc po pokładzie, w ów wspaniały poranek zimowy gorącego klimatu, Kolumb czuł, że marzenia jego rozwiewają się, że twarda dłoń rzeczywistości już zaczyna druzgotać je niemiłosiernie, że chciwość ludzka już kładzie swą okrwawioną rękę drapieżną na jego piękne, wielkie dzieło i niewiedomo co nań sprowadzi...

— Obyż nie przekleństwo tak dla zwyciężonych, jak i dla zwycięzców..

...Szepnął i czuł wyraźnie, że olbrzymia powódź, w której falami są: polityka, interesy, chciwość złota i władzy ogarniać już zaczyna i dzieło i osobę jego, że odsuwa go gdzieś, w stronę, w cień, a sama zalewa nowe lądy, nowe ludy, które rychło już może przeklną imię jego, fatalnego odkrywcy, bez którego ich życie, ich dzieje płynęłyby dalej, spokojnie, szeroką rzeką naturalnego rozwoju przez rękę Bożą wskazanego.

Tę smutną wizję przyszłości przerwało zjawienie się kilku wyspiarzy pragnących zamienić bryłki złota na europejskie wyroby. Pomiędzy nimi był brat Guakanagarego, który, uważnie rozglądając się po okręcie, zdawał się czegoś szukać,

a gdy zobaczył siedzące pod masztem, na zwojach lin, kobiety indyjskie, zbliżył się do nich nieznacznie i przez chwilę rozmawiał z Kataliną, poczem, dokonawszy kilku zamian, odpłynął, obładowany cennymi dla Haitian fatałaszkami.

Kolumb zajął się rozporządzeniami dotyczącymi budowy nowej fortecy i miasta, na które obrał miejsce o dziesięć mil na wschód od przylądka, co go uprzednio nazwał: Monte-Christi, na północnym brzegu wyspy.

Pora już była przystąpić do wylądowania tak ludzi, jak zwierząt, od tak dawna uwięzionych w ciasnych karawelach, gdyż choroby zaczynały już pomiędzy nimi grasować. Admirał posyłał okręty jedne za drugimi, do dużej, wygodnej zatoki, nad którą zaczynały już wznosić się mury kościoła, fortecy i domu dla niego, wielkorządcy odkrytych ziem. Kolonję tę nazwał imieniem królowej: Izabellą.

Hiszpanie z wielką energią zabrali się zrazu do pracy, radzi, że stąpają po lądzie w tym pięknym, ciepłym klimacie, wśród czarów bujnej roślinności, ich piersi, nawykłe do zaduchu ciasnych izb okrętowych, z rozkoszą wdychały wonne, rześwe powiewy płynące z widniejących w od dali szczytów Sibao, z gór, gdzie leżą niezmierne pokłady złota. Karawelle wyrzucały na brzeg skarby, które we wnętrzach swych przywiozły: narzędzia rolnicze, nasiona, zwierzęta. Zarysowy-

wano plan miasta, wytykano ulice, ogradzano obejścia, zwożono kamienie, pługi krajały pierwsze bruzdy w czarnej, urodzajnej glebie nowej ziemi. Zgiełk i gwar panowały na zielonem wybrzeżu zatoki, u wejścia do której, od morza, wznosiło się wzgórze skaliste, jakby umyślnie przeznaczone na fortecę trudną do zdobycia, ba — niepodobną do opanowania przez nagich krajowców, uzbrojonych w łuki i maczugi. Wznoszono młyn wodny nad wpadającą do zatoki rzeką, w której, wśród żwiru dna, igrały, niekiedy, czarodziejskim blaskiem złote blaszki, a na ich widok Hiszpanie wznosili radosne okrzyki i oczy ich biegły ku skalistym szczytom, a ich radość przyćmiewała jedynie myśl o dzikim władcy bogatej krainy, o panu złotego domu, wojowniczym i mściwym Kaonabie.

Ci, którzy brali udział w pierwszej podróży, z pewnem już jednak rozczarowaniem patrzyli na tę wspaniałą wyspę. Ów raj wymarzony, pełen złota, które im za darmo znosiła rozśpiewana i roztańczona ludność dobrodusza, zmienił się teraz w dzikie pustkowię. Błękitne zatoki już nie roiły się od łodzi i pływających w ich spokojnych wodach setek pięknych, brunatnych dziewcząt, do najad i syren podobnych. Lasy stały pogrążone w głuchą, niepokojącą ciszę, w ich niezbadanych gąszczach taili się już teraz groźni liczbą wrogowie. Zmiany te Hiszpanie, w zaślepieniu swo-

jem, nie przypisywali rzeczywistej ich przyczynie: złemu postępowaniu poprzedników swoich, lecz przyrodzonej przewrotności krajowców, narzekali na nią i wzajemna niechęć dwóch ras kiełkowała już w sercach.

Kolumb z rejestrami w ręku, na dużej szalupie, pływał od jednego okrętu do drugiego, dając wskazówki, rozkazy i rady, a nazajutrz, sam miał ruszyć do Izabelli, bo tu go wstrzymywała jedynie chęć podtrzymania przyjacielskich stosunków z Guakanagarim, pomimo bowiem klęski Navidadu, miał nadzieję taktownem postępowaniem zatrzeć wspomnienie tych pierwszych nieporozumień, zawładnąć wyspą bez wojny i panować nad nią po ojcowsku, łagodnie i sprawiedliwie, zapominał tylko o tem, że już sam zamiar panowania był niesprawiedliwością i tem samem mieścił w sobie wszystkie krzywdy, gwałty i klęski.

Wieczór zapadał nagle, niezwykle ciemny, bo od zachodu gromadziły się chmury, a nad górami wnętrza wyspy zapalały się, chwilami, migotliwe błyskawice. Załogi pozostałych jeszcze w zatoce Guariko okrętów, zmęczone całodzienną pracą, zasypiały już pierwszym, twardym snem. Kolumb czuwał jeszcze w swej kajucie, zajęty myślami o nowej kolonji, kiedy na »Marigalante« powstał lekki szmer. Katalina i jej towarzyszkii, w liczbie dziesięciu, zebrały się na pokładzie i, uwiązawszy kawał powroza do sznurowej drabiny maszt umo-

cowującej, spuszczały się po nim, jedna za drugą, w dół boków okrętu, ku wodzie. Daleko, na brzegu, mrugało światełko.

Kolumb wyszedł na kolisty ganek wiszący nad wodą w tyle okrętu i stąd ujrzał owo światełko, a bystrem okiem żeglarza dostrzegł głowy płynących już w oddali Indjanek. Natychmiast zawołał na drzemiące warty, spuszczone łodzie na wodę i puszczono się w pogoń za uciekającymi. Lecz wyspiarki, znalazłszy się w żywiole, z którym od dzieciństwa tak obyte były, płynęły zadziwiająco szybko. Dwie z nich tylko dopędzono jeszcze na wodzie, dwie inne schwytano już na brzegu, a reszta, z Kataliną na czele, dopadła do zarośli i znikła w nich wśród mroku burzliwej nocy.

Kolumb domyślił się, że przyjaciel jego, Guakanagari, dał się unieść swej słabości do pięci pięknej i, rozmiłowawszy się w Katalinie, namówił ją, aby uciekła do niego i powiększyła już i tak znaczną liczbę jego żon, lecz, kiedy nazajutrz, posłano do wioski, gdzie kacyk mieszkał po spaleniu Guariko, z żądaniem admirała, aby zbiegów oddał, a nie zastano tam ani żywej duszy, ojciec Boyle, Bernal de Pisa i inni malkotenci ogłosili Guakanagarego, jako dwulicowego zdrajcę, a zdanie ich znalazło posłuch u większości Hiszpanów i na niego zwalono winę wymordowania załogi Navidadu. Kolumb jednakże odgadł prawdę:

Guakanagari, z przyrodzoną sobie trwożliwością, dopatrzawszy podejrzeń co na nim ciążyły, przeląkł się możliwych ich skutków i uszedł w lasy, uprowadzając z sobą piękną kobietę, jedyną zdobycz, której zawsze był żądny.

Nie mając już czego dłużej stać na kotwicy przed zgliszczami Navidadu i Guariko, Kolumb odpłynął do Izabelli, gdzie kipiała gorączkowa praca zakładania fortecy i miasta. Zastał tam Hiszpanów pełnych energii i podnieconych jeszcze świeżem wylądowaniem po długiej żegludze, a że znał już ten dziwny wpływ klimatu odkrytych wysp, w którym nowi przybysze, w początkach swego na nich pobytu, są ożywieni jakby podwojeniem sił życiowych, lecz bardzo rychło ten chwilowy ogień w nich gaśnie, ustępując przed ospałością i przygnębieniem, starał się więc, aby najważniejsze roboty jak najprędzej dokonane zostały.

Przewidywany przez Kolumba upadek energii nadszedł jeszcze rychlej, niż on się go spodziewał. Ludzie, znękani długą żeglugą, nie przyzwyczajeni do klimatu, oddani usilnej pracy, otoczeni wyziewami sąsiednich moczarów o ciepłych, gnijących wodach, bardzo prędko podupadli na zdrowiu i duchu. Pośród kolonistów było wielu młodych hidalgów nieprzywykłych do pracy i pogardzających nią. Oni płynęli do Nowego Świata nie po to, aby oddać się rolnictwu, ogrodnictwu i rzemiosłom, nieliczni z pomiędzy nich spodziewali się

nadzwyczajnych przygód, dalszego ciągu bohaterkich walk, których zabrakło w Hiszpanji po zdobyciu Granady, inni, liczniejsi, pragnęli wzbogacić się, roili, że kupy złota zgrzebywać będą bez troski i trudu rękami ujarzmionych w niewolę krajowców. Wszystkim tym marzeniom i nadmiernym nadziejom rzeczywistość kłam zadawała. Krajowcy wprawdzie przynosili złoto, lecz w małych ilościach i widoczne było, że zdobywali je oni z pewnym nakładem trudu, a i tę odrobinę Kolumb zabierał na rzecz królewskiego skarbu, srogo wzbraniając nabywania złota przez uczestników wyprawy, a tymczasem, przywiezione z Hiszpanji zapasy żywności wyczerpywały się z przerażającą szybkością, oni zaś do miejscowego pożywienia przywyknąć nie mogli, nieraz brzydząc się niem nawet.

Tygodnie upływały w ciężkiej pracy. Wznosiły się już mury kościoła, fortecy i admirałskiego domu, wyrastały szybko liczne chaty byle jak naprędce sklecone z rozmaitego budulcu, co był pod ręką, pośpiesznie zasiane ogrody i wydarte w dziewiczych nowinach półka pokrywały się bujną roślinnością prorokującą wspaniałe plony, lecz tymczasem, wydzielane codziennie porcje zmniejszały się, grożąc w blizkiej już przyszłości wprost klęską głodową. Wina, tak drogiego Hiszpanom, brakło już zupełnie. Kolumb, wobec tego powszechnego niedostatku, żadnej uwagi nie zwracał na różnice klas

społecznych, od wszystkich zarówno wymagał udziału w robotach publicznych i zmniejszeniu porcji żywności wszyscy jednako poddać się musieli.

Młodzi hidalgowie uważali owo zapędzanie ich do pracy za osobistą obrazę i wielką krzywdę, sarkali, że Kolumb cudzoziemiec, karjerowicz, uмышленie chce ich upokorzyć, sponiewierać w ich osobach błękitną krew hiszpańską, bo on nienawidzi Hiszpanów. Księża, z ojcem Boyle na czele, najboleśniej zmniejszenie porcji żywności odczuli, a także zrównanie, pod tym względem, przedstawicieli stanu duchownego z laikami; żywą urazę do Kolumba żywili oni, gdyż, zgodnie z duchem czasu, sądzili, że niema okoliczności, w którychby duchowny musiał pracować i pościć narówni ze wszystkimi, w głowach im pomieścić się nie mogło, że laicy niekoniecznie są po to stworzeni, aby na duchownych pracowali i za nich głód cierpieli.

Wkrótce, zaczęły ukazywać się choroby, nieznane dotąd gorączki, co jeszcze bardziej zwałowało hart ducha kolonistów. Okręty, już wyładowane, niepotrzebnie w porcie stały, więc Kolumb postanowił odesłać je do Hiszpanji, pozostawiając tylko pięć mniejszych karawel na usługi kolonji i dla dokonywania dalszych odkryć. Kiedy rozeszła się wieść, że okręty mają powracać do Hiszpanji, niezadowolenie jeszcze wzrosło. Miasto Izabella zaledwie zaczynało wznosić się na

zielonej równinie, z pomiędzy drzew dziewiczej puszczy, a już duch rokосу nad niem unosił się.

Kolumb, dla ożywienia swych podwładnych, a także dla zbadania wnętrza wyspy przed odpłynięciem okrętów, aby módz przesłać do Hiszpanji, w braku znaczniejszych ilości złota, przynajmniej pewniejsze o niem wieści, przedsięwziął wyprawę do gór Sibao. Ogromna, jak na owe miejsca i czasy, armja złożona z czterystu ludzi i kilkudziesięciu koni wyruszyła z Izabelli. Dla wywarcia jak największego wrażenia na wyobraźnię krajowców, ludzie byli odziani w błyszczące pancerze i hełmy, uzbrojeni w miecze, rusznice i kusze, konie przybrane w sute rzędy.

XXII.

W połowie wysokości góry pokrytej bujną podzwrotnikową roślinnością czerniał otwór jaskini. Ku niemu, krętą ścieżką wijącą się wśród lasu, wspinał się Kaonabo, otoczony kilkunastu karaibskimi wojownikami, pomiędzy którymi znajdował się i młodszy brat jego Manikaoteks.

Kaonabo, pogardzając lektyką, która była zwykłym sposobem podróżowania kacyków, szedł przodem piechotą i pilnie oglądając zarówno ścieżkę, jak i gałęzie co w wielu miejscach zwieszały się nad nią, zagradzając nawet nieraz przejście, mówił do brata:

— Czy myślisz, że kacykowie już wszyscy są w jaskini, bo że tędy niedawno wielu ludzi przeszło to widzę, ale czy wszyscy?

— Na takiej skalistej ścieżce — odparł Manikaoteks, oglądając gąszcz po obu stronach — niema sposobu dojrzeć ilu wojowników przeszło.

Sięgnął do sakwy z bawełnianej tkaniny, którą

niósł przewieszoną przez plecy, i, wyjąwszy z niej garść ziarn kukurydzy, popatrzył na nie uważnie, poczem rzekł:

— Myślę, że nie więcej ich tędy przeszło, jak oto tych ziarn mam w garści.

— Jestem prawie pewny, — mruknął Kaonabo — że ten zdrajca Guakanagari nie przyszedł, chociaż mu bliżej, aniżeli Kotabanamie z Higueju.

— Rychło zobaczymy kto przyszedł, a kto boi się Hiszpanów, — rzekł spokojnie Manikaoteks — bo już niedaleko do wielkiej jaskini.

Jakoż, w rzeczy samej, po półgodzinnym coraz trudniejszym pochodzie, Maguańcy weszli do pieczary. Chłód podziemia owiał ich nagie ciała spocone długotrwałym chodem pod palącym słońcem haitiańskiej wiosny i ogarnął ich mrok, przecięty, w oddali, słupem światła wpadającego przez otwór znajdujący się w wysokim sklepieniu jaskini wąskiej, lecz długiej. Była to święta jaskinia Haitian, ta z której wyszły na niebo słońce i księżyc przez okrągły otwór dziwnie prawidłowego, jakby ręką ludzką w skale wykutego sklepienia, wyniosłego, niby nawa ogromnego kościoła. Ściany jej, malowane na czerwono i biało, ozdobione były zielonemi gałęzmi, wieńcami kwiatów i wyrzeźbionemi w skale posążkami bożków, z których jedne zagłębione we framugach stały, inne zaś, wypukłe, zdawały się ze ścian wycho-

dzić. Lekki, rzeźwy powiew, ciągnący z głębi podziemia, niósł woń wilgoci, zwiędłych liści i kwiatów zmieszana z błękitnawym, aromatycznym dymem tytoniu, którego zwitki palili zebrani, w połowie długości jaskini, kacykowie haitiańscy, siedzący poważnie wokoło kręgu światła padającego z otworu sklepienia na piaskiem usypany i matami zasłany grunt pieczary. Ciszę ogromnego podziemia przerywał srebrzysty dźwięk małego strumienia sączącego swe wody gdzieś, pod wygładzonymi płytami kamiennymi, tworzącymi podłogę tej pierwotnej świątyni i przeciągłem echem dzwonił pod wysokim sklepieniem.

Kaonabo, wszedłszy do jaskini, rozkazał swym ludziom, aby schronili się do bocznej pieczary, a sam, w towarzystwie brata i starego butio Tikuirego, powolnym, uroczystym krokiem zbliżał się do grona kacyków.

O kilka kroków od nich stanął, wziął w rękę bębenek z rybich łusek zrobiony i, lekko weń uderzając, śpiewał jedno z uroczystych areytów, które tylko naczelnym kacykom i butiom śpiewać było wolno:

— W bardzo dawnych, dawnych czasach, kiedy wyspy nie istniały, bo, złączone wszystkie razem, jeden wielki ląd tworzyły, stary kacyk bardzo możny zabił syna swego, bo syn rękę wznosił na ojca i chciał władzę mu odebrać. Kacyk z żoną kości syna w dużą tykwę zachowali, jak to zwy-

czaj nakazuje. Lecz już rychło, stare serca zatęskniły za potomkiem. Kacyk z żoną, zapłakani, otworzyli piękną tykwę, chcąc zobaczyć kości syna... lecz, o dziwo! Zamiast kości, pełno ryb tam zobaczyli. Były małe, złote, srebrne i błękitne i czerwone, były duże w czarnych skórach, zęby ostre wyszczerzały. Kacyk prędko zamknął tykwę i na dachu ją umieścił, wszędzie chwając się chętnie, że ma jeńcem wielkie wody i, nie trudząc się ku brzegom, ile zechce ryb nałowi w czarodziejskiej tykwie swojej... Za górami, za lasami, czterech braci tam mieszkało. Blizniętami oni byli, w jednym dniu się porodili, jedna matka ich spłodziła, jedna pierś ich wykarmiła, razem rośli, wojowali, razem łowić ryby szli. Skoro doszły do nich słuchy o kacyka dziwnej tykwie, podpatrzyli taką porę, kiedy kacyk z domu wyszedł, nocą przyszli w tykwę zajrzeć. Zdjęli z dachu to naczynie i niezręcznie upuścili. Tykwa pękła na kawałki, a z niej potok lunął straszny. Niósł rekiny i delfiny, wieloryby w nim igrały, wyrzucając z nozdrzy wodę... wszystko-to splywało w morze. Potok długo huczał, ryczał i napełniał ciągle morze. Wielkie wody wciąż wzbierały, zalewając lasy, łąki... wsie znikaly, ludzie marli, potopieni w strasznych falach. A gdy potok szumieć przestał, tylko cypłe gór sterczały... wielkie wody świat zalały, a te szczyty, wyspy nasze, jedne tylko pozostały...

Kaonabo umilkł i wodził oczami, czarną obwódką, jak do boju, okolonemi, po zgromadzeniu kacyków, a po dłuższej chwili, nasyciwszy się dymem tabago, którego zwitek mu podano, zapiał:

— Kacykowie Haiti wysokiej, władcy potężni największej wyspy świata, która w środku jego leży, czy wy zrozumieliście?

Najstarszy wiekiem z pomiędzy kacyków, Guarioneks, władca równin na północy wyspy leżących, wypuszczając z nozdrzy kłęb wonnego dymu, odpowiedział:

— Kacyku Maguany, zrozumieliśmy. Śpiewałeś nam dawne, święte areyto, którego starzy i mądrzy butiowie uczą młodych kacyków, aby oni z kolei przypominali ludziom dawne dzieje i nauki z nich czerpali, potrzebne do swego życia. Lecz czego nas obecnie ma nauczyć ono, tego jeszcze nie wiemy.

— Czyż być może, — zawołał Kaonabo — iż nie rozumiecie w czym stare areyto stosuje się do dzisiejszych trosk naszych? Behekio, bracie najukochańszej żony mojej, kacyku Ksaraguy, haitańskiego raję, czyż i ty nie rozumiesz? Kotabanamo, kochany towarzyszu mój licznych bojów, potężny władco Higueju, czy także nie rozumiesz? Bo Guakanagari, pan Marienu, ten, chociażby przenikliwym swym rozumem, którego zapożyczył od białowłosego almirante, i pojął o co idzie, to go-

tówby udawać, że nic nie rozumie... No, i nie dziwię się, że tak jest, bo i ja sam nigdybym nie odgadł ukrytego sensu w tem areyto... to Tikuri poradził mi, abym go wam śpiewał i wytłumaczył mi, że zawiera przepowiednię tego, co teraz na wyspie naszej dzieje się... Tikuri, — zwrócił się do butia — mów tak mądrze, jak do mnie mówiłeś.

Butio wszedł w środek świetlanego kręgu. Słońce ozłociło jego długie włosy, jego brunatną, pomarszczoną twarz o dużych, palających oczach i, pośród siedzących w cieniu kacyków, sam jeden otoczony aureolą promieni, stał, jak spiżowy posąg, dumnie wyprostowany, z ręką wzniesioną ku otworowi sklepienia, skąd ogromny snop światła wpadał w mrok jaskini, a w nim pływały miliony złotych pyłków i setki owadów, lśniących blaskiem szlachetnych kamieni.

— Potomkowie dawnych władców naszych!... Wy szlachetni, w żyłach których płynie krew córek kacyków Kuiskuei wielkiej! Wiedźcie, że w starych pieśniach, w dawnych podaniach wszystko znaleźć można... trzeba tylko umieć nagiąć ich słowa, ich treść, do wypadków dzisiejszych... Słuchajcie, co ma znaczyć areyto, które śpiewał Kaonabo! Czterej bliźnięta to Guarioneks, Guakanagari, Kotabanama i Behekio. Do grona waszego Kaonabo, jako Karaib, nie wchodzi z dwóch powodów: raz, jako cudzoziemiec, chociaż wielki

wojownik i obecnie prawy syn Haiti, a powtóre, że on nigdy nie chciał otwierać tykwy, w której zamknięty jest potop przeklętych białych ludzi, Hiszpanów, jak oni zwa siebie, synów nieba, jak niebacznie niektórzy z was ich nazwali... Kacykowie Haiti! Nie otwierajcie tykwy! Bo z niej olbrzymią nawałą runą ryby pozornie barwne, czerwone, błękitne, złociste i srebrne, lśniące zwodniczemi blaskami, lecz rychło zmieniają się one w ciemne, krwi chciwe potwory o czarnej skórze i długich, ostrych zębach i drugi potop nastanie i zaleje te szczyty prastarego świata, te wyspy nasze szczęśliwe i spokojne. Synowie i wnukowie kacykowych cór! Nie otwierajcie tykwy! Niech te Zemi wielkiej jaskini, które na zebranie wasze oto patrzą, chronią was od tego... Zróbcie, jak stary kacyk zrobił z synem swoim: zabijcie Hiszpanów i kości ich zamknijcie w starej ziemi Haiti, niech ona im tykwą pogrzebową będzie i szczelnie ją zamknijcie przed nowymi przybyszami z dalekich wysp, które leżą tam, skąd słońce przychodzi... Synowie Kuiskuei szerokiej! Nie rozbijajcie tykwy!

— Ma rację stary butio! — zawołał Kaonabo, wchodząc w krąg światła, podczas gdy Tikuiiri w cień cofał się — Nie otwierajcie tykwy, kacykowie Haiti! Jak czterej bracia bliźnięta, którzy razem na wojnę chadzali i wy razem idźcie przeciw najeźdźcom i mnie piątego do grona wa-

szego przyjmijcie, bo chociaż nie jestem rodzonym synem Haiti, lecz tyle już za nią bojów stoczyłem z własnymi braćmi, tyle krwi swojej przelałem w jej obronie, tak dużo blizn ciało moje pokrywa, że jestem jej piątym, przybranym synem!

Dumnie spojrzął wokoło i, dotykając ręką blizn, któremi całe ciało jego okryte było, a z nich liczne głęboko węń wżerały się, wołał głosem silnym, który dzwonił wysoko pod sklepieniem:

— Patrzcie, kacykowie, bracia moi!... Ta z ręki Kotabanamy, kiedy z ojcem, po raz pierwszy, przed laty, najechałem jego dzielnicę Higuej... ta, w bojach z Karaibami, później, kiedy ich tyłu przyplęnęło, iż zdawało się, że cała Haiti w niewolę do nich pójdzie... i tę wtedy otrzymałem... i tę także... A oto najstraszniejsze, najboleśniejsze od mieczów błyskawic hiszpańskich! Patrzcie, jakie głębokie, jak szerokie, a jeszcze sine i jeszcze bolą! Kacykowie! A przecie to tylko od mieczów, bo nie dostałem dotąd ani jednej rany z tej strasznej broni, co ryczy jak piorun w górach. Tych, co władają piorunem, musimy co rychlej wytępić, bo inaczej, oni nas wygubią!

Kotabanama powstał z maty, prostując olbrzymią swą postać, podszedł do Kaonaba, a kładąc szeroką dłoń na jego ramieniu, uśmiechnął się dobrodusznie i rzekł:

— Tak. Kaonabo, choć nie na niej zrodzony, jest prawym synem Haiti, to wojownik sławny,

który wyspie służy nie pustemi słowami, lecz krwią własną... Tak, Kaonabo, ty jesteś piątym bratem naszym. Zastugą zdobyłeś to stanowisko.

A gdy Kotabanama odszedł na swoje miejsce, Behekio z zapalem wołał:

— Kaonabo wielki... wielki wojownik! Gdyby takich więcej było, nie porywaliby biali ludzie żon i siostr naszych, nie rabowaliby domów naszych!

— Hiszpanie źli są i przewrotni. — rzekł cicho Guarioneks — Radbym widział ich odpływających od brzegów naszych... ale nad wyraz potężni oni i waleczni... Straszno i niebezpiecznie przeciw nim powstawać... Za żadne skarby wojny z nimi nie zaczę... Boję się...

— I ja się boję! — zawołał Guakanagari — Żaden z was tak ich nie zna, jak ja. Wy nie widzieliście ich dużych łodzi, a na nich ogromnych miedzianych piorunów, co skały wyrzucają z wnętrza swego daleko... daleko. Nie widzieliście tych zwierząt olbrzymich, strasznych, do niczego niepodobnych, które oni na skrzydlatych łodziach przywieźli... Potężni oni są, straszliwie silni i nie dziw... synowie to nieba...

— Jacy synowie nieba? — groźnie krzyknął Kaonabo — Źli ludzie z dalekich wysp, co leżą za wielkimi wodami, a nie żadni synowie nieba! Czyż, gdyby z nieba rodem byli, oni kradliby, rabowali i kobiety porywali?

— To prawda. — odpowiedział Guakanagari — Hiszpanie są źli, ale białowłose almirante dobry. On nie winien złym uczynom sług swoich, on wtedy pływał po wielkich wodach. Z jego ust mądrość i dobroć płyną i coś tak wielkiego, tak niepojętego, a tak bardzo miłego, że ja przeciw niemu nigdy nie pójde... Zło minie, almirante pokromi sługi swoje, przyjaźń dla nas im nakaże i przyniosą oni nam to coś wielkiego i czarującego, tę jakąś mądrość niepojętą... to, co ja czuję, lecz nie wiem jak się nazywa...

— Od Hiszpanów — mówił Kaonabo — warto nam nauczyć się tylko jednej rzeczy: władać ich bronią i robić taką, jak ta, którą oni walczą. To przecie wiadomo, jak się nazywa i do czego służy? — spojrzął pogardliwie na Guakanagarego, który rozmarzone oczy wznosił w górę, ku sklepieniu skąd światło wpadało — Guakanagari mówi zupełnie jak żona moja, Anakaona, ale to kobieta, a Guakanagari... jeden z pięciu wielkich kacyków Haiti. Tymczasem, musimy zwalczyć Hiszpanów naszą własną bronią: mieczem z palmowego drzewa rybiemi zębami nabijanym, maczugą, dzidą o ostrzu ze skorupy żółwia, strzałą z rybiej ości, bo jeśli im damy rozpełznąć się po wyspie, nabudować wielkich domów, jak te, które oni wznoszą z kamienia na ziemi Marienu, to zginie Haiti, wszyscy w niewolę pójda a nas, kacyków, żywić oni nie będą.

Guakanagari spojrział głęboko w oczy Kaonaba i rzekł spokojnie:

— Mój brat z Maguany niech mówi o sobie tylko, bo on zasłużył na zemstę białych ludzi Nieskrzywdzony, niezaczepony, zabił tych, co mieszkali w wysokim domu i w Guariko, dom ich spalił i mnie, ich przyjaciela, tak bardzo skrzywdził... Kaonabo boi się pomsty kacyka białych i dlatego namawia nas do wojny z nim, bo czuje i widzi, że sam rady mu nie da, ale i my wszyscy nic nie poradzimy przeciwko synom niebios, a i nie trzeba, bo od nich więcej nam dobra, niż zła przyjdzie.

— Dobrze mówi Guakanagari. — odezwał się Guarioneks — Nie poradzimy... nie nam mierzyć się z nimi. Ja nie myślę, jak on, że Hiszpanie są synami nieba, nie mam ich za dobrych także, lecz tylko za bardzo groźnych, a z takimi lepiej nie zadzierać... Ja z nimi wojny nie rozpocznę. Wolę okupić się, oni podobno bardzo na złoto chciwi, trudno mi to przyjdzie, bo go w moim kraju mało, ale ty, Kaonabo, co masz tyle tego marnego, miękkiego kruszcu, mógłbyś z łatwością spokój od nich zabezpieczyć i sobie i nam.

Kaonabo uśmiechnął się gorzko, wzgardliwie ruszył rozrośniętymi ramionami i rzekł gwałtownie:

— Zabezpieczyć? Czy zabezpieczysz się od żarłocznej ryby, która na płynących ludzi napada, jeżeli dasz jej pożyć jedną nogę swoją?... Po nodze,

zechce ona ramienia, a potem tułowiu i nareszcie głowy...

Stojący na uboczu Tikuri wtrącił:

— Teraz pora, albo nigdy... Kacykowie! Nie dajcie żarłocznym rybom rozmnożyć się w zatokach naszych. Idźcie razem, jak bracia ze starego areyta, lecz nie po to, aby rozbić tykwę, a tylko, by ją zamknąć szczelnie, a w niej... kości najeźdźców.

Kaonabo zwrócił się do Kotabanamy, pytając:

— A ty, dawny druha mój, czy pójdziesz ze mną?

— Wiesz, Kaonabo, — odpowiedział olbrzym flegmatycznie, po chwili namysłu — że ja zawsze rad jestem iść do boju razem z tobą, ale wiesz także, iż lubię bić, a nie bitym być... No, a powiedz sam, co my zrobimy przeciw ich piorunom, ognistym mieczom i zwierzętom drapieżnym. Przecież sam mi opowiadałeś, że ten wojownik, który jest jeńcem twoim, wyrzuca ci miecz z ręki, i to hiszpański miecz, niby małemu chłopcu? Kaonabo, mój chłopcze, porwać się na silniejszego nie sztuka, ale potem, chodzić w upokorzeniu zwyciężonego, jakże ciężko... Wszak dotąd oni gnębią tylko swego przyjaciela, Guakanagarego. — tu uśmiechnął się dobrodusznie w stronę kacyka Marienu — Ty nie masz czego obawiać się, bo siedzisz w niedostępnych górach, no, i pokazałeś im już jakie masz zęby. Ja się ich nie boję, bo daleko im do mnie, a mój lennik, Majonabeks,

który się spotkał z nimi przy dużej zatoce, powiada, że niezgorsi oni ludzie, targował z nimi, dużo pięknych i cennych rzeczy dostał. Myślę, że dobrze zrobiłbyś, odwiedzając tego ich wodza starego, co go Guakanagari almirante zowie i przymerze z nim zawrzyj.

— Oczywiście. — podchwycił Guakanagari — Kaonabo, daj mu naszyjnik pokoju i złota sporo mu zanieś, jak ja to uczyniłem. Poznasz wielkiego, mądrego almirante i pokochasz go, jak ja pokochałem... On nie mściwy... on ci przebaczy mord białych ludzi i zniszczenie wysokiego domu, bo mówił mi, że ich Wielki Duch nakazuje im wszystkie urazy przebaczać i wrogów nawet kochać...

— Niech on przebacza, jeśli chce, ale ja jemu nie daruję, że Haiti najechał i buduje domy z kamienia... Rozumiecie? Domy z kamienia! To znaczy takie, co wiecznie stać będą, a więc oni tu zawsze pozostać zamierzają... Opamiętajcie się, kacykowie, ojcowie wyspy! Słyszycie? Oni tu zawsze pozostać myślą... przyplyną nowe łodzie, a na nich nowi wojownicy, więcej zwierząt drapieżnych i piorunów przywiozą. Wyginiemy, lub w niewolę srogą pójdziemy wszyscy... wszyscy! — krzyczał, aż echo pod sklepieniem groźnie dzwoniło — Behekio, bracie! Jak ty myślisz? Co poczniesz?

Behekio, młody jeszcze człowiek, o pięknej,

rozumnej twarzy, długo myślał, zanim odpowiedział:

— Kaonabo, czemuż ja mam wojnę przeciw nim podnosić i narażać się na ich zemstę, skoro oni mi żadnej krzywdy nie zrobili i zrobić nie mogą, bo kraj mój daleko jest od ich miasta górami od niego oddzielony. Przytem, wiesz, że ludzie moi chętniej śpiewają i tańczą, aniżeli do boju idą... Ja Hiszpanów nie lubię, jak robi to siostra moja, Anakaona, co jest nimi zachwycona, bo nasłuchiwała się dziwów od twego jeńca Hernanda, ale zaczepiać ich nie myślę.

Na spokojnem, rozważnem obliczu młodego kacyka osiadł wyraz chłodnego a niezłomnego egoizmu, chociaż starał się go ukryć pod uśmiechem dzikiego dyplomaty. Zwyczajem rasowym Haitian było: wszystkie uczucia i wrażenia wyrażać uśmiechem, lub je pod nim ukrywać.

Kaonabo wściekłem spojrzeniem po kacykach wodził, bo Karaib nie mógł nałamać się do nieskończonej gamy haitiańskich uśmiechów. Długo jeszcze prosił, nalegał, groził, starego butia na pomoc wzywał. Ów stare przypowieści przypominał, prorocтва głosił, lecz nic nie pomagało. Stare, dziedziczne niedołęstwo, wiekami pokoju i dobrobytu wyrobione, górę brało nad rozumem tych roztropnych ludzi. Woleli oni łudzić samych siebie nadziejami, których zapewne w głębi dusz nie mieli, aniżeli chwycić się czynu i zaraz, na-

tychmiast, wyrzec się wczasów próżniaczego życia w rozkoszach zmysłów wciąż spływającego i, dla przygotowania lepszej przyszłości, poświęcić teraźniejszość a iść do boju z najeźdźcami, którzy jeszcze znośni byli, do boju, w którym strugi potu i krwi strumienie wylać trzeba było.

Narada kacyków spelzła na niczem, większość ich orzekła, że Hiszpanie tylko Guakanagarego skrzywdzili, za co znów Kaonabo zawiązką im oddał, a skoro kacyk Marienu pomsty sam wyrzecz na nich nie pragnie, zatem wszystko w porządku i niema żadnej przyczyny mącić miłego spokoju na wyspie panującego, srogą i niebezpieczną wojną.

Daremnie Kaonabo, wychodząc w gniewie ze świętej jaskini, krzychał:

— Gubicie Haiti! Pamiętajcie, com wam śpiewał przed najeźdźcami: krwią rzeki spłyną... jękiem echa stękną... Umilkną śpiewy, bo śpiewacy wymrą... Pamiętajcie!

Nie pomogło że stary butio uroczystym głosem wołał:

— Kacykowie Haiti wysokiej! Miejcie żal nad rodzinną wyspą! Nie otwierajcie tykwy, bo potop z niej lunie i nawet szczyty Haiti zaleje, pokryje falą złych cudzoziemców!

Po odejściu Kaonaba i butia, kacykowie rozłożyli się obozem w cienistym, okwieconym gaju górskim, nad szumiącym potokiem, zwołali mnó-

stwo pięknych kobiet z okolicznych wiosek i przez trzy doby ucztowali, budząc wśród skał echa, które im odpowiadały słodko na miłosne śpiewy, wesoło na wybuchy śmiechu, a skocznie na dźwięki bębenków i drewniaków, w które dzwoniły rozwiązane tancerki.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



15388/I